

De L 1
Tom CLXXXV.

Zeszyt 555.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

—
ROK CZTERDZIESTY SIÓDMY.

MARZEC.

1888.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: NOWY-SWIAT Nr. 41.

1888.

T R E Ś Ć .

stron.

I. O bajkach J. U. Niemcewicza. Studium literacko-krytyczne. Przez Stanisława Nowińskiego	329
II. Wrażenia z wycieczki na Wschód. Zebrał Józef Rogosz	354
III. Historia wynalazku lunety i zastosowania jój do astronomii. (Dok). Napisał dr. Wierzbicki	369
IV. Włochy tegoczesne. II. Genua. Przez Adolfa Smorzewskiego.	389
V. Przygody Stacha. Powieść, (Drezno 1884 r.). Przez Józefa Ignacego Kraszewskiego.	410
VI. Projekta pomników Adama Mickiewicza, nagrodzone na ostatnim konkursie w Krakowie. Przez zY	428

VII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.

Z belletrystyki: 1) Walerya Marrené. „Nowelle i Obrazki.” Warszawa, 1887 r. 2) Marya Konopnicka. „Cztery Nowelle.” Warszawa, 1888 r. 3) Eliza Orzeszkowa. „Panna Antonina.. W zimowy wieczór...” (dwa tomy). Warszawa, 1888 roku. Przez Kazimierza Kaszewskiego.	436
--	-----

Faust. Tragedya Goethego. Przełożył Ludwik Jenike. Warszawa, 1887. Przez Romana Plenkiewicza	451
--	-----

VIII. Kronika miesięczna.—Rzut oka na ogólne położenie stosunków politycznych.—Mowa ks. Bismarcka i wywołane przez nią poglądy prasy na przygotowawcze kroki dyplomatyczne w sprawie bułgarskiej.—Włochy i Francya.—Roboty sejmu berlińskiego.—Wiadomość o działalności komisji kolonizacyjnej w W. Ks. Poznańskiem i Prusach zachodnich.—Walne zebranie „Banku ziemskiego“ w Poznaniu.—Regulamin kasy imienia Mianowskiego co do przyznawania nagród z zapisu Jakóba Natansona.—Towarzystwo geograficzne w Petersburgu.—Odczyty na dochód Osad rolnych: Dr. Fabian: Hipnotyzm w nauce a praktyce.—Otwarcie Konserwatorium muzycznego w Krakowie dnia 1-go lutego.—Plan Wystawy higieniczno-lekarskiej i dydaktyczno przyrodniczej projektowanej na mies. lipiec we Lwowie.—Z ruchu naukowego w Akademii Umiejętności w Krakowie: 1) Posiedzenie Wydz. filologicznego dn. 5-go grudnia 1887-go r. i 1-go lutego r. b.—2) Posiedzenie Wydziału matematyczno-przyrodniczego dn. 27-go stycznia r. b.—3) Posiedzenie komisji antropologicznej dn. 3-go lutego r. b.—4) Posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego dn. 8-go lutego r. b.



De. II 1.

O BAJKACH J. U. NIEMCEWICZA.

STUDYUM LITERACKÓ-KRYTYCZNE.

PRZEZ

Stanisława Nowińskiego.

Bajki Juliana Ursyna Niemcewicza, będąc echem opinii i zasad, które w danej chwili odzwierciedlały pojęcia społeczeństwa polskiego w życiu powszedniem, są nie tylko wyrazem ścierających się ówczesnych idei i poglądów etycznych, literackich i politycznych, ale stanowią zarazem dokument aspiracji narodowych, które dla badacza pojęć historyczno-literackich nieocenionym są skarbem. Przedmioty do licznych swych „bajek” brał poeta z życia rzeczywistego i przedstawił w nich najrozlicniejsze objawy charakteru narodowego. Bajki treści politycznej, pisał Niemcewicz pod wpływem wypadków krajowych, w których czynny miał udział, są więc oraz historycznymi. Jest wprawdzie pomiędzy nimi wiele tłómaczonych z obcych języków, jednakowoż i te, skutkiem trafnego wyboru i doskonałego przyswojenia, nie ustępują oryginalnym. Pod względem formy nie błyszcą, jak bajki Krasickiego, ale za to są przystępniejsze, bardziej dotyczą naszych własnych domowych potrzeb i głębiej wnikają w naszego ducha. Śmiało rzecz można, iż zawiera się w nich cała filozofia praktycznego polaka.

Szkoda zmarnować te ziarna, które posiadała na ojczystej glebie wielka mądrość i wielka miłość, a jednak zanoszą się na to. Minęły czasy, kiedy nie było polaka, któryby przynajmniej jednego ze śpiewów historycznych Niemcewicza nie umiał na pamięć. Szkoda i tego, że coraz bardziej idą w zapomnienie; ale dziwić się temu nie można, następna bowiem epoka poezji zmieniła nasze pojęcia estetyczne. Wymagania bowiem zwiększyły się, i śpiewy historyczne Niemcewicza już nam nie wystarczają. Ale inaczej rzecz się ma z jego bajkami. Prawdy i nauki w nich zawarte, nie zestarzeją się nigdy.

Zanim się doczekamy krytycznego wydania bajek Niemcewicza, które rzuciłoby nowe światło na zasługi ich autora, chciałem je przypomnieć rodakom; dla łatwiejszego zaś przeglądu całości podzieliłem je na osobne grupy.

W pierwszej kładę bajki, dotyczące się ogólnych prawideł życia. W bajkach tego działu Niemcewicz mówi o wierze, o cnocie i wyśiępku, zachęca do życia pracowitego, karci uprzedzenia i przesady klas uprzywilejowanych, zaleca przestawanie na tém, co się ma; uczy cierpliwości w nieszczęściu i t. p.

Druga grupa obejmuje bajki, których przedmiotem jest kobieta ze wszystkimi cnotami i wadami, miłość, małżeństwo, pożycie małżonków, wychowanie dzieci, kwestya emancypacji kobiet.

W trzeciej grupie jest mowa o pożyciu ludzi z ludźmi, o przyjaźni, o stosunkach między bogatymi a ubogimi, o pochlebcach i zausznikach.

Przedmiotem bajek, składających czwartą grupę, są kwestye oświaty i charaktery rozumów ludzkich, wreszcie krytyka literacka jako potężny czynnik postępu.

Piąta grupa zawiera bajki, w których poeta charakteryzuje dążności polityki, nie mającej innych celów prócz zdobyczy i tępienia, zastanawia się nad obowiązkami monarchów względem poddanych, karci złych ministrów i wskazuje ich zadanie.

W szóstej i ostatniej mieszczą się bajki polityczne, do których dostarczyły przedmiotu zmienne koleje naszego kraju od sejmu czteroletniego aż do ustanowienia Królestwa Kongresowego.

I.

Wiara w Boga. — Kręte ścieżki i gościniec cnoty. — Następstwa pierwszej zbrodni. — Jak się robi fortunę? — Przyjemności i pożytki pracy. — Znaczenie rolnictwa. — Korzyści życia w społeczeństwie. — Praca dla przyszłości. Klasy uprzywilejowane. — „Wolę groch suchy w pokoju niż kapłony w bojaźni”. — Darów fortuny należy używać. — Każdy ma swego mola co go gryzie. — Nadzieja w nieszczęściu. — Niewesołość i tkliwość. — Najwierniejszy towarzysz.

„Najlepiej o Bogu mówi, kto nie mówi, lecz podziwieniem dokłada,” „o Bogu bezpieczniejsza wierzyć, niż badać;“ oto stara zasada, której przodkowie nasi trzymali się w rzeczach boskich. Tę zasadę wyznawał także Niemcewicz i złożył jej hołd w bajce „Jabłko rajskie“ (oryg. bez daty)¹⁾. W towarzystwie złożoném z ludzi rozmaitych narodowości wszczęła się przy wetach dysputa nad pytaniem,

¹⁾ Bajki i powieści, przez Jul. Ur. Niemcewicza, ed. 2-ga, Warsz. 1820, t. II-gi, str. 5.

co to było za jabłko, które Ewę przywiodło do grzechu. Polak utrzymywał, że zapewne bursztówka lub winiówka, anglik, że Gold-Pepin, francuz, że reneta, portugalczyk, że pomarańcza, azyata, że ananas, a niemiec, że kartofel. Każdy podług upodobań narodowych. Obecny kapłan położył koniec sporom, tłómacząc, że Bóg dał ludziom pismo święte, aby je czytali i temu, co w niem znajdują, wierzyli bez roztrząsania.

Choćby co mogło w tej księdze zdumiewać,
Bezpieczniej wierzyć, niżli powątpiewać.

W bajce „Listek róży“ (naśl. z fran. bez daty) ¹⁾, poeta nasz nie radzi także człowiekowi łamać sobie głowy nad tém, co go czeka w dalekiej przyszłości. Jak listek oderwany od gałęzi leci omackiem, sam nie wiedząc dokąd, gnany wiatrem z miejsca na miejsce, tak człowiek nieświadomy przeznaczenia swego, nawet jutra niepewny, zmierza do kresu zakrytego przed jego okiem. Gdzie kres? Naprózno ciekawość bada. To jedno tylko pewne, że każdy z nas tam stanie, gdzie każda rzecz staje, „bo tam listek róży upadnie, gdzie i listek lauru.“

Dość na tém, aby człowiek wystrzeżał się krętych ścieżek, nancza bajka „Manowce i prosta droga“ (oryg. 15 marca 1816 r.) ²⁾, dwóch ludzi wybrało się do tego samego miejsca, lecz jeden udał się prostą drogą a drugi manowcami. Ten, co szedł manowcami, nietylko że prędzej stanął u mety, lecz nadto znalazł w drodze spocobność odniesienia rozmaitych zysków; ale cóż z tego? Przyszedł tak zabłocony, że każdy patrzył na niego ze wstrętem, każdy go palcem wytykał. Przeciwnie człowiek, co prostą trzymał się drogi, przyszedł czysty; zatém, chociaż wiadano, że u niego pustki w kieszeni, każdy witał go z szacunkiem.

Zasada trzymania się prostej drogi, jest przedmiotem kilku innych bajek Niemcewicza. Tu należy „Skoczek na linie“ (oryg. z końca XVIII wieku) ³⁾. Ubogi, ale rozsądny wieśniak miał syna jedynaka, który nie wdał się w ojca. Próżniak, frant, nic dobrego, kończył już 15 rok życia a jeszcze nic nie umiał i niczego się nie uczył. Daremnie upominał go ojciec i wybór stanu zalecał. „Ależ mój kochany, rzekł w końcu, co z ciebie będzie? ubogiegoś rodu, pracuj, jeżeli nie chcesz umrzeć z głodu.“ Wyśmienicie skutkowałą rada ojcowska, synalek bowiem, niby skruszony jego przełożeniem, postanawia zostać—skoczkiem na linie. Ojciec zmartwiony dziwną jego ochotą, dalejże przedstawiać, że to nikczemne rzemiosło, że bezpieczniej chodzić prostą drogą po ziemi, niż skakać po linie. Ale daremnie. Furbo obstawał przy swoim.

Wielu to, rzeczce, urodzonych w nędzy,
Skacząc po linie, przyszło do pieniędzy.

¹⁾ Ibid., t. I, str. 216. ²⁾ Ibid., t. I, str. 156. ³⁾ tamże, t. II str. 31.

Jakoż zaraz jął uczyć się rzemiosła, a miał snąć do niego wrodzony talent, bo wkrótce przewyższył wszystkich współuczniów. Lecz, gdy się na kiermaszu popisuje publicznie, i zapalony oklaskami, zamiast słuchać ojca, który ciągle przestrzegał: „synu, idź prosto!“ coraz trudniejsze wykonywa skoki, waży się to w prawo, to w lewo, kręci sobą i wywija.

Gdy najbardziej oczy nęcił
Padł na ziemię i kark skrzył.

Niemcewicz stosuje tę bajkę w szczególności do klasy społeczeństwa głośnej z tego, że rzadko prostej trzyma się drogi. Woła bowiem przy końcu:

O wy tancerze rozliczni,
Prawni i polityczni,
Co się na wszystkie strony wymijacie...
W śmierci Furba przykład macie;
Nie wahajcie się, ale pewną nogą
Postępujcie prostą drogą.

Gdy w poprzedniej bajce zbaczanie z prostej drogi przedstawił autor jako złe zyskowne wprawdzie, lecz prowadzące do hańby, tutaj powiada, że godziłoby się unikać tego, już przez wzgląd na bezpieczeństwo własnego karku.

W bajce „Nos i oczy (27 kwiet. 1807 r. w Ameryce, naśl. z Coupera) ¹⁾ przemawia autor w podobny sposób do patronów trybunalskich. Między oczyma i nosem toczy się spór, do kogo należą okulary. Język, jako patron wytacza sprawę w obronie nosa, ucho słucha jako prezes sądu. Ale język, dowiódłszy, że okulary należą do nosa, staje następnie w obronie strony przeciwniej i dowodzi z kolei, że nie nos lecz oczy mają prawo do okularów. Sąd teraz nie wie, komu przyznać prawo własności. W końcu orzeka, że ile razy nos włoży okulary, oczy, jako nie mające do nich prawa, powinny się zamknąć. Tak nieraz patron krętacz z łatwością potrafi wmówić w sądy słusność najnierozsądniejszych uroszczeń i wyjedna najniesprawiedliwszy, często śmieszny wyrok.

Stwierdzona wielokrotnem doświadczeniem prawda, że jedna zbrodnia pociąga zwyczajnie za sobą cały szereg innych, że łatwiej powściągnąć się od jednej, niż popełniwszy jedno, nie popełnić wielu, jest przedmiotem bajki „Pies winowajczy“ (bez daty naśl. z Floryana) ¹⁾. Wierny pies owczarski odbija wilkowi niedojedzone jagnię. Poraz pierwszy w życiu nie mogąc oprzeć się pokusie skosztował. W tem nadeszła matka jagnięcia. Pies, bojąc się, aby go nie oskarżyła, że zjadł jagnię, pozory bowiem świadczyły przeciwko niemu, zagryzł i owcę. Ale w tejże chwili zjawia się pasterz. Złoczyńca,

¹⁾ Ibid. t. I, str. 204.

przewidując karę, chciał rzucić się na niego, by i jego zagryść, schwytano go jednak i ukarano.

Jak zaś trudną jest poprawa zastarzałych grzesników, maluje je wybornie „Lis na śmiertelnój pościeli” (naśl. z angiel. 24 lipca 1811 w Neplach) ¹⁾. Dręczony przy zgonie wyrzutami sumienia zaklina lis potomstwo, aby się poprawiło i nie wstępowało w jego ślady. Młode lisy usiłują przekonać go, że się to na nic nie przyda, bo chociażby żyły jak baranki, świat nawykłszy uważać ich za łotrów, zawsze będzie ich potępiał. Umierający ojciec wyłajał ich za te pesymistyczne mniemania. W tém dało się słyszeć gdakanie kur. Na ten głos, tak ponętny dla lisiego ucha, skruszony dopiero zbrodniarz zapomina i o wyrzutach sumienia i o morałach, które właśnie głosił, a woła na dzieci, aby co prędzej zachodziły i łapały, upominając, by też i jemu choć jedno kurczę przyniosły.

Już za czasów Niemcewicza a podobno i dawniej, zrobienie fortuny bez zbytecznych skrupółów należało do celów życia. Najtęższe głowy, jak niegdyś nad wynalezieniem kamienia filozoficznego, pracowały nad rozwiązaniem pytania, co czynić, aby zawsze mieć pełne kieszenie. Odpowiedział po swojemu na to pytanie Niemcewicz w bajce „Młodzian i starzec” (z franc. 7 marca 1810 w Warszawie) ²⁾. Zapytany, co należy czynić, aby zrobić fortunę, radził starzec młodzikowi, aby pracował dla dobra kraju i usługi współbraci. Ale że się rada nie podobała, podał inną, aby się puścił drogą intryg. Lecz i ta nie trafiła młodzikowi do przekonania, bo smac miał słabą głowę a z taką trudno wdawać się w intrygi. Bądź więc głupcem bezczelnym! zawołał starzec, i takich wielu zrobiło fortunę.

Możnaby powiedzieć, że bajka ta dzieli na trzy epoki historyą rozwoju ludzkości. Byli najprzód ludzie, którzy ofiarę i poświęcenie uważali za cel życia. Potém nastali filozofowie intryganci a nareszcie zjawilo się pokolenie ani do ofiary ani do intrygi niezdatne.

Przytoczymy teraz kilka bajek poświęconych innėj, równie ważnej zasadzie moralności, to jest wystawiających przyjemności i pożytki pracy. W bajce „Wieprz i koń” (naśl. z franc. 1 lipca 1813 w Karlsbadzie ³⁾) wyobraził poeta łakomego pasibrzucha, który

rano, w południe, wieczór, o północy
 żarł z całej mocy,

a gdy stawy zabrakło, spał. Życie było mu przecież nieznośne, dręczyły go nudy, nawet spazmom podlegał. Raz jednak postrzeżga konia, który choć zmordowany, rżał wesoło. Pyta go więc, jak się to dzieje, że wszystkie świny, chociaż się nigdy nie trują, są nieszczęśliwe pomimo dostatków, a pracowite konie zawsze są wesołe, zdrowe szczęśliwe. Koń chętnie dał mu naukę, że

¹⁾ Ibid., t. I, str. 148. ²⁾ tamże, t. I, str. 222. ³⁾ tamże, t. I, str. 168.

Praca tylko czynnemu udziela
Czerstwego zdrowia i sił i wesela.

Bajka „Wewiórka i niedźwiedź“ (oryg. 29 paźdz. 1810 w Puławach) ¹⁾, jest obrazem pracowitego, pełnego przyjemności i słodyczy życia, w przeciwstawieniu do dzikiej srogości i lenistwa. Takie pracowite życie prowadzi wewiórka; niedźwiedź zaś, postrach zwierząt niewinnych, wróg rolnika, któremu przeróżne wyrządza szkody, gnuśniejąc w lenistwie, gdy minęła ciepła pora—

bez zapasu, nie mając co psuć i ogryzać,
nędzny, przez zimę musiał łapę lizać.

W bajce „Żelazo i złoto“ (oryg. 11 stycznia 1814) ²⁾, mówi o znaczeniu rolnictwa. Dukat, jęczący pod młotem narzeka na los swój nieszczęśliwy, a jednak, jak słusznie młot powiada, jestto prawem nieuchronném, że żelazo złoto bije. Nikt tego prawa zmienić, ani nadużyć, ani zaprzeczyć nie może. Ztąd wyprowadza autor sens moralny, że i my

Póki żelazo będziemy posiadać,
Umieć jak plugiem i orężem władać,
A cnota z męstwem będą kraju stróże,
Piekielną chciwość nigdy nie przemoże.

W bajce „Szale Minosa“ (naśl. z fran. bez daty) ³⁾, opowiada, że sędzia podziemny wpakował raz na jedną szalę dwóch książeń, dwóch wezyrów, uczonego i trzech bohaterów, a na drugą rolnika, który właśnie nadszedł i rolnik przeważył wszystkich.

W bajce „Filiżanka“ (datowanój 3 kwietnia 1809) ⁴⁾, przyrównywa pana i chłopca do filiżanki i dzbanka. Filiżanka wyłacana wynosi się nad dzbanek, który odpowiada jej na to, że oboje są z gliny i tylko tem różnią się od siebie, że ona stoi próżno a on służy do użytku. Chłop, słysząc tę rozmowę, rzeknie do żony: sądziłem, że to ja gadałem z panem.

Jeszcze surowiej karcie nasz poeta pychę z bogactw w bajce „Motyl i ślimak“ ⁵⁾. Motyl, lśniący złotem i szkarłatem, postrzegłszy pełzającego ślimaka, bieży do ogrodnika i woła, by wyrzucił lub zabił tego obrzydłego gada. Na to ślimak:

Tobie być pysznym wcale się nie godzi,
Przypomnij sobie życia twego wątek,
A najbardziej swój początek.
Z bogactwy co się dziś na tobie świecą,
Czém byleś wczoraj? Podłą gąsienicą.

¹⁾ Ibid., t. I. 110. ²⁾ tamże, t. I, s. 140. ³⁾ tamże, t. I. s. 219.
⁴⁾ tamże, t. I, 203. ⁵⁾ tamże, t. I, s. 58.

Pychę z bogactw i pogardzenie ubogim poczytuje Niemcewicz za znamiona duszy podle zrodzonej.

„Mucha i pszczoła“ (oryg. z końca przeszłego stulecia)¹⁾, jest bajką, należącą już właściwie do politycznych. Mucha unosi się nad szczęściem pszczół, a pszczoła objaśnia ją z kąd to szczęście pochodzi. Jest ono skutkiem pracy i zgody a najbardziej tego, że żadna pszczoła nie żyje dla siebie tylko saméj, lecz każda co tylko ma, co tylko zbierze, poświęca dla pospolitego dobra. Mają wprawdzie nieprzyjaciół, którymi są szerszenie, ale nienawiść ku nim jest spólna królowej i poddanym.

A kędy miłość i nienawiść wspólna,
Tam jest przemoc nieudolna.

Inaczej muchy żyją z dnia na dzień i rzadko która pamięta, że:

Całość ojczyzny święta
Pierwszym powinna być celem,
Że ten jój nieprzyjacielem
Kto o jój szczęście nie dbały,
Kto się jój nie odda cały.

Jeżeli się zgromadzają, to nie dla naradzania się nad spólną potrzebą, lecz albo koło półmiska, albo na brzegu szklanki wina.

— Cóż mają począć?—zapytała mucha.

Pszczoła odrzekła:

Jeżeli chcecie pszczoły naśladować,
I być jak one szczęśliwe, spokojne,
Bądźcie dla dobra powszechnego hojne,
Chciejcie jak one pracować;
Inaczej w każdej pajęczynie
Niebaczny rodzaj zaginie.

Myśl bajki „Starzec i trzech młodzieńców“ (z Lafontaine'a 16 lutego 1816)²⁾, uzupełnia prawdy, wypowiedziane w powyższej. Trzech młodzieńców naśmiewało się ze starca, zasadzającego płonkę, gdyż nie mógł mieć nadziei pożywania jój owoców. Wielkie zamysły, nadzieja, mówili, to nasza rzecz, to rzecz młodzieży, a ty, stojąc już jedną nogą w grobie, myśl raczej o spoczynku. Tak mówili zapomniawszy, że śmierć

Nieuważając na lata,
Starszych i młodych bez różnicy zmiata.

Jakoż przeznaczenie cinciało, że starzec przeżył owych trzech młodzieńców, a dla nas została nauka, że niepewność, jak długo żyć bę-

¹⁾ „Powrót posła.“ Komedia w 3-ch aktach, przez Jul. Niemcewicza P. J. Edycya druga, do której przydane są bajki i dumy. W Warszawie 1791 (druk M. Grölla) s. 113. ²⁾ Bajki, Warsz. 1820, t. I, 226.

dziemy, nie powinna nikogo wstrzymywać od pracy dla pospolitego dobra.

Nikogo? Jest przecież w świecie różnica...

Tak; jest różnica nie zapomniął o tém i Niemcewicz; czego dowodzi bajka „Człowiek i zwierzęta“ (naśl. z angielskiego p. Gay, datowana 1 marca 1814) ¹⁾. Rozmaite zwierzęta przychodzą do człowieka i proszą go o służbę. Każdy przechwala się ze swoich zdolności i obiecuje rozliczne usługi. Człowiek przyjmuje kota i obiecuje mu w nagrodę wszystkie myszy i szczury, które złapie. Podobnież godzi się bez trudności z psem, wołem. Nareszcie pyta się świni, co umie, co robić przyrzeka? Wieprz oburzył się tem zapytaniem i rzekł:

Ja zaś mam robić? wiedz dumny człowiecze,
 Że z dziada, ojca do syna,
 Że cała nasza rodzina
 Nic nie robiła i robić nie będzie.
 W pierwszym śród zwierząt umieszczony rzędzie,
 Jestem szlachocicem, to dosyć powiedzieć,
 Ja zaś miałbym się biedzić,
 I jak ci podli wieśniacy
 Krew mą szlachecką zniżyć aż do pracy?
 Nikt mi tego nie dokáže
 Nigdy się świnia podłością nie zmaże.
 Przywilój od przodków wzięty,
 Przywilój ważny i święty,
 Tę jest w lenistwie pędzić całe życie,
 Jeść do woli, pić dobrze i spać wysmienicie.
 Te naddziadów cześć tak świetną
 Zachowam z pychą szlachezną.
 I co teraz ogłaszam, to dotrzymam ściśle:
 Nie robiłem, nie robię i robić nie myślę.

Słyszając to człowiek, przedstawia opasłemu żarłokowi, że natura wszystkie stworzenia powołała do pracy. Daremnie: i świnia drwi z natury:

Jest w świecie różnica...
 Prawa piszą dla ludu, a nie dla szlachcica.

Trudna rada z przesądem. Poprzestał więc człowiek na przepowiedzeniu czworonożnemu szlachcicowi, że zginie kiedyś nie zaszczytną śmiercią. Tłómacz zaś bajki usprawiedliwia się przed czytelnikami, że przyswajając cudzy utwór naszemu językowi, nie chciał nikogo obrazić, bo zresztą treść jej mogłaby odnosić się chyba do nieboszczyków, co nic nie robili, tylko jedli i pili i sejmy zrywali. Kończy zaś przestroga, że jako przodków, można ich szanować, lecz broń Boże naśladować.

) T. I, 90.

Czém prosta droga względem manowców, tém jest skromny na ustroju żywot w porównaniu z wystawnym, ale pełnym trosków. Dla porównania tych dwóch sposobów życia napisał Niemcewicz bajkę „Szczur miejski i wiejski“ (datowana 24 czerwca 1816 w Skokach) ¹⁾, podług tego samego wzoru, który już inni nasi i obcy bajkopisarze kilkakrotnie zużytkowali. Szczur miejski, ubawiwszy się wyśmienicie u swego kuzyna wieśniaka, zaprasza go następnie do siebie i częstuje najwyszukańszymi przysmakami. Lecz zaledwie się do nich zabrali słycać chałas i szeczekanie brytanów. Szczury w nogi, a wiejski rzece: Nie chcę ja życia takiego: wolę groch suchy w pokoju, niż kapłony w bojaźni.

Darów fortuny godzi się jednak i należy używać, gdy nas Opatrzność niemi zasili, bo łatwo stać się może, iż jutro nie będziemy się niemi cieszyli. W pewnym domu, przedstawionym w bajce „Melon“ (oryg. 1 sierpnia 1813) ²⁾, dają codziennie na stół piękny ten owoc. Ale dzieci nadaremnie uśmiechają się do niego, bo gospodyni odkłada go zawsze na później, spodziewając się gości, przed którymi radaby pochwalić się nowalią. Nareszcie piątego dnia sam gospodarz sprzeciwi się sprzątnięciu melona i chce go krajać, lecz było już zapóźno bo zgnił. Jak melon, kończy poeta, tak i szczęście zepsuć się może.

Każdy z nas ma swoje „ale“, każdy ma swoje ciężary i dolegliwości, każdy nosić musi swoją sakwę i pod tym przynajmniej względem wszyscy jesteśmy sobie równi. To zapewne chciał przedstawić Niemcewicz w bajce „Osły przy rogatkach“ (oryg. bez daty) ³⁾. Jeden z tych osłów dźwigał pamiątki łzami zroszone, drugi ordery i pęcherze wiatrem napchane, trzeci dekreta trybunalskie, czwarty kociołek z garścią siana. Celnik obejrzawszy ich juki, puścił wszystkich bez opłaty. W bajce „Dzwon i serce“ (naśl. z franc. 1 maja 1816) ⁴⁾, też samą myśl rozwija poeta. Każdy z nas ma swego mola, co go gryzie, acz nikt nie wie, gdzie tego mola siedlisko, z kąd wynika, że każdy na coś lub na kogoś narzeka, każdy kogoś ustawicznie oskarża, nie wiedząc, gdzie szukać przyczyny swoich cierpień. Ale ci, których oskarżamy, składają winę na innych, ci znów na innych i tworzy się tym sposobem łańcuch, którego początek oku ludzkiemu niedocieczony. W rzeczonéj bajce serce dzwonu narzeka, że musi ciągle pracować. Dzwon zaś składa winę na sznur, sznur na dzwonnika, a dzwonnik na plebana, który będąc głuchym, nie słyszy skargi. Podobnie i los jest głuchy. Jest więc przeznaczeniem naszém cierpieć, nie wiedząc dla czego. Najbliższa cierpień naszych przyczyna, którą zwykle bierzemy za istotną, jest nią tylko pozornie, a właściwie jest tylko skutkiem tysięcy poprzedzających.

Nieszczęście samo w pięknej, poetycznej szacie przedstawia Niemcewicz. „Szczęście i nieszczęście“ ⁵⁾ w bajce tegoż tytułu (naśl.

1) T. I, s. 211. 2) T. I, s. 144. 3) T. II, s. 151. 4) T. II, s. 146.

5) T. II, s. 44.

bez daty) są rodzeństwem. Gdy byli dziećmi, wszyscy szczęście pieścili i psuli a z nieszczęściem obchodzili się źle. Gdy podrośli oddano ich do szkół. Tam szczęście, leniwe i głupie nie uczyło się, lecz spało. Nieszczęście zaś pracowało usilnie. Podobne były i dalsze koleje ich życia. Szczęście sławiono i kochano, nieszczęściu przyganiiali wszyscy. Nieszczęście jednak nie było całkiem nieszczęśliwe, nauka bowiem dostarczała mu tysiąca tajemnych rozkoszy, szczęście zestarzało się przedwcześnie i ulegało ciągłym chorobom, podczas gdy nieszczęście zawsze czerstwém cieszyło się zdrowiem. Nareszcie obaj bracia weszli w związek małżeński: Szczęście pojęło pannę bogatą, z dobrego domu, ale niestałego charakteru. Nieszczęście zaś, nie dbając o dochody, poślubiło Nadzieję, a ta uszczęśliwiła go na całe życie, całe życie ozłociła mu blaskiem.

Nieczułość pięknie porównywa nasz poeta z tkliwością w bajce oryginalnej „Fiołek i kamień“ (19 lutego 1812 r.)¹⁾. Kamień sztych z fiołka, który w każdym listku odczuwa radość lub smutek. I cóż ci z tego, rzecze kamień, żeś tkliwy? za chwilę szczęścia, ileż ci godzin zatrąły frasunki...

Dziękuję za rady takie,
Ja ich bynajmniej nie cenię;
Dla mnie na świecie wszystko jest jednakie,
Dla tegom czerstwy i dobre mam zdrowie.

— Gadasz, jak gadać nawykły kamienie, odpowie fiołek; nie zna wesela, kto smutku nie doznał.

Bajka „Dyogenes“ (bez daty, tłóm. z fran.)²⁾ jest także pięknym traktacikiem o nieczułości ludzkiej. Dyogenes pada na twarz przed pysznym posągim, stojącym na rynku ateńskim, wznosi ręce i błaga bóstwo o litość.

Lecz gdy długo w żebraczej zostaje postaci,
Rzekł mu jeden z greków braci:
— Filozofie, cóż myślisz swém zyskać modleniem?
Ten posąg... twardym kamieniem,
Bez serca, bez mózgu w głowie.
— Prawda, filozof odpowie,
Lecz cóż innego są ludzie?
Wielbią to glazy twarde,
Kiedy u nich zebrzę tkliwie,
Uczę się ludzką pogardę
Znosić cierpliwie.

„Laur, mirt, i cyprys,“ (oryg. bez daty)³⁾ jest najpiękniejszą, najstaranniej napisaną bajką téj kategorii. We wstępie opowiada

¹⁾ T. I, s. 128. ²⁾ T. I, s. 114. ³⁾ T. I, s. 228.

poeta, jakto w czasie pobytu swego w Ameryce samotność i tęsknotę swoją słodził przystuchiwaniem się szmerowi liści w dzikiej puszczy. To nastęczyło mu sposobność poznania skłonności i zwyczajów roślin i nauczania się ich języka, a wtedy dowiedział się z ich rozmów wielu ciekawych rzeczy. Wszystkiego, co się dowiedział, niepodobna opowiedzieć, bo w życiu roślin, podobnie jak w życiu ludzkim, nie wszystko jest budujące. Lecz na próbę warto przytoczyć choć jedną rozmowę. Poeta jest u siebie:

Było to w długiej jesieni,
 Gdy liść na drzewie zieloność swą mieni
 I zwiędły pada. Stały na stoliku
 Dwie świece, przy nich szpargałów bez liku.
 Stłumiony daszkiem kiedy płomień słaby
 Izbie mdlącej światłości udziela,
 Rzucając cały blask na Rafaela —
 Cudnego pędzla podwajał powaby.
 Nic piękniejszego jak moja Madonna
 I boskie dziecię pnące się do łona;
 Lecz gdy me oczy wabi wdzięków tyle,
 I w słodkiej ciszy ulatują chwile,
 Raptem mnie jakieś słowa uderzają,
 Słucham, aż w gąnkach drzewa me gadają.

Były to: laur, mirt i cyprys, w dużych wazonach na oknach stojące. Laur chełpił się, że zachowując zawsze świeżość i zieloność, jest drzewem bohaterów, że człowiek, aby pozyskać jedną jego gałązkę, gotów narażać się na największe niebezpieczeństwa. Skromniejszy mirt nie łaje losom, że mu tak wysokiego nie dały stanowiska, dziwi go jednak, że laur tak się pyszni ze swego, bo właściwie bywa on tylko nagrodą za klęski ludzkości zadane: wieńczy tego, który wolnych ujarzmią, bogate grody zamienia w pustynie. On przeciwnie, mirt, jest krzewem miłości, godłem szczęścia, ozdobi tylko czoło oblubienicy. Mniej zapewne znaczy w świecie od lauru, ale woli i wyżej ceni ciche swoje przeznaczenie. Niebawem przyłączył się do tych sporów i cyprys, podobnie siebie najwyżej ceniący.

— Jakże długie wasze panowanie? — mówił, — trwa ono póty, póki człowiek jest młody: w starości żaden z was mu nie służy.

Ja, nim śmierć przyjdzie, lat nikczemnych goniec,
 Wszystkich wielkości przypominam koniec;
 Ja drzewo smutne, ja cyprys posępny,
 Przecież towarzyszy nigdy nieodstępny,
 Ja, choć się trumna zawrze ciężkim wiekiem,
 Idę do grobu za człowiekiem.

We wszystkich tych bajkach, jak widzimy, zachęca autor do

cnotliwego, rządowego i pracowitego życia, uwielbia mierność byle swobodną. Głosi więc prawdy stare jak świat i każdemu znane: ale jego szlachetna prostota, jego wyborny humor, jak nie mniej filozoficzny pogląd na słabości ludzkie i głęboka znajomość charakteru narodowego, a przytém wyborny wszędzie rysunek, wszystko to przyprawione lekkim dowcipem i okraszzone wdziękiem poczui, nie tylko uczy, ale oraz przemawia do serca. Dla tego téż i dziś jeszcze z rozkoszą wpatrujemy się w te miniaturowe obrazki i podziwiamy rękę artysty, która je nakreśliła.

II.

Kobieta zalotna. — Zazdrość. — Plotki. — Miłość i jej rodzaje. — Małżeństwo. — Trudność w wyborze. — Teraźniejsi konkurenci. — Najstraszliwsza wada panien. — Odosobnienie szczęścia nie przynosi. — Niezgodne małżeństwa. — Wychowanie dzieci. — Macochy i pasierby. — Guwernantki zamorskie. — Angielszczyzna. — Emancypacja kobiet.

Jak róża, która woń swoją na wszystkie strony roni i wszystkim bez różnicy pozwala się nią rozkoszować, tak kobieta zalotna czułość swoją, uśmiechy i spojrzenia zwraca do wszystkich bez wyбору, uczy bajka „Róża i fiaszeczka“ (oryg. 1 marca 1809)¹⁾. Los kobiet zalotnych jest też podobny do losu róży. Chociaż ją zorza łzami swemi rosi, chociaż jest wzorem kwiatów, kto ją weźmie zrana, porzuci wieczorem. Zalotników mieć będzie poddostatkiem, ale nie znajdzie przyjaciela. W bajce powyższej róża przedstawia kobietę zalotną, a fiaszeczka z perfumami ukochanego przyjaciela. Ich pani nie dba o różę, a natomiast fiaszeczkę z perfumami przenosi nad wszystkie narzędzia piękności, nad puszki, nalewki, grzebienie, nawet nad takiego powiernika, jakim jest lustro. Tylko pani ręka może jej dotknąć, ona ją tylko otwiera i nosi zawsze na piersiach.

Dobitnie scharakteryzował Niemcewicz zalotność w bajce „Miłość i wabność“ (zalotność)²⁾ oryg. 12 marca 1808 r. Rzecz dzieje się na wyspie Pafos. Nimfy, nie mogąc rozweselić Kupidyna, doradzają grę w ślepą babkę. Idą więc wszyscy na łąkę i gra się zaczyna:

już boginie hoźo
Rozproszyły się między jaśminy i różo.
Kaźda z nich suwa jak łania,
On się za niemi ugania.
Kręci się w koło a w kaźdem ruszeniu
Trzęsio kołczan na małem ramieniu,

1) T. I, s. 55. 2) T. II, s. 94.

Znużony biegiem, skrzydełka rozwija
Miga się szparko na powietrzach czystych.
Tę skrzydłem dotknie, tę niezręcznie mija.
Nie słychać jak krzyk i śmiechy!

W końcu chwytą jedną z nimf. Ale na tém nie koniec: trzeba zgadnąć jak się nazywa.

— Jestem Czułość!—zawoła Nimfa.

Śmiertelnik możeby temu uwierzył, ale bóstwo nie tak łatwo oszukać. Choć ślepy, poznał kogo trzyma i schwytaną nimfę odmalował następnie:

Szczerym uśmiechem pierś się twa nie wznosi,
A zimne serce z skłonnościami zgodnie
Nie bije silnie, lecz chodzi wygodnie,
Można się z tobą pośmiać i zabawić
Ale...

Zazdrość, niesłusznie poczytywaną za właściwszą pięknej niż brzydkięj połowie ludzkości, przedstawia autor w bajce „Spór o pierwszeństwo“ (oryg. 10 maja 1816 r. ¹⁾), w nader groźnej postaci.

Z złości trzęsąc się cała, z grzywą najeżoną
Z wklęsłem w policzkach okiem, z paszczą zapienioną
Zzymając się wypada, na nic nie pamięta.
Nie pasye same, bardziej cnoty i talenta
Jéj bluźnierstw, zawziętości są najpierwszym celem,
Dość być wyższym, by zostać jéj nieprzyjacielem.

W takiéj to postaci stanęła ona pospołu z innemi namiętnościami przed tronem Jowisza, gdy się raz wszczął między niemi spór o to, która jest najlepsza. Bogowie i boginie stanęli zaraz w obronie namiętności. Tylko jedna namiętność, właśnie zazdrość, nie znalazła pomiędzy niebianami ani protektora, ani protektorki. Po wytoczeniu i rozważeniu sprawy, Apollo obwieścił wyrok niebios, że wszystkie namiętności są sobie równe prócz zazdrości, która jest z nich najgorszą. Wyliczywszy jéj grzechy, kazał się jéj oddalić, mówiąc:

Nie każ mieszkania bogów obrzydła i wściekła,
Wracaj zkąd masz początek, wracaj w głębie piekła.
A że pięknością cnoty nigdyś nie ujęta,
Bądź na zawsze ohydna, na zawsze przekłéta.

Mniej groźnie odmalował, ale za to skarcił sarkastycznym dowcipem zazdrość w bajce „Paw i sowa“ (oryg. 5 sierp. 1813) ²⁾. Paw, którego sowa wyśmiewała, że brzydki—„wiem o co idzie, odpowiedział, z przekąsem: brzydkim dla tego, że ty jesteś ładna.“

¹⁾ T. II, s. 116. ²⁾ T. I, s. 123.

Te kobiety, które zazdroszczą innym powodzenia, jakie daje piękność, radeby także uchodzić za piękne, chociaż niemi nie są, znajdują dla siebie naukę w bajce „Zefir i piwonia“ (bez daty z końca szóstego stulecia) ¹⁾. Zefir szuka róży, kochanki swojej, a piwonia, widząc, że jój nie znajduje, chce wmówić w niego, że i ona jest różą. Nie jesteś zrzeczna w przebraniu, odpowiedział jój zefir:

Żeby być różą, nie dość być ozerwoną,
Trzeba być wonną i wdzięczną.

Że zazdrość często daje początek plotkom i w ogóle ma z niemi wiele do czynienia. Kładziemy tu piękny, poetyczny obraz ich powstawania i znikania, skreślony w bajce „Plotki“ ²⁾. pochodzącej także z końca przeszłego stulecia. Opowiada tu autor, że idąc raz na przechadzkę, postrzegł niespodzianie widmo z dużym koszem w ręku, stojące nad rolą uprawną. Widmo dało się mu poznać. Był to błąd, zasiewający lekkość i zazdrość, z których wyrastają plotki. Zaledwie rzucił garść nasienia, w mgnieniu oka podniósł się plon, zazieleniła się rola, rozwinęły się kwiaty i zarumieniły owoce. Zbiegło się zaraz mnóstwo ludzi i dalejże nasycać się powabnym owocem, który, choć wewnątrz pusty, wszystkim zdawał się bardzo smakować, bo jedni zajadali go chciwie, drudzy pakowali śpiesznie w pudła, aby świeżemi plotkami obdarzyć krewnych i znajomych. Kobiety zbierały plotki miłosne, politycy baśnie i łgarstwa, odpowiadające ich widokom, pochlebcy i zausznicy plotki domowe. W tém nagle ukazuje się w oddaleniu niewiasta, białym rąbkiem okryta, z pochodnią w ręku. Była to Prawda. Zaledwie rzuciła okiem na plotki, zniknęły wszystkie, a lud nie mógł wyjść ze zdumienia, że go tak plotki cieszyły, będąc tylko dymem fałszywym.

Poeta kończy:

O święta prawdo, mieszkaj zawsze z nami,
Ciebie my ślubem wzywamy zycziwym,
Niech błąd niezgody pośród nas nie wznieca,
Niech naród światły zawdy jasno widzi,
Szanuje prawdę, a plotek się wstydzi.

Z pomiędzy bajek, poświęconych miłości, najdawniejsza jest „Dwa gołębie“ (z końca zeszłego stulecia, naśladowana z francuzkiego) ³⁾. Dwa gołębie kochały się czule, ale jeden z nich, dotknięty chorobą nudów, zapragnął przelecieć się po świecie, i nie zważając na prośby i przedstawienia drugiego, wybrał się na wędrowkę. Doznawszy jednak różnych smutnych przygód, wrócił prędzej niż się spodziewał i ze złamaném skrzydełkiem, co pobudza poetę do następujących uwag i rad:

¹⁾ T. II, s. 47. ²⁾ T. II, s. 9. ³⁾ T. II, s. 27.

Koolankowie szczęśliwi, których miłość wieńczy,
 Niech was podobna ciekawość nie dręczy,
 Bądźcie wy zawsze jedno dla drugiego
 Okręgiem świata całego.
 Ach! przyjdzie podróż, która każdego człowieka
 Prędzej lub później czeka!
 Dziś póki rozkosz, nadzieje,
 Póki wam się życie śmieje,
 Wy sami w sobie szukajcie słodyczy
 Reszta niech się za nic liczy.

Przy końcu poeta mówi o sobie samym:

I jam też kochał w mój młodości kwiecie...
 Wtenczas za wszystkie bogactwa na świecie:
 Za firmament, za jego blask sklepień gwiazdzistych
 Nie oddałbym tych gajów, tych strumieni czystych,
 Które pasterka moja uczęszczała,
 Które oczyma swemi oświecała.
 I gdzie przyjęła przysięgi me tkiwe.
 Niestety! nie wróca się chwile tak szczęśliwe?
 Gdy widok tylu piękności
 Wabi oczy i wznieca płomienie miłości,
 Ja próżno będę wydawał wzdychania!
 W smutnej życia mego dobie,
 Mamże już powiedzieć sobie
 Przeszedł dla mnie czas kochania?

W wiele lat później, bo w r. 1807 będąc w Paryżu, przetłómaczył Niemcewicz z angielskiego bajkę Miłość i rozum ¹⁾. Miłość, biegając swobodnie po ogrodzie, unikała przechadzającego się z wolna Rozumu, gdyż zastaniał jej słońce i rzucał na nią cień, który ją zimnem przejmował. Przecież, całodziennem umęczona bieganiem, zapragnęła wreszcie ochłodzić się i sama szukała Rozumu, ażeby odpocząć na jego łonie. Znalazła go, ale zaledwie Rozum owinął ją swoją zimną szatą, ochłodzona nagle, skonała. Technienie rozumu stało się dla niej zabójczem, bo miłość i rozum, to dwa przeciwieństwa: miłość nie może istnieć obok rozumu — musi być szalona.

Najlepszym środkiem do pozyskania miłości jest podług Niemcewicza dowcip i wesołość, obok innych przymiotów i dowodzi tego w bajce Miłość zabawna (oryg. 1 grudnia 1808) ²⁾, przykładem wziętym zapewne z życia rzeczywistego. Jakaś piękność daje obiady dla poetów, z których każdy obowiązany jest odczytać po obiedzie

¹⁾ T. II, 79. ²⁾ T. II, 130.

traktat o miłości. I ona także czyta własny utwór o tym przedmiocie, w którym, wyliczywszy rozliczne psoty amorków, dowiodła,

iż kiedy każdy zwiedzie lub osławi
 ten z nich najlepszy, co dowcipnie bawi.

Jakoż wkrótce zakochała się w młodzieńcu, łączącym w sobie wszystkie przyjemne przymioty, który nie był ani zbyt trwożny, ani zbyt śmiały a przytém dowcipny i wesoły, umiał grać i śpiewać, tańczył jak zefir a nawet wiersze pisał i przepisywał. Jestto więc upomnienie dla młodzieży, aby się starała o nabycie przymiotów towarzyskich, oczywiście obok innych zalet, bo niepodobna przypuszczać, aby Niemcewicz uważał tamte za dostateczne. Panny nasze były zawsze dosyć wymagające, nierzadko marzyły o bohaterach i mało pomiędzy nimi znalazłoby się takich, któreby zadowolnił ideał w bajce przedstawiony.

Później zrobił Niemcewicz spostrzeżenie, że sposób, w jaki ludzie kochać się zaczynają, uległ zmianie, że miłość nie wchodzi do serc jak dawniej, to jest wprost i z odsłoniętą przyłbicą, lecz wkrada się pod maską przyjaźni. Z tego powodu napisał bajkę Miłość przebrana (oryg. 20 lutego 1811) ¹⁾, w której opowiada o powodzeniach Miłości osiągniętych tym nowym sposobem. Kupidyn, widząc, że wszyscy go unikają, przybrał postać Przyjaźni a tak doskonale odgrywał swą rolę, że go nikt nie poznał dopiero wtedy, gdy wszyscy, garnąc się do niego zaczęli, jął wypuszczać strzałę po strzale. Odtąd:

Nie widać jak miłosne ukradkiem spojżenia
 Nie słychać jak głębokie i ciężkie westchnienia
 Wciąż się szerzy zaraza — dalecy i bliscy,
 Jak jakie waryaty kochają się wszyscy.

Przekonał się tedy Kupidyn, że to jest najlepszy sposób uwodzenia, dla tego też:

Czy to na wsi, w mieście, czy na dworze
 Pokazuje się zawsze w przyjaźni ubiorze.

Przechodząc do bajek, tyjących się małżeństwa, położymy na pierwszym miejscu bajkę Leda (z franc. 23 maja 1813 w Pradze) ²⁾. Jest to dowcipny przycinek dla panien niezbyt wybrednych w wyborze. Leda zaślubiła łąbędzia; dzisiejsze damy:

Nieraz za mężów (nawet lubowników)
 Biorą indyków.

Do tych zaś, które są zbyt trudne w wyborze, odnosi się bajka Trzewiki (oryg. bez daty) ³⁾. Córce nader wybrednej i w skutek

¹⁾ T. II, 104. ²⁾ T. I, 137. ³⁾ T. II, 91.

tego nie idącój za mąż, tkómaczy ojciec, bojący się, aby nie osiadła na koszu, że:

Pierwsze jest każdój panny powołanie
Myśleć o małżeńskim stanie.

Panna poszłaby chętnie za mąż, ale nie może się zdecydować. Ojciec mówi więc do niój przez podobieństwo: Rozsądna panna trzyma się w tój mierze tych samych reguł, co w wyborze trzewików. Gdy jedzie na bal, bierze białe atłasowe, ale takie dobre są tylko do tańca. Na codzien innych potrzeba i mniej modnych, a za to wygodnych, dających się użyć, czy pogoda czy słońce. I kończy:

Toż samo z mężem, inna rzecz jest wcale,
Pośmiać się trochę, lub jechać na bale
A inna w dobrym albo i w złym bycie
Ciągłe pędzić całe życie.

Basia zrozumiała wyjaśnienie myśl ojca, bo kupiła sobie od razu dwie pary trzewików balową i codzienną. Myśl do tój bajki była wzięta z rzeczywistości, autor bowiem powiada, że ją „podał grzeczny Badyńi;” nie wiadomo tylko czy ten Badyńi był mężem, ojcem czyli też kochankiem pojętnój Basi.

Nie zbyt pochlebne wyobrażenie miał Niemcewicz o młodzieży męskiej, gotującój się do stanu małżeńskiego. Uderzał go u niój zagęszczający się coraz bardziej materyalizm, który też wychłostał w bajce oryginalnej Nowy sąd Parysa ¹⁾.

Parys prawdziwy oddał jabłko bogini, którą uznał za najpiękniejszą. Dzisiejszy... aż strach pomyśleć, jak się odrodził. Stają przed nim trzy dziewice: Zoe, ze skarbami mądrości, Egle zachwycająca pięknoscią i Kloe, garbata i brzydka lecz zato z trzosem w ręku. Każda zachwalała to, co z sobą przyniosła, ale ostatnia, wyliczywszy co posiada, obiecała jeszcze więcj...

Tu bogini mała .

Cztery mu piękne gwiazdy pokazała,
Klucz szambelański, sześć małych krzyżyków
Dwa złote, siedm małych medalików.

Na widok trzosów brzęczących,
I tylu cacek wabiących,
Nie waha się Parys modny,
Wiek swego nieodrodny.
Z Wenerą i Minerwą pożegnanie skróca
I cały się na złoto i garbuska rzuca.

¹⁾ T. II, 113.

Dosadnie maluje także ówczesne stosunki społeczne zabawna bajka Kotka (oryg. bez daty) ¹⁾. Wstęp przedziwny:

Jak między ludźmi tak wśród zwierząt innych,
 Natura wielką sprawiła różnicę:
 Czy na kobiety spojrzym, czy też na samice,
 W kształcie, rozumie, wdziękach ich niewinnych,
 Są między niemi i skromne i dumne,
 Troszeczkę głupie i bardzo rozumne:
 W téj, mniej lub więcej przystojna figura...
 Niech Pan Bóg broni, żeby brzydka która.
 Takich, co wszystko wzięłyby w podziale,
 Przyznać należy, że nie bardzo wiele.

Otóż była kotka, która wzięła w podziale wszystko. Autor nie może się dość nachwalić jéj głowy, jéj włosów, jéj czułego i mdlejącego wzroku.

Nawet w miauczeniu miała coś słodkiego
 I do serca idącego.

Że zaś odebrała wyborne wychowanie, nie dziw, że gdzie się tylko obróciła, koty rojami wlokły się za nią i każdy mówił jéj o swych płomieniach, oświadczał jak gorąco pragnie, aby go uszczęśliwiła swoją łapką, każdy znosił jéj w darze najlepsze myszki i ptaszki. Ale kotka była zimna jak lód na te wszystkie zapąły. Odrzucała i zaloty i dary. Urażeni tém konkurenci udali się ze skargą do matki. Była to poważna rzadkiej cnoty matrona.

Nie zwiędzała obcych krajów
 Lecz przywiązana do dawnych zwyczajów
 Żyjąc z daleka zgiełków i hałasów,
 Bolała ciężko nad zepsuciem czasów.

Wysłuchawszy skargi, zamiast obwiniać córkę, ku wielkiemu zdziwieniu konkurentów oświadcza, że córka postępuje zgodnie z jéj wolą. Nie kocha nikogo, bo nie ma kogo kochać. Jakaż to teraz miłość? I dawniej kochano, ale miłość była tajemnicą—kto się kochał, nie chełpił się z tego. A jakichże to względów doznaje dziś płec piękna? Gdzie przystojność? gdzie winne uszanowanie? A jaka moralność? Dopóki się to nie zmieni, dopóki nie zaczniecie postępować inaczej:

Choćby to miano i za rzecz naganną,
 Wolę, że córka moja umrze starą panną.

Tak więc konkurenci kotki osiedli na koszu. Niechże pokutują

¹⁾ T. II, 234.

za ducha wieku i za swoje osobiste, nie zbyt chlubne przymioty. Wszak zdarza się, że i płeć piękna osiada na koszu z własnej winy, acz bezwątpienia rzadko dla tych przyczyn, które na ten los naraziły sławną swojego czasu Pannę Guzdralską (oryg. bez daty) ¹⁾. W bajce téj Niemcewicz dał nam typ flegmatyczki, już prawie nie istniejący, bo wiek nasz, którego zasadą jest żyć szybko, nie wydaje takich bohaterek. Panna Guzdralśka była to osoba, ubogacona we wszelkie wdzięki, pełna najpiękniejszych przymiotów. Była dzie-dziczką pięknego imienia i nie małej fortuny. Jedną zaś tylko miała wadę, jedną i tak małą, jak pyłek na róży. Oto Panna Guzdralśka żyła w niezgodzie z czasem, niepojmowała na co ludzie wymyślili dni, nocy i godziny, cóż dopiero minuty i sekundy, a w skutek tego:

W przewrotnym trybie pędziła swe życie
Świt był u niej w południe a północ o świcie.

Proszona na obiad, przyjeżdżała po obiedzie, do teatru, gdy spuszczano zasłonę, na mszę, gdy kościół zamykano. Wada tak drobna nie odstręczała bynajmniej licznych wielbicieli. Przed innymi otrzymał pierwszeństwo pan wojewodzie herbu Gozdawa, a tego rodzaju ludzie są, jak powiada Paprocki, bitni na wojnie, ale nadewszystko wytrwali.

Pan wojewodzie, jadąc na wesele, rozpamiętywał szczęście, które go czekało. Wówczas przyszła mu na myśl maleńka wada oblubienicy, ale odpowiedział tę myśl złowieszczą:

Nie ona, lecz czas nie wie, która jest godzina,
Wszak po weselu wszystko inaczej się stanie,
Gdyż w każdym kącie i na każdej ścianie,
By zapomnienia ustrzedz się przywary
Poustawiam, powieszam zegarki, zegary.
W tych młoteczek bić będzie w dzwonek z srebra kuty
Godziny i kwadranse, sekundy, minuty.

Jedzie więc z świetnym orszakiem, wiodąc z sobą chorągwie kopytników, tatarów, stado koni z siedzeniami, kulbakami, tyftykami, lśniącemi od złota i drogich kamieni, hufiec przyjaciół w sobolach i aksamitach i t. d., i t. d.

Na ślub wyznaczono godzinę jedenastą przed południem. Goście, krewni, przyjaciele udali się do kościoła. Prymas z pastorałem w ręku usiadł na tronie. Zapalono świece—wszystko gotowe; tylko oblubienicy nie ma.

A gdy czekają już blisko godzinę,
Posłał ojciec zapytać o zwłoki przyczynę.

¹⁾ T. II, 60.

Powrócił goniec z prośbą, by zaczekać trochę,
 Że panna jedną włożyła pończochę,
 I jest nadzieja, że w chwilę niedługą
 Włoży i drugą.

Tymczasem młotek trzecią na zegarze głosi,
 Gdy człek wysłany odpowiedź przynosi,
 Że panna zapomniała, która jest godzina,
 Ale że włosy już trefić zaczyna.

O piątój znowu goniec od hożej dziewicy,
 Że tylko chce falbanę przyszyć do spódnicy,
 Że potem przyjdzie. Gdy latają gońce
 Już się też do zachodu nachyliło słońce.

Burzą się w panu młodym chuci niecierpliwe,

Już czczość wielką żołądka i zwijanie ekliwe
 Czują zebrani goście, gdyż każdy od rana,

Wiedząc jako biesiada była zgotowana,
 Że go wkrótce czekały pulpety, bekasy,
 Nie zjadł kawałka chleba ni nawet kielbasy.

Poziewały kobiety i panowie rady

A nawet uważano, że ksiądz prymas blady.

Leci sam wojewodzie, pada na kolana

Zaklina, żeby przyszła choć i nieubrana.

— Pozwól, odpowie panna, niech tylko kadryle
 Przykróć trochę a przyjdę za chwilę.

Niespokojny pan młody na powrót przybiega.

Słucha, aż strasznym wrzaskiem kościół się rozlega.

Ksiądz prymas zemdlął; gdy go trzeźwią kanonicy,

Poziera wojewodzie, aż blisko kaplicy

Leży zemdlonych kilku radnych panów,

Dwóch wojewodów i trzech kasztelanów!

We łzach rodzice oboje.

Wtenczas, jak gdyby w zimny zanurzone zdroje,

Czuje, że miłość zgasła; tak szerzy swą żalność:

Kiedy widzę do ślubu taką opieszalność,

Kiedys tak mało dbała na mą niecierpliwość,

Jakażby nasza była w pożyciu szczęśliwość,

Jaki rząd w gospodarstwie i przykład dla dzieci?

Napróżno tysiąc ponęt w tobie świeci —

Niech je inny posiada, łatwo go wybierzesz;

Ja się wprzód zestarzeję, nim ty się ubierzesz.

To kończąc, słowa nie mówiąc nikomu,

Wsiadł w kolebkę i wrócił do domu.

Nie ma nikogo, komuby choć raz w życiu nie sprzykrzył się gwar otaczającego społeczeństwa, ktoby choć na chwilę nie zapragnął odsunąć się od zgiełku świata, zakosztować słodyczy pokoju i samotno-

ści. Nie mówiąc już o kochankach, którym rozsądek zdaje się szyderstwem a zwyczajne sprawy życia świętokradztwem, iluż to zrażonych wadami swego otoczenia, znękanymi zawodami nie wzdycha za odosobnieniem, za stepem bezludnym. Jednakże człowiek nie obejdzie się bez towarzystwa ludzkiego dla wielu przyczyn, wynikających z samej jego natury.

Dosadnie, acz tylko odnośnie do młodego małżeństwa, wyklada nam tę prawdę Niemcewicz w bajce *Dwa ptaszki* (oryg. 9 lutego 1810) ¹⁾. Samczyk i samiczka, sprzykrzywszy sobie towarzystwo innych ptaków, w których widziały same tylko wady, postanowiły porzucić tę szczebiotliwą tłuszczę, ten świat wielki, bałaśliwy a jednak pusty dla istot, znających się na jego zwodniczym blasku. Cóż tu robić pomiędzy niemi? mówiła samiczka do samca. Jakaż rozkosz mogą znaleźć tu wierne i tkliwe serca nasze? Gdy się ptactwo zleci na posiedzenie, coż się tam dzieje?

Tutaj sójka szydzi,
 Dalej trzpiot szczygieł sam nie wie co bredzi.
 Tam gołębica, wdowa od lat wielu
 Jęczy po swym przyjścielu,
 Tu swe umizgi prowadzą czeczotki,
 Tam sroki dzikie rozgadują plotki.
 Co mówię, nieraz przylecieć gotowa
 Nadęta sowa.

W porównaniu z nudną terażniejszością, jakże powabną wydawała się im puszca, z trochę ziarna i wody, gdzie bez natrętów mogliby żyć swobodnie sami z sobą i tylko sobą zajęci...

Polecieli więc i wkrótce stanęli u celu swych życzeń. Lecz jakże mało ptaki a podobno i ludzie znają siebie. W pierwszych dniach, było im dobrze jak w niebie, całowanie tylko przerywało ich czułe rozmowy. Ale z czasem zabrakło wątku do wynurzeń, pieśczoły spowszedniały, coraz częściej poziewali oboje; od nudów przyszło do kwasów, lada przyczyna wywoływała pomiędzy niemi sprzeczki i kłótnie—i prędzej niż się zdawało, zatęskniły za przeszłością.

Cóżby naówczas luba para dała
 Żeby przynajmniej choć sowa zleciała...

Nareszcie poznały, że „niesmak świata, zbytek osobności, są trucizną dla miłości,“ że „towarzystwo jest zaprawą kochania,“ że „choć miło rzewnić się wylewy tkliwymi, lecz miło czasem pogadać z drugimi.“

Wróciły więc do gajów, połączyły się z towarzystwem, poddały się napowrót jego prawom i zwyczajom i lepij im z tém było.

¹⁾ T. I, 160.

Zkąd się bierze tyle niezgodnych małżeństw, opowiada Niemcewicz dowcipnie w bajce *Kupidyn i Szaleństwo* (oryg. 3 czerwca 1807 na morzu, na wysokości wysp azorskich) ¹⁾. Kiedy Kupidyn był jeszcze małym dzieckiem, miał Szaleństwo za towarzysza igraszek i swawoli. Raz pobili się i Szaleństwo pozbawiło Kupidyna oczów. Wenera żalem zdjęta pojechała zaraz z ukochanym synem na skargę do Jowisza. Szaleństwo zaś, przewidując burzę, przysiadło się z tyłu za rydwanem, aby być świadkiem skargi i gdy Wenera, stanąwszy przed Jowiszem, wypowiedziała swoje żale, i ono też jęło się usprawiedliwiać. Nic mu jednak nie pomogła obrona. Jowisz skazał Szaleństwo, aby odtąd było przewodnikiem Kupidyna. Otóż od owęj chwili Szaleństwo towarzyszy zawsze miłości, ono nią kieruje. Mogąż więc być zgodne małżeństwa?

Jeszcze podczas pobytu w Ameryce napisał Niemcewicz bajkę *Dwa woły* (oryg. 16 marca 1806) ²⁾, w której zawarł radę dla małżeństw niezgodnych, jak mają postępować, aby życie było im znośniejsze. Przypomniał w tej bajce małżeństwo niezgodne parze dwóch wołów w jarmie obok siebie idących, z których:

Gdy jeden cofał, drugi ciągnął żwawo
Gdy ten na lewo, ów targał na prawo.

Co owym wołom poradziła sroka, przypatrująca się ich niezgodzie, to autor stosuje do ludzi:

Czy los ślepy, czyli też nadzieje zawodne
Połączą wiecznym związkiem humory niezgodne
I pląg życia rozkażą ciągnąć obok siebie —
Umiejcie ciężkiej ulegnąć potrzebie;
Rozwód niesie zakalę, kłótnie trują życie:
Lepiej strzedz się zgorzenia i ponosić skrycie.

Od małżeństwa przejdźmy do bajek, poświęconych wychowaniu dzieci. Jak w bajce *Suczka ze szczeniętami* (oryg. d. 2 października 1816) ³⁾, każda matka marzy o losie swoich dzieci. Ale niezłściły się marzenia suczki i matki często podobnego doznają zawodu. Autor kładzie tę bajkę na czele zbioru bajek swoich, wydanego w r. 1817. Uważając bajki za swoje dzieci duchowe, powiada:

Co się tój suczce stało z szczeniętami,
Mnie stać się może z mojami bajkami

i kreśli humorystyczny obraz przyszłego losu tych bajek w sposób świadczący o jego skromności wcale nieprzesadnej.

W bajce *Kura i kacząta* (oryg. 11 grudnia 1808) ⁴⁾, przed-

¹⁾ T. II, 73. ²⁾ T. I, 41. ³⁾ T. I, 35. ⁴⁾ T. I, 51.

stawił wychowanie pasierbów, którzy, podobnie jak kacząta przez kurę wylęgłe, puszczają się bez opieki i dozoru na niebezpieczeństwa. Pliszka, widząc, co się dzieje z kaczącami, powiada do nich:

Śliczna też to wasza mama,
Bawiąc się z kogutem sama
Nie dba o wasze zdrowie,
Jak też może być tak płocha!

Jedno jój z kacząt odpowiada:

To tylko nasza macocha.

Są jednak i matki rodzone, które o własne dzieci jeszcze mniej dbają, niż macochy o pasierbów, lub pomiędzy własnymi dziećmi robią różnicę, co wypieszczonym faworytom najczęściej na złe wychodzi. W bajce Małpa i jój dzieci (oryg. bez daty) ¹⁾, dwóch synów ma pewna małpa. Młodszego pieści i psuje, o starszego nie dba. Raz, gdy się z młodszym przechadzała, podczas gdy starszy błąkał się samotnie po lesie, przypadł wilk. Starszy syn zahartowany w poniewierce, zręczniejszy i przytomniejszy właśnie dla tego, że go nie pieszczono, nie psuto, uciekł na drzewo i ocalał. Matka zaś toczyła ze sobą przez chwilę śmiertelną walkę. Z dzieckiem niepodobna jój było wdrapać się na drzewo—pozostawało jój było albo razem z niem zginąć, albo wydać dziecko na łup, a samój uciekać. Miłość życia wzięła górę nad uczuciem macierzyńskim—rzuciła dziecko i prędko dopadła drzewa a tymczasem wilk pożarł faworyta.

Najważniejszą w tym dziale jest bajka Bobry (oryg. 7 października 1813) ²⁾, w której żywo, wymownie i przekonywająco opisane są skutki złego wychowania dzieci. Bobrzyca widziała, co się działo w pobliskim zamku dziedzica włości

jak tam wszystko jaśniało.
Jak małe dzieci pomiędzy szpalerem
Chodząc sobie z guwernerem
Jak gdyby na téj nie zrodzonej ziemi,
Gadały słowa obcemi.

Bardzo się to podobało bobrzycy, namówiła więc potulnego małżonka, który miał ten piękny zwyczaj, że żonie na wszystko odpowiadał „dobrze,” iż pozwolił powierzyć wychowanie dzieci wałęsającej się po świecie papudze, co właśnie była się nawinęła, a która, jak mieniła bobrzyca

kiedy dziób otwiera,
Nakształt dworskiego gada guwenera.

¹⁾ T. I, 166. ²⁾ T. I, 85.

Ugodzona za znaczne wynagrodzenie papuga zaczęła tedy męczyć bobrzęta. Ale nie mało ją to kosztowało trudu i nie mało zeszło czasu, zanim je nauczyła:

jak się krzywić, jak główkę na ramię pokładać,
Jak bez sensu głupstwa gadać.
Rozwodzić krzyki i śmiechy;

to jest, co sama umiała. O tém, co bobrom właściwie potrzeba, nie było i mowy, nie umiały więc ani drzewa spuścić, ani tamy ubić, ani robić zapasów na zimę i w skutek tego, gdy się rodzice postarzel, znędziało całe plemię.

Próżno ojciec, na dzikie patrząc koczkodany,
Skarżył się łzami zalany,
Biada nędznemu, lecz tak zawsze bywa,
Kiedy papuga bobry wychowywa.

Bajka „Wyrok Jowisza” (oryg. 16 października 1810 w Puławach) ¹⁾ jest satyrą na niewiasty, używające obcego języka. Był czas, że rzymianki mówiły tylko po grecku: cały swój kraj zaraziły grekomanią. Konsulowie poszli więc na skargę do Jowisza, a ten za wyrokował, że rzymianka, która będzie mówiła po grecku, za każdym razem utraci dwa wdzięki. Czepki będą im leżały krzywo, w niczem nie będzie im do twarzy, żadna nie dostanie męża, męczyzna zaś, który się nie poprawi, nie zyska sławy na wojnach i całe życie będzie tylko porucznikiem.

Surowy wyrok rozgłoszon po mieście
Zatrwożył młodzież i plemię niewieście,
Na myśl przekleństwa matrony struchlały
I odtąd tylko po rzymsku mawiały.

Naśladowanie angielszczyzny wyśmiał Niemcewicz w bajce Zupa z żółwia morskiego (1793) ²⁾. Jacyś państwo, dowiedziawszy się, że Anglicy jadają zupę z żółwia, kazali sobie taką zgotować, lecz trzymając się przepisu, dali wszystkich przypraw za dużo. Zupa była zła i wszyscy jęj ztorzczyli. Usłyszawszy to angiлик, rzekł: nie nasza wina, my dajemy wszystkiego do miary, wyście przesolili.

Chociaż mielibyśmy narazić Niemcewicza na zarzut, że był zafanym w kwestyi kobiecej, nie wahamy się przytoczyć zdania jego o równouprawnieniu kobiet, wiemy bowiem, że będzie z pobłażliwością sądzony, choćby się jego zdanie komu nie podobało. Zdanie o emancypacji kobiet wypowiedział w bajce Samiec ptasząt w poselstwie do Jowisza (naślad. z Robertiego, 11 listopada 1811) ³⁾. Sa-

¹⁾ T. II, 98. ²⁾ T. II, 217. ³⁾ T. II, 109.

mice ptasze postrzegły, że je natura skrzywdziła, dając samcom i pióra piękniejsze niż im i głos do śpiewu. Zwołały więc walne zgromadzenie, wysłały czeczotkę, ziembę i szczyglicę w poselstwie do Jowisza, dla przełożenia mu tej niesprawiedliwości. Posłanki, stanąwszy przed tronem króla bogów, wyłuszczyły skargę wymownie i zakończyły ją temi słowy, że póty nie będzie zgody małżeńskiej w ptaszych stadłach, póki samice nie będą przypuszczone do równości z samcami. Jowisz, jak to się często zdarza mocarzom, drzemał, słuchając téj skargi, lecz pomimo tego zrozumiał dobrze, o co chodzi.

— Nie! — zawołał budząc się: — nigdy!

Posłanki zadrżały.

Udobruchany ich przestraczem Jowisz wypogodził nieśmiertelne czoło i dalejże z miną dyplomatyczną usprawiedliwiać się i przekładać samicom, że to, czego chciały, byłoby ze szkodą dla całego ich rodu. Gdybym spełnił wasze życzenie, powiedział w końcu, trawiłybyście czas na umizgach i składaniu piosnek, na przegładaniu się w źródle a wtedy

któżby gniazdeczko zwijał?

któżby je puchem okrywał,

Siedział na jajach, dzieci wychowywał?

I dał im wreszcie taką odprawę:

Nieście się, dbajcie o maleńkich zdrowie

A niech śpiewają mężowie...

(Dok. nast.).

WRAŻENIA Z WYCIĘCZKI NA WSCHÓD *).

ZEBRAŁ

Józef Rogoź.

Prawdziwy turysta, żaden wrażeń i odmiany, nigdy chwili nie straci. Wierni tej zasadzie, pierwszej zaraz godziny po przyjeździe do Konstantynopola, wybiegliśmy z hotelu, i mimo że słońce oblewało nas promieniami palącemi, puściliśmy się przez most Walidy ku prawowiernemu Sambułowi. Z kawiarni, sklepów i warsztatów, spoglądali turcy nie tyle ciekawie, co z politowaniem, na tych franków w strojach obcisłych, którzy, wykręcając sobie nogi na bruku nierównym, a miejscami brodząc po kostki w ziemi rozpyloniej, szli coraz dalej wąską ulicą, ciągnącą się wzdłuż Złotego Rogu, chociaż pot krwawy czoła im oblewał. A czego szukali, dokąd dążyli? Szukali wrażeń, dążyli tam, gdzie już niema nic takiego, coby podniebienie ciekawego europejczyka mogło choć trochę polechtać. Wśród tego świata zupełnie nam obcego, musieliśmy być zjawiskiem niezwykłym a wielce oryginalnym, skoro nawet psy przystawały, i łby podniosłszy, mierzły nas wzrokiem pytającym. Nieraz w Rzymie słyszałem, jak tamtejsi mieszkańcy mawiali, że podczas skwaru południowego po ulicach wałęsają się tylko forestieri e cani, cudzoziemcy i psy. Zdaje mi się, że niezadługo zaczną to samo turcy mówić nad Bosforem, w miarę bowiem jak w posiadłościach padyszacha zaczynają się mnożyć i ulepszać środki komunikacyjne, coraz więcej europejczyków przyjeżdża do Konstynopola, a tych widzi się wciąż na ulicach.

Zmęczeni nie do opisania, dostaliśmy się nareszcie do mostu

*) Ciąg dalszy—patrz zeszyt za m. czerwiec r. z.

drugiego, po którym chcieliśmy wrócić na Pera; obok budki dozorca, sprzedającego bilety wstępu, stał turek sędziwy, w szacie kaszmirowej, jak mleko białej, który od idących na most bilety odbierał, a że przy budce znajdowała się ławka, zapytałem go więc na migi, ażali możemy na nią usiąść. Nie tylko uśmiechem i ręki skinieniem na to odpowiedział, lecz poszedł jeszcze do budki i wyniósł z niej dwa niziutkie stołeczki, słomą wplecione, bez oparcia, których mężczyźni na Wschodzie używają po kawiarniach i warsztatach. Widząc taką uprzejmość, zacząłem się z nim porozumiewać na migi, gdyż w krajach gorących jest to język bardzo rozpowszechniony. Nauczyłem się go za mego pobytu w Neapolu, tam bowiem z lazaronomi nie sposób inaczej się porozumieć, wydoskonalilem go zaś we Lwowie, przy sposobności następującej: Dnia pewnego wszedł do mnie jakiś jegomość w stroju wschodnim, twarzy wyrazistej, i zaczął przemawiać językiem, którego przedtem nigdy nie słyszałem. Posadziłem go na kanapie, lecz gdym się przekonał, że nie rozumiał ani jednego z tych języków, którymi rozporządzał mój repertuar lingwistyczny, zacząłem go badać na migi. I oto po niejakim czasie, acz przy pomocy mapy, dowiedziałem się, że jest to ksiądz ormiański z okolicy Erzerumu, którego kościół spalił się przed rokiem, a że nie ma funduszów na jego odbudowanie, więc za zezwoleniem władz, tak świeckich, jak duchownych, jeździ po Europie wschodniej i składki zbiera. Wydobywszy zeń tyle, odesłałem go do miejscowego arcybiskupa ormiańskiego, którym był wtedy ks. Romaszkan. Czy nasi ormianie, którzy się oddawna spolszczyli, umieją po ormiańsku, o to z nich żadnego nigdy nie pytałem; wiem jednak, że ich liturgia pozostała dotąd ormiańską, i dobrze pamiętam, że mój gość zamorski, nazajutrz po pierwszej wizycie znów się u mnie zjawił, by mnie upewnić, że ja nierównie lepiej umiem po ormiańsku niż sam arcybiskup...

Po tém zboczeniu wracam do mojego turka.

Grzeczny był bardzo, uśmiechał się, kłaniał i prosił nas na odchodnym, byśmy jeszcze kiedy urządzili sobie siestę pod jego budką. Wszystkośmy mu mogli łatwiej przyrzec niż to jedno, czuliśmy bowiem, że ta pierwsza nasza przechadzka po ulicach Stambułu, powinna być ostatnią. Skoro turcy jeżdżą na koniach, mułach, osłach, niekiedy także na wielbłądach, a starsi między nimi każą nosić się w lektykach lub w palankinach, więc czemu my, Europejczycy, przyzwyczajeni do wygody, mielibyśmy być od nich gorsi? Czyż na Pera mało jest dobrych powozów? A za 20 franków dziennie możesz jeździć od godziny 9-jej rano do 5-jej po południu, dzielny zaś albańczyk na koźle siedzący, nie wyróci cię w miejscach nawet najbardziej spadzistych. Bądź co bądź, w krajach gorących stokroć przyjemniej posługiwać się nogami zwierząt, lub żyłastymi ramionami niewolników, niż własnymi siłami. Wymknęło mi się nieopatrznie słowo, w Europie zakazane. Wspomniałem o niewolnikach... Czyżby niewolnictwo miało jeszcze istnieć w państwie tureckim?

Ach! Boże! a wiecie wy, ile jest właściwie państw tureckich na świecie? Wy zapewne znacie z opowiadań i gazet tylko to jedno, które gwałtem chce się cywilizować, któremu Midhat pasza chciał narzucić konstytucyą, które wciąż stoi na bankructwie, a dotąd nie zbankrutowało, którego ambasadorowie mówią po francuzku i żenią się z paryżankami, którego eleganci noszą białe rękawiczki i trzewiki lakierowane, a którego marzyciele, tak samo jak Murad-bej myślą, że do lat trzydziestu zmieni się ono do niepoznania i zostanie państwem postępowém, cywilizowaném, na wskroś europejskiém. Ludzie ci marzą jednak o tém nie tyle przez miłość dla naszej cywilizacji, ile przez wzgląd na własne dobro. Wiedząc, że Turcyja dzisiejsza jest w Europie anachronizmem, radziby ją ucywilizować, bo im się zdaje, że w ten sposób wywalczyłaby sobie prawo obywatelstwa między nami, i niktby jęj więcęj z Europy nie rugował. Próżne marzenia! Trzeba o tém było myśleć przed laty 300-tu, nie dziś!... Otóż w tój Turcyi oficjalnej, znanej z dzienników, niewolnictwa nie ma, zostało ono bowiem zniesione w r. 1855, ustawy zaś zasadnicze z r. 1876 jasno orzekają, że każdy poddany padyszacha jest wolnym obywatelem. Wszelako jest jeszcze Turcyja druga, którą widzi się nie na Pera, lecz w zamkach Stambułu, Turcyja właściwa, stara, zacofana, dzika, nienawidząca gaura i jego cywilizacji, mierząca każdego Europejczyka wzrokiem niechętnym, pobrzękująca jataganem, Turcyja krwiożerczych Bajazetów, Sulejmanów i Mohametów, marząca dotąd o podbiciu świata całego, i nie odstępująca na włos od starych tradycyi. A o ileż ona jest ludniejszą od Turcyi urzędowój! W tój prawdziwój niewolnictwo dotąd istnieje, i tak długo nie ustanie, póki w nięj nie nastąpi zupełny przewrót stosunków rodzinnych, a do tego mogłoby przyjść chyba wtedy, gdyby islamizm całkiem się rozpułnął. Lecz na to jakoś się jeszcze nie zanosí... I nie może być inaczej tam, gdzie życie haremowe, bezmyślne i próżniacze, wymaga posług najrozmaitszych, których tureczynki ani chcą, ani umieją spełniać, i gdzie poligamia pozwala mężczyźnie mieć legalnych żon cztery, nałożnic zaś tyle, ile jego dusza zapagnie. Spójrzycie na tych eunuchów, w młodości bardzo chudych, lecz w starości tłustych niezmiernie, których tylu kręci się do koła pałacu Czeragan, czyż to nie niewolnicy? Ich ręce i nogi są nadzwyczaj długie, korpus zaś krótki, twarze mają nabrzękłe, oczy złośliwe, strój na nich zawsze czarny pod szyję zapięty. Przywożąc ich po większej części z Afryki, z głębi Sudanu, ponieważ jeszcze Abdul-Azis nakazał, by w jego państwie nie poddawano białych temu straszному kalectwu. Znęcają się więc tylko nad czarnymi, jak gdyby ci ludźmi nie byli!... Widziałem jednak i białych eunuchów w Starym Seraju. Były to okazy z epoki dawniejszój, najmłodszy między nimi miał lat czterdzieści kilka, bez zarostu, w spojrzeniach zaś, które nam rzucali, malowała się głęboka nienawiść do tój ludzkości niesprawiedliwój, która tak nieśczęśliwymi ich uczyniła, chociaż przeciw nięj nic niczém nie zawiniłi. Biedni ci ludzie w latach starszych

nieraz się żenią i adoptując dzieci cudze, chcą przynajmniej w ten sposób spłacić ów wielki dług wdzięczności, który człowiek zaciąga na świat przychodząc.

A żony panów tureckich i odaliski haremowe, czyż to osoby wolne, które swoim losem same rozporządzają? I ileż to tysięcy kobiet najpiękniejszych, dostarcza Turcyi rok rocznie sam tylko Kaukaz, a wszystkie przychodzą jako towar, sprzedawany ukradkiem przez rodziców i krewnych. Podczas ostatniej emigracji czerkiesów, handel płcią piękną odbywał się publicznie, na placach, w hotelach i kawiarniach; a nikt przeciw temu nie protestował, najmniej zaś same kobiety, te bowiem spodziewają się dojść w haremach do znaczenia, zaszczytów, a może i do wielkich wpływów. A ileż to matek sułtańskich kupiono na targowiskach. W ciągu ostatnich czterystu lat, ani jeden padyszach nie przyszedł na świat z innej kobiety niż z niewolnicy. Niewiasta jednak, którą równe szczęście spotka, zostaje potem „Walidą,” mającą w państwie nieraz większe wpływy niż sam sułtan. Zresztą każda niewolnica, która swemu panu syna powije, staje się przez to samowolną istotą. Co kraj to obyczaj. Życie wschodu zrobiło z kobiety zwykłą samicę i dla tego ona na swój los nigdy się nie skarży.

Mohamet II zbudował był w Stambule wielki gmach dla targu niewolnikami i oddał go pod dozór licznym urzędnikom. W nim dziedziniec wewnętrzny był otoczony kolumnadą z platformami, na których wystawiano żywy towar. Niewolnicy, według koloru skóry posortowani, mieszkali w malutkich i ciemnych izdebkach, opatrzonych grubemi kratami, a gdy targ się zaczynał, ustawiano ich rzędem za platformami. Można sobie wyobrazić, jakie tam było odślanianie wszystkich części ciała, wyciąganie rąk i nóg, jak otwierano szczęki i zęby pokazywano, aby nabywający mógł się naocznie przekonać, że okaz jest zdrow i zdatny do pracy. U nas nigdy konia tak szczegółowemu nie poddają badaniu, jak tam to z ludźmi czynili. Cena niewolnika wynosiła od 1,500 do 4,000 piastrow (15 piastrow mieści się w rublu rs.) wszelako młoda i piękna niewolnica kosztowała 10 do 40,000 piastrow. Od niewolników, przybywających do Konstantynopola, rząd pobierał cło wysokie. Za białego, bez względu na jego wiek i płeć, jako za towar najszlachetniejszy płacono 800 piastrow, za czarnego tylko 200 piastrow. Piękne czerkieski rzadko się na targowiskach pojawiały, ledwie bowiem handlarz przywiózł jaką do portu, wnet pojawiał się na pokładzie miłośnik świeżej piękności i targ kończył się na poczekaniu. Dziś smutne te rzeczy przez wzgląd na Europę, nie odbywają się jawnie, tylko pokryjomu, i dopóki islam wraz z wielożęństwem nie zniknie z powierzchni ziemi, dopóty o wykorzenieniu niewolnictwa w państwie tureckiem mowy być nie może.

O pół do ósmej wieczorem dzwonek hotelowy wzywa nas na obiad. Przyjemna to chwila w życiu każdego turysty. Na to hasło drzwi otwierają się na wszystkich piętach, a że nam zawsze spieszo więc też jedni z pierwszych wchodzimy do dużej sali, pełnej dzienników, zkąd drzwi szklane prowadzą do drugiej, w której na środku stoi długi stoł z zastawą. Lamy i świece jasno płoną, tłusty kamerdyner, z miną ambasadorską pokazuje każdemu miejsce dlań przeznaczone, reszta służby we frakach i białych krawatach, zupełnie jak w Paryżu, biega bez szelestu po wspaniałym dywanie tureckim, którym sala jest zastana.

Siadamy w samym środku stołu. Miejsce mam wyśmienite. Wszystkich widzę doskonale—każdej twarzy mogę się przypatrzeć.

Na przeciw mnie siedzi jakiś jegomość, o którym mógłbym przysiądź, że go już dawniej widział. Nie mogę sobie tylko przypomnieć kiedy i gdzie to było. Jest on wzrostu miernego i dość szczupłej ciała budowy. Lat czterdzieści pięć najwięcej. Twarz jego nie duża, lubo dość pełną otaczają bokobrody krótko przyszyryżone, które łącząc się u dołu, prawie brodę tworzą; usta ma wąskie, pełne energii, a tak szczerlnie zamknięte, jakby się lękał, by przez nie nie wyrwało się jakie słowo niebaczone; nos grecki, oko wyraziste, czoło z guzami rozumnymi, nad niem kosmyk włosów rzadkich a ciemnych, unoszący się na kształt płomyka i głowa u góry całkiem łysa, reszty dopełniają. Je powoli, pije niewiele, sąsiadom ilekroć ci o co go pytają, odpowiada półsłówkami, przytém tak cicho, że mimo iż nas tylko szerokość stołu dzieli, nic nie mogę usłyszeć; niekiedy rzuca także wzrok na mnie, wpatrując się uporczywie w załobne wypustki u mojego tużurka, które prawdopodobnie bierze za odznakę jakiego orderu zamorskiego. Kto wie, czy nie ma mnie za pierwszego ministra króla Kalakany z wysp Sandwichskich. I ja mu się ciekawie przypatruję, bo twarz jego jest mi dobrze znana.

— Św. Paweł! — szepnął mi nagle pan Spasowicz do ucha.

Mało brakowało, a byłbym skoczył i z radości w dłonie klasnął. Istotnie, lepszego portretu św. Pawła nigdzie dotąd nie widział. Wszystko w nim wskazuje, że to myśliciel głęboki, mędrzec nieprześcigniony, wielki apostoł chrześcijaństwa, którego rozumowi dziwili się pierwsi filozofowie ateńscy. Takiego św. Pawła oglądałem na płótnach starych mistrzów włoskich, a nawet hen, tam! nad brzegami Dniestru, w moim kościółku parafialnym, mam podobną figurę, wyrzezaną z drzewa przez jednego z rzeźbiarzy domorostłych. Zdaje mi się, że gdybym sam był artystą a kazano mi największego apostoła bądź malować bądź w marmurze wykuć, tego oto nieznajomego wziąłbym sobie za model.

Mężczyzna obok niego siedzący, z brodą długą, ryżawą, a włossem krótko przyszyryżonym, robi wrażenie człowieka może nie tyle rozumnego co uczciwego i więcej upartego niż nieczłonnego. Ilekroć krew w nim zakipi, bez namysłu porwie się do miecza, lecz gdy się

zawaha i o sobie zwątpi, gotów zaprzec się nawet tego, w co przed chwilą wierzył.

— Św. Piotr! — mój towarzysz znów szepnął.

Istotnie był to portret drugiego apostoła, a taki wierny, taki doskonały, że lepszego nie mógłbym sobie nawet wyobrazić.

Za nimi siedzi młodzieniec smukły, z szyją niezmiernie długą. Ma on włosy i wąsiki jasne jak len, cerę zaś taką, jakiej dotąd jeszcze nigdy nie widział. Jój tło jest białości prawie przezroczystej, za to jój ton wierzchni przypomina miedź rozcieńczoną. Wygląda ona zupełnie jak biały atlas, przykryty rzadkim muślinem koloru miedzianego. Zkąd pochodzi ten młodzieniec? Czy go tak opaliło słońce nad Gangesem, lub czy może ogorzał, polując na czerwonoskórych? Nimeśmy jednak mieli sposobność otrzymać odpowiedź na to pytanie, już nasz angiłk tajemniczy pożegnał hotel, i tyle go nasze oko widziało.

Tuż przy nim kręci się wciąż jak wrzeciono, mężczyzna przeszło pięćdziesięcioletni, smagły brunet, z wąsiskami sumiastemi, które go robią podobnym do podoficera od żuawów, z rozetą legii honorowej w klapie od surduta. Mówi po francuzku szybko a namiętnie, jak prawdziwy południowiec, że zaś w chwilach wolnych od rozmowy coś sobie zawsze nuci pod nosem, więc na wniosek pani Hasfort nazwaliśmy go „szansonistą.” Za to jego towarzysza ja sam już ochrzciłem „kucharzem,” bo bardziej skończonego mistrza sztuki kulinarniej nigdziebym nie znalazł. Krępy, grubawy, bezwąsy, z policzkami potyskującymi, jak dwie dynie, między którymi miasto nosa siedzi gruby ogórek, cieńszym końcem do góry zadarty, z serwetą pod szyją, która nakształt kaftana całą mu pierś osłania, jest kucharzem nec plus ultra, bo krom białej czapeczki na głowie nic mu więcej nie brakuje. Potrawy, które mu przynoszą, połyka z wielkim apetytem, a czego zjeść nie może to oczyma pożera, i jak prawdziwy bourgeois, między jarzyną a pieczystem coś swemu towarzystwu głośno opowiada, przyczem żywo rękami gestykuje.

Pani „kucharzowa,” une femme de quarante ans, mała bruneteczka, z oczkami jak tarczki, którymi ukradkiem strzela to w prawo to w lewo, ma twarz i włosy mocno pudrem posypane. Już to według mego przekonania puder należy do najwspanialszych wynalazków wieku XIX-go. Jak on cudownie zmarszczki pokrywa, a jak trudno dojrzeć pod nim włosy siwe, dobywające się niedyskretnie z bujnych warkoczy! Pani kucharzowa na męża całkiem nie zważa, zresztą oddaje mu ona tylko wet za wet, boć i on jój nie widzi, za to chętnie zwraca się do jakiegoś młodzieńca dwudziesto-kilkolletniego, który ma twarz pełną, rumianą, czerstwą, a bary na dwa łokcie szerokie. He-kroć ten do niej przemówi, szpuszcza zaraz oczy na stół jak czter-nastoletnia pensyonarka, małe jój usteczka uśmiechają się tym uśmiechem dziwnym, który niby nic nie mówi, a jednak tak wiele obiecuje, jój rączka zaczyna bawić się końcem serwety, na twarzy mimo pudru, pojawia się coś takiego, co do rumieńca ma wielkie podobieństwo...

On dalej mówi, ona coraz bardziej się rumieni.— Ach! to będzie „kuchta“— w duchu sobie pomyślałem i takim ten piękny młodzieniec do końca został w mojem przekonaniu.

Wśród tego towarzystwa, złożonego z bardzo dobrych znajomych, bo nie tylko przy stole obok siebie siedzą, lecz także na wycieczkach razem się ich spotyka, widzę jeszcze jedną postać niewieścią. Jest to jakaś dama ani młoda, ani stara, ani ładna, ani brzydka, blada, rozgrymaszona (wygląda na bardzo bogatą), której wiecznie musi być zimno, skoro na dworze pokazuje się zawsze w paletocie, futerkiem obłożonym, tu zaś ma suknię ciepłą i szal na szyi, mimo iż termometr w sali pokazuje w wyż 20° Reaumura. Trudno się domyśleć, coby to była za jedna. Zna się równie dobrze z kucharzem jak i szansonistą, lecz nie musi być ani siostrą pierwszego, ani żoną drugiego skoro obydwoj traktują ją etykietalnie. Kto wie czy to nie jaka bezkrwista córka Albionu, która na próbę puściła się z szansonistą w podróż do Konstantynopola, a jeśli nie znudzi się przedwcześnie, połączy się z nim może węzłem nierozwalnym. Lecz gdy to nastąpi, czy wesoły dziś szansonista nie spuści od razu nosa na kwintę i miasto wesołych piosek dzisiejszych, czy nie zanuci Tadeusza?

Po mojej prawej ręce, siedzą dwaj lekarze francuzcy, których już widziałem na pokładzie „Cara“— przy nich zajęło miejsce trzech młodych belgów, między którymi najśluszniejszy przypomina postawą i zarostem księcia Albe. Czwarty ich towarzysz, nieco od nich starszy, należy już do naszych znajomych. Gdyśmy do sali wchodzili, szybko powstał, a zbliżywszy się do p. Spasowicza, przypomniał się jego pamięci. Okazało się, że był to jeden z wybitniejszych adwokatów belgijskich, który p. S. poznał w Brukseli przy otwarciu pałacu municypalnego, na którą to uroczystość, lat temu kilka przybył tenże jako prezydent petersburskiej izby adwokatów.

Wzrok mój biegnie dalej wzdłuż stołu, mijając kilka twarzy bezmyślnych, z których prawie każda należy do innéj narodowości, i zatrzymuje się dopiero na jakimś Chilijczyku, w którym nie wiem co bardziej podziwiać: fizygnomią piękną i wyrazistą, czy też olbrzymie guziki brylantowe u jego koszuli, które na stół snopy iskier rzucają, budząc tém zazdrość nie w jedném sercu... Przypatrywałem mu się uważnie, gdy w tém od końca stołu doleciały mnie słowa: — „A b-scheuliches Bier!“— Spojrzałem na szary koniec. Obok damy dobrze zbudowanej, siedział jéj mąż, jakiś graf pruski i wsparłszy się na łokciu, skarżył się na piwo, które acz bardzo drogie na Wschodzie, nie jest jednak ani w połowie tak dobre, jak to, które on w swoim domu pije. Ruchy tego człowieka, mowa, wyglądanie, wszystko było prostackie. I ciekawym czemu Bismarck gniewa się na Renana, że szlachtę niemiecką nazwał grubiańską. Czy była ona może kiedy inną?

Obiad, który nam podają, niczém nie różni się od tych, które jadałiśmy u braci Provençaux lub u Sachera, co jednak w nim uderza to to, że choć mieszkamy na rozdiale dwóch wielkich mórz, nie dają nam nigdy owych wspaniałych ryb morskich, które w innych miastach portowych są ozdobą i głównym przysmakiem każdego stołu wykwińskiego. Bosfor dostarcza przeważnie ryb drobnych i temi nas karmią. Ale czego mamy codzień pod dostatkiem, to ptactwa. Pocziwe przepiórki, chruściele, słowiki, szpaki i krocie innych ptaków wędrownych, opuściwszy właśnie teraz nasze strony, przyciągnęły nad Bosfor, gdzie codzień ginie ich tysiące. Od rana do wieczora słyhać strzały na brzegach rumelijskich, restauracye bowiem europejskie chętnie ptactwo kupują, a że turkom, tak samo jak żydom i innym ludom w gorącym klimacie żyjącym, nie wolno jeść dziczyzny strzelanej, więc to, co gdzieindziej jest przysmakiem kosztownym, stało się tu strawą codzienną, której ani nikt nie pożąda, ani przepłaca. Może właśnie te przepiórki, które lokaj po drugiej stronie stołu obnosi, wykarmiły się tak pięknie na mojej pszenicy, i wyleciawszy z gniazd swych szczęśliwie, tu męczeńską śmierć znalazły. Czy przypuszczały biedaczki, opuszczając Nowesioło, że spotkają się ze mną tak daleko i w tak odmiennych warunkach!...

Wszyscy jedzą z wielkim apetytem; tylko ja jeden żadnej potrawy nie mogę przełknąć, tak mi dziś nic nie smakuje. Dopiero gdy deser podano, rzuciłem się na winogrona z dziką pożądliwością, i tych taką mnogość pożarłem, że chyba jeden Gargantua mógłby ze mną iść o lepsze. Widzę, że obadwa apostołowie spoglądają na mnie z ukosa, ten zaś z nich, który w greckiej filozofii jest odemnie nierównie bieglejszy, acz nieznacznie, uśmiecha się z politowaniem. Wiem co to znaczy, lecz nie wiele sobie z tego robię. Fizyognomia moja musi być potworną, bo mam katar, o jakim w Europie nikt dotąd nie słyszał. W Odessie zapomniałem kupić sobie koszulę wełnianą, bez której żaden turysta do krajów gorących nie powinien się puszczać (niedarmo Włosi koszulę płócienną nazywają śmiertelną), a gdyśmy w Bosforze nocowali, otworzyłem okienko w kajucie, bo było w niej gorąco jak w łaźni, i teraz mam bal. Z oczu łzy mi płyną, nos wygląda jak trąba jerychońska, ogień mnie pali. Jedne winogrona nieco gorączkę uśmierzają. Pani Hasfort, bojąc się, by z nas który dla lada przeciwności w rozpacz nie popadł, dodaje nam obydwom otuchy, mówiąc, że w cudownym tutejszym klimacie katar prędko przechodzi. Pierwszy jednak raz jęj wypowiednia nie raczyła się ziścić. Ja, po miesiącu, przywoziłem mój do Nowego Sioła, p. Spasowicz zaś, który się go równocześnie ze mną nabawił, pojechał ze swoim do Petersburga. Ale za to dziś go już nie mamy...

III.

Św. Zofia. — Kilka słów o moszeach i grobowcach. — Hippodrom. —
Muzeum Janiczarów.

W sali porfirowej, na łożu z drzewa cedrowego, nabijaném kamieniami drogiemi, a wykładaném kością słoniową, macią perłową i bursztynem północnym; pod baldachimem z purpury i złotogłowiu, który kupcy Wschodu dalekiego do Byzancyum przywieźli, spoczywa godny następcą Konstantyna i Teodozjusza, wielbiciel ich czynów a dziedzic ich pragnień i zamiarów, Justynian I. Opony bogate okna zasłaniają, kadzidło w rogu sali płonące rozlewa woń rozkoszną, cichotu i senno — ale sen odbiegał od powiek cesarskich. Chce usnąć, a nie może. Niekiedy podnosi się i na łokciu wparty nadśluchuje. Zdaje mu się, że słyszy krzyki groźne i jakieś głosy obce — czy robią mu się chmurne — twarz blednieje... Ależ to krzyczą sowy, siedzące przed pałacem w koronach platanów tysiącletnich — ależ te głosy to nawoływania strażników, których wódz na murach porzostawiał. Śpij spokojnie, cesarzu, wszak Belizaryusz czuwa nad twojém bezpieczeństwem.

Choć Justynian nie jest serca łęklivego, jednakowoż strach śmiertelny nie raz go ogarnia, przed kilku dniami bowiem tron pod nim nagle się zachwiał i życie jego na włosku wisiało. Lud zbuntowany wybrał innego cesarza, jemu zaś chciał albo głowę uciąć, bądź też oczy mu wyłupiwszy do klasztoru go wtrącić. Jeszcze godzina, a wszystko będzie stracone. Nim jednak w klepsydrze godzina ubiegła, zjawił się Belizaryusz, pułkami dzikich Herulów opasał Hippodrom, jak orzeł spuszczaający się na zdobycz rzucił się na spiskowych i wśród jęków, przekleństw i okrzyków: „Niech żyje Justynian!” wysiekł 30,000 ludu orężnego. Strumienie krwi gorącej do morza spłynęły — Byzancyum skamieniało — Justynian był ocalony.

Wśród największego niebezpieczeństwa cesarz Bogu ślubował, że jeśli wrogów pokona, to na cześć Jego Mądrości odwiecznej wystawi taką świątynię, jakiej dotąd ludzkie oko nie widziało. Musi ona zaćmić wszystkie dotychczasowe, nawet wielką świątynię Salomona, o której podanie niosło, że była pierwsza na ziemi. A chciał, by ją znały i wielbiły wszystkie ludy, które podbić zamierzał, od Dunaju po czarną Etyopię, od gór Armeńskich po słupy Herkulesa.

Długo tak myślał, póki sen znużonych powiek mu nie skleił.

I oto widzi, jak anioł w szacie białej, powłóczyściej, ze sfer niebieskich ku niemu spływa i rozwinąwszy zwój pergaminowy pokazuje mu plan olbrzymiej, nad wszelki wyraz wspaniałej świątyni. — Taką wznies na cześć Mądrości przedwiecznej! — rzekł doń głosem uroczystym. Cesarz na plan spojrział i odpowiedział: — „Wszak większa jest

i okazałszy, że nie może być poświęcony, gdyż wycieczka, którą by ją potrafił postawić?— Wezwij do tego Anthemiusa z Trallesu i Izydora z Miletu — anioł odrzekł.— „Ale gdzież złoto, bez którego dzieła takiego nie mógłbym dokonać?”— cesarz znów zapytał. Na to anioł ujął go za rękę, zaprowadził do sali podziemnej i pokazawszy mu tamże 80 centnarów złota, rzekł: — Oto masz!— teraz zaczynaj!

Tyle mówi legenda.

Historja zaś opowiada przez usta Pawła Silentiaryusza, że d. 23 lutego 532 r. a więc już czterdziestego dnia po stłumieniu wielkiej rewolucyi, która w styczniu tegoż roku wybuchła, cesarz Justynian założył kamień węgielny pod świątynię Mądrości odwiecznej „*την αἰώνια σοφία*”, i to w tém samym miejscu, gdzie przedtém stał kościół Św. Zofii, zbudowany przez Konstantyna W., który podczas ostatniej rewolucyi spłonął doszczętnie. Po dokonaniu téj ceremonii, Anthemius i Izidor, przystąpili natychmiast do dzieła. Cesarz, aby mu pieniędzy nie brakło wstrzymał pensye, które ze swego skarbcza uczonym wypłacał, i kazał stopić olbrzymi posąg Teodozyusza, wzniesiony z czystego srebra, który dotąd był chlubą i ozdobą miasta. Równocześnie wezwał swoich namiestników w różnych krajach, by ci mu przysyłali kolumny, porfiry i granity, znajdujące się w opuszczonych świątyniach pogańskich. I jak w tysiąc lat później Mohamet II z kościołów anatolskich zabierał wszelki materyał na zbudowanie twierdzy Rumeli-Illissar, mającej Bosfor zamknąć—tak teraz Justynian plądrował przybytki bożków starożytnych, by z ozdób w nich się znajdujących wnieść kościół Bogu w Trójcy jedynemu. Nie długo trwało, a na galerach romańskich płynęły w kierunku Rogu złotego: wspaniałe kolumny z marmuru zielonego, które ongi zdobiły świątynię Dyany w Efezie, spaloną przez Herostrata; kolumny porfirowe ze świątyni Słońca w Baalbek, które wdowa po cesarzu Aurelianie przeniosła do Rzymu; kolumny i marmury z Aten, Delos, Teb, z Aleksandryi i Cykladów, w ogóle zewsząd, dokąd sięgała bądź władza, bądź tylko sława wielkiego cesarza Wschodu. A gdy nareszcie tyle zgromadzono materyału, ile go było potrzeba, by nieśmiertelne dzieło rozpocząć, stanęło po jednej stronie 5,000 robotników, po przeciwniej drugie tyle, i zaczęła się praca zmułna, która trwała bez przerwy lat 16! Koszta budowy miały być tak olbrzymie, że nim mury osiągnęły kilka stóp wysokości, cesarz wydał był już 452 centnary złota, a więc o wiele więcej niż mu anioł we śnie pokazywał. Lecz do Byzancjum płynęło wtedy złoto z wszystkich części świata, i dla tego to jego zatokę Złotym Rogiem nazwano. Aby główną kopułę zrobić lekką i trwałą, kazał cesarz wypalać cegłę na wyspie Rodusie, tam bowiem do jój fabrykacyi najlepsza glina się znajduje. Cegły były tak delikatne, że cały ich tuzin ważył ledwie tyle co jedna zwykła, a na każdej były wyciśnięte słowa Dawida: „Deus in medio ejus non commovebitur. Adjuvabit eam Deus vultu suo.” Prócz tego, gdy kopułę budowano, po

każdęj dwunastęj cegiełce wmurowywano święte relikwie, przycém księza hymny śpiewali. Nareszcie w r. 548 budowa była skończona.

Wtedy cesarz na wozie złocistym, ciągnionym przez cztery woły białe, pod baldachimem purpurowym, w tyarze lśniacęj od drogich kamieni, na któręj jaśniał krzyż szczerozłoty, w szatach skrzęcących się od rubinów, pereł i brylantów, wyruszył ze swego pałacu, otoczony tłumem wodzów, senatorów, żołnierzy, niewolników, pochlebców, eunuchów, linoskoków; ci mieli twarze białe, tamci czarne, inni miedziane lub bronzowe, i tak zwolna krok za krokiem przesuwiał się między dwoma szeregami bizantczyków, z których jedni stosownie do jakiego należeli stronnictwa, byli odziani w szaty błękitne, drudzy w zielone. Gdy wóz zatrzymał się przed kościołem, cesarz zsiadł i na czele swego orszaku próg przestąpił.

Minął przedsionek, pośród którego stał olbrzymi basen z jaspisu, świeżą wodą napełniony, przeszedł dwie hale, z których każda mogłaby osobny kościół stanowić, a z których dziewięć bram prowadziło do właściwęj świątyni i stanął na progu marmurowym. Własném dziełem olśniony, podniósł ręce i oczy sobie zasłonił, tłum zaś pochlebców, padł na kolana i jął głośno sławić nie dzieło nieśmiertelne, lecz jego mistrza.

Widok bo też wspaniały i na świecie jedyny przed nimi się rotaczał.

Sama już posadzka tak sztucznie była ułożona z marmuru różnobarwnego, iż zdawało się, jak gdyby od drzwi wchodowych ku głównemu ołtarzowi fala morska płynęła. Wszystkie ściany, kopuły i sklepienia, tak w głównej nawie, jak na galeryach, miały tło złote, na którém rysowały się może nie tyle wspaniale, co surowo i groźnie postacie świętych i cherubinów, misternie z mozaiki wyrobione. Wszystkie drzwi były wyłożone kością słoniową, bursztynem i drzewem cedrowem, brama główna była ze srebra szczerzego, grubo pozłożona, a na trzech innych znajdowały się deski z arki Noego. Wzdłuż kolumn stały drzewa srebrne, na których miasto kwiatów świece płonęły, pod sklepieniami wisały lampy kosztowne, a 6,000 świeczników szczerozłotych w kształcie gron winnych, przytwierdzonych do murów i kolumn z pozłożonemi kapitelami, wprawiały patrzącego w najwyższe zdumienie. Widać było także dwa okazałe i misternie rzeźbione świeczniki szczerozłote, z których każdy ważył 111 funtów, dalej 7 krzyżów złotych, mających po centnarze wagi, na ołtarzach leżało 24 ewangelij, obitych blachami złotymi i wysadzanych kamieniami drogiemi, ikonostaz, zastaniający Sanctuarium miał 12 kolumn srebrnych, między nimi wspaniałe obrazy Matki Bożęj, Chrystusa, Ewangelistów, Aniołów; trony imperatora, patryarchy i siedmiu księży, były srebrnymi blachami obite a brylantami zasiane; we właściwym zaś ołtarzu stało cymboryum, składające się z czterech kolumn srebrnych, nad któreimi unosiła się kopuła złota z taką kula i krzyżem, ważąca 260 funtów. Po za ołtarzem rysowała się na ściauie postać Mądrości bo-

skieją, dotykająca się stopami posadzki, głową zaś stropu świątyni. A to, co się teraz widziało, było tylko jedną częścią skarbów niezmiernych, które w Św. Zofii zgromadzono. Wszak samych ręczników do nakrywania kielichów, przetykanych złotem i perłami znajdowało się w skarbcu 42,000, w zakrystyi wisiał krzyż cudowny ze srebra szczerego, zupełnie tak wielki jak ów, do którego na Golgocie Chrystusa przybito; nad pulsem wznosił się centnarowy dach szczerozłoty— w ogóle gdziekolwiek oko padło, nie widziało się nic innego, krom złota, srebra, pereł i drogich kamieni. Skarby całego świata na to się złożyły, by stworzyć dzieło, jakiego dotąd ludzkie oko nie widziało. Kto dziś, podczas wielkich uroczystości ogląda, Ławrę kijowską, ten może mieć jeno słaby odblask tego, czém była Św. Zofia za panowania cesarzów bizantyńskich.

Justynian oczy sobie odstonił, czas jakiś w koło się rozglądał, potem szybko zbliżył się do swego kłęcznika, a upadłszy przed nim na kolana, podniósł ręce i zawołał:

— Dziękuję ci Boże! żeś mi pozwolił tak wielkiego dzieła dokonać! Zwyciężyłem cię, Salomonie!

Przez dziewięć wieków Św. Zofia była chlubą państwa wschodniego. W niej chrzczono imperatorów, koronowano ich, dawano im śluby, w niej śpiewano nad ich zwłokami, w Św. Zofii odbywały się ważniejsze zgromadzenia ojców kościoła i wielkie Sobory. Godło męki Chrystusowej, umieszczone u jęj szczytu, widne było aż z gór Olimpu, i Grecya stara, która zwolna przetrawiła na swęj ziemi naleciałości Romy zaborczej wraz z jęj językiem i obrządkiem, spoglądała z dumą na największą w świecie bazylikę, gdyż ta była odtąd symbolem jęj religii i cywilizacji.

Trwało to prawie tysiąc lat.

Aż tu dnia pewnego rozeszła się przed wschodem słońca wieść okropna, że Turcy pod wodzą Mohameta II, mimo bohaterkiej obrony Konstantyna Paleologa, potrafiliby mury opanować i lada chwila do miasta wtargną. Błada trwoga biegła wzdłuż ulic, a w ślad za nią kto mógł uciekał do Św. Zofii, boć wielki ten kościół mógł tysiące pomieścić, świętość zaś miejsca dawała rękojmię, że ci, co się w niem znajdują, będą ocaleni. Mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci, senatorowie i mnisi, kupcy i niewolnicy, nawet zbrodniarze, którym wśród zamętu powszechnego powiodło się umknąć z więzień i galerów, cisnęli się do bazyliki, szukając w niej ochrony dla ciała a kryjówek dla skarbów, które na swych barkach dźwigali. Nim słońce na strop nieba weszło, wewnątrz kościoła było szczelnie nabite. Przeszło 100,000 osób znalazło w nim schronienie. Jak podczas powodzi, nawet te zwierzęta, które w zwyczajnych życia warunkach, krwawą walkę z sobą toczą, tulą się wystraszone do siebie, tak i to zbiorowisko ludzi najrozmaitszych stanowisk, przekonań i pragnień, w jeden olbrzymi kłęb zbite, czekało przerażone i oniemiałe, co mu najbliższa godzina przyniesie.

— Idą! Idą! — dały się nagle słyszeć wołania — hen! tam, pod

kopułą,— i w teje chwili na kształt morskiego orkanu wyrwał się jęk straszliwy ze stutysięcy piersi, od którego mury świątyni zdrząły, i jakby na czyj rozkaz, wszyscy na kolana upadli. Wielu już rozpaczało, wszelako znajdowali się i tacy, którzy jeszcze głęboko wierzyli, że stanie się cud i miasto będzie ocalone. Stare podanie mówiło, że jeśli Turcy wtargną kiedy do Byzancjum, to uda im się dotrzeć tylko do kolumny Konstantyna, tam bowiem w chwili stanowczej, znajdzie się człowiek, któremu anioł poda miecz ognisty, i ten dzikich muzulmanów odpędzi aż po granice Persyi. Wielu więc cudu wyglądało, a tymczasem żołnierze Mohameta krwi spragnieni a rabunku żądni, dostali się do kolumny Konstantyna, i tu przez nikogo nie zatrzymani, puścili się cwałem ku Św. Zofii. Jeszcze chwila, a żelazne topory i oszcypy z hukiem piorunów uderzą o jej bramy spiżowe.

Lud w kościele z trwogi oszalały, ztorzeczył ziemi i niebu.

Nareszcie bramy runęły.

Ci pieszo, tamci na koniach, inni na wielbłądach wpadli do środka, i przerażonych tratując, rzucili się najpierw na skarby. Wśród radości dzikich okrzyków zbezczeszcili i pogruchotali ołtarze, porozbijali kolumny i obrazy, wypróżnili skarbiec, ci zaś, którym więcej zależało na żywym towarze, niż na martwych klejnotach, wiazali ręce mężczyznom, niewiastom i dzieciom, aby potem na targowicy sprzedać ich jako swoich niewolników. Wśród największego zamętu zjawił się przed bramą sam Mohamet II, zsiadł z konia i pieszo wszedł do kościoła. Tu wzrok jego padł najpierw na muzulmana, rozbijającego z dziką zapamiętałością posadzkę marmurową. — Dla czego to robisz? — sułtan go zapytał. — „Dla dobra wiary!“ — Do was należą skarby i niewolnicy, lecz budynki miasta do mnie! — sułtan odparł i barbarzyńcę tak ciął szabłą, że ten na ziemię runął nieżywy. Teraz sułtan kazał jednemu ze swych kapłanów wstąpić na kazalnicę i obwieścić zgromadzonym wyznanie nowój wiary, której ta wspaniała świątynia miała być odtąd poświęcona. Za chwilę dał się słyszeć głos przeciągły, żaloszny:

— Nie ma Boga nad Boga, a Mohamet jest jego prorokiem!

Gdy pod sklepieniem kopuły echo skończyło, sułtan wyskoczył na ołtarz główny, i w obliczu greków pokonanych podziękował Bogu za zwycięstwo.

Odtąd bazylika Św. Zofii stała się moszearą muzulmańską. U jej szczytu, miasto godła śmierci Chrystusowej, zajaśniał złoty półksiężyc.

Wstąpiłem na galeryę, gdzie za czasów bizantyńskich kobiety się zgromadzały i patrzę w dół. Mimowoli drgnąłem. Dopiero teraz mam pojęcie o tój próżni olbrzymiej, w jakiej się znajduję. Tam, w dole, ludzie wyglądają jak karły, nad moją zaś głową sklepienie kopuły sięga gdzieś pod niebo. Wspaniałe kolumny stoją rzędem na dole, także same podtrzymujące sklepienia galeryi mam obok siebie; na ścianach wiszą tarcze olbrzymie ze złotemi napisami tureckimi na

tle zieloném; na przeciw widzę mirab, ołtarz muzułmański, rodzaj nieszty, obwieszonéj dywanami, ze sklepieniem, przypominającém stalaktyty; obok niego wznosi się coś na kształt ambony; w prawo i w lewo wsparte na kolumnach marmurowych stoją lekkie terasy, na których siedzą pielgrzymi, mułowie i inni dygnitarze kościoła mohametańskiego; na środku moszei modlą się prawowierni wyznawcy proroka. Ot i wszystko. Żadnych obrazów, żadnych rzeźb, żadnych ozdób. Tylko złocona mozaika w kopułach przypomina, czém była niegdyś ta świątynia. Rozglądam się w koło, radbym unosić się jak owi Grecy, którzy tę oto kopułę uważali za część stropu niebieskiego, cudem nad ich głowami zawieszoną, chciałym a nie mogę... Pusto tu i nad wszelki wyraz smutno. Św. Zofia nie jest tém, czém niegdyś była i czémby być powinna. Przemieńcie katedrę kolońską w świątynię grecką, a bogowie, co się w niéj znajdują, wstydzić się będą wraz z nami swéj nagości klasycznej; przemieńcie świątynię grecką w kościół katolicki, a obrazy i posągi świętych pańskich zaczną płakać łzami krwawemi. W Św. Zofii potrzeba koniecznie złota, jedwabiów i drogich kamieni; potrzeba obrazów, mających twarze sztywne, surowe, a mimo to wyraziste; potrzeba kadzidła i zbytku Wschodu całego, bo inaczej na widzu nie zrobi ona należytego wrażenia. I oto dla czego patrzę, a nie zachwygam się, czemu podziwiam trudności, z jakimi architekci tu walczyli, a nie unoszę się nad całością. Ja, dziecię Zachodu i jego cywilizacyi, tęsknię do piękna skończonego, które porywa samą szlachetnością linii, harmonią, kształtów doskonałością, które nie potrzebują żadnych złocień, żadnych klejnotów, żadnych błyskotek, co wzrok łechcą... Tu przeciwnie w epoce Justyniana a później za Ireny, olśniewał przedewszystkiém przepych wschodni, gdy go zaś Turcy raz zabrali, ze świątyni, nad którą unosili się ongi na pół dzicy wystawnicy Włodzimierza, pozostała jeno olbrzymia skorupa z istoty przedpotopowéj, o której dopiero uczony badacz powie, do jakiego gatunku należała.

Nie jednokrotnie w życiu mi się zdarzało, że gdym biegł oglądnać jakąś budowlę przez cały świat sławioną, między tém, czegom się spodziewał, a com znalazł w rzeczywistości, wielka różnica zachodziła. Wtedy też zawsze miasto zdumienia i zachwytu następowało rozczarowanie. Jeden raz tylko znalazłem więcej, niżli mi się spodziewał, a było to u Św. Piotra.

Turcy poniszczyli wszystkie ołtarze, pozastaniali mozaiki przedstawiające boską Mądrość, cherubinów i apostołów, nawet w kapitelach kolumny pogruchotali krzyże i głowy świętych chrześcijańskich. A mimo to dawnych wspomnień nie zdołali tak zniszczyć, żeby po nich wszelki ślad zaginął. W wielu też miejscach widzę szczątki krzyżów, gdzie nigdzie po konturach zatartego rysunku domyślam się, że przed wiekami znajdowała się tu głowa Matki Zbawiciela, a tam, dalej, występuje jeszcze dość wyraźnie aureola nad głową jednego z apostołów. Choć więc wszystko tu wskazuje, że jestem w moszei muzułmańskiej, liczne te ślady żywo mi jednak przypominają, czém był dawniej ten

przybytek, a że duch człowieka chętnie wybiega po za sferę wzrokiem zakreśloną, przeto pyta się ciekawie: — „Wróć! dawne czasy?” — O! wróć! wróć! — uspokaja legenda, bo gdy Turcy wpadli do Św. Zofii, wtedy jeden z księży greckich, odprawiający właśnie mszę św., odszedł z kielichem od ołtarza, i wstąpiwszy na galeryę, zniknął w drzwiach ukrytych, gdy zaś Turcy za nim się rzucili, mur sam się zaciągnął, tak że drzwi znikły zupełnie. Napróżno dzikie żołdactwo łamało kamień toporami. Mur wytrzymał wszystkie uderzenia i ksiądz ocalał. W chwili jednak, gdy z Św. Zofii mużulmanin ustąpi a chrześciance znów ją posiadają, ksiądz ów wyjdzie ze swęj kryjówki i mszę św. ukończy.

Notując li wrażenia osobiste, nie zapuszczam się w długie opisy, które łatwo może każdy znaleźć w dziełach głośnych podróżników. Miasto więc opowiadać szczegółowo, jak wewnątrz Św. Zofii wygląda, raz jeszcze zaznaczam, że całość nie wywołuje zadowolenia prawdziwie estetycznego, lecz robi wrażenie nad wszelki wyraz smutne. Wszelako dzieje się to tylko w blasku dnia. Za to wieczorem, przy oświetleniu i gdy nabożeństwo się odprawia, tyle poezji tajemniczej jest tam rozlanęj, że kto raz był pod urokiem tego wrażenia, ten go nigdy nie zapomni.

Podczas Kurban-Bajramu, o godzinie 9-jej wieczór zaprowadził nas p. Jacob na pierwszą galeryę, gdyż wtedy giałurom na dół nie wolno wchodzić. Znaleźliśmy się tam wszyscy. Byli obdwa apostołowie i szansonista, kucharz z żoną i kuchta nieodstępny, była wiecznie zziębnięta miss i księżę Alba z grafem pruskim. Staliśmy przy balustradzie.

W moszei, na świecznikach kołowych, na gzymsach i w załamach murów, płonęło razem 11,000 lamp. Mimo to nie było w niej jasno. Ledwie dołem rozróżnialiśmy szeregi na piętach siedzących mużulmanów, którzy co chwila wstawali i na twarz padając bili pokłony. Przeciwnie u góry było ciemno i tajemniczo. Niepojęta groza wiała od tych sklepień, które od półtora tysiąca lat wiszą wiecznie milczące...

Kapłan przed mirabem odczytywał wersety z koranu, a chłopak dwunastoletni głośno mu odpowiadał. Głosy ich były tęskne, zawożdzące, a takie rzewne, że im dłużej ich słuchałem, tém większa żalność mnie ogarniała. Tak samo zawodzą rusini, pośród których żyję...

Słuchałem modlitwy ludu koczowniczego i mówiłem sobie w duchu, że część się należy każdej modlitwie, gdy ta z głębokiego przekonania wchodzi i jest żywym wyrazem potrzeb serca...

I nie tylko ja jeden byłem oczarowany. Pani kucharzowa słuchała także z wielkim przejęciem, a gdy kapłan przestał recytować, głęboko westchnęła, chusteczkę do oczu podniosła, i aby nie upaść, zsunęła się na ramię kuchty...

(C. d. n.)

HISTORIA WYNALAZKU LUNETY

I ZASTOSOWANIA JEJ DO ASTRONOMII.

NAPISAŁ

Dr. Wierzbicki *).

Rozpowszechnioną szeroko jest opinia, jakoby wynalazcą lunety był Galileo Galilei, włos, jeden z najgenialniejszych ludzi, jakimi dzieje nauki poszczycić się mogą (1564 — 1642). Pierwszą wzmiankę o tém znajdujemy w przedmowie do dzieła Antoniego Dominis, teologa i matematyka, wydanego w Wenecyi w r. 1611 p. t. „De radiis visus et lucis in vitris perspectivis et iride“¹⁾. Słowa jednak samego Galileusza, zamieszczone w jego dziele „Sidereus Nuncius“ obalają stanowczo to mniemanie. „Przed 10 miesiącami dowiedziałem się, że w Belgii został wynaleziony instrument, przez który można widzieć wyraźnie odległe przedmioty, a różne cudowne wieści chodzą o tém odkryciu, w które jedni wierzą, drudzy o niém powątpiewają. Gdy mnie o tém Jakób Badovere z Paryża zawiadomił, przemyślałem nad tém, jakby taki przyrząd zbudować, co się mi też wkrótce, dzięki znajomości dioptryki, udało. Na obu końcach ołowianej rury umocowałem dwie soczewki, płaskowklęsłą i płaskowypukłą. Gdym oko zbliżył do pierwszej, ujrzałem wszystkie przedmioty niemal 3 razy bliżej a 9 razy większe aniżeli gołem okiem. Wkrótce potem wykończyłem doskonalsze narzędzie, które powiększało przeszło 60 razy.

*) Dokończenie.—Patrz zeszyt za m. luty r. b.

1) Odnośny ustęp brzmi: „Sciscitari saepius placuit quidam de novo instrumento illo sentiret, quod nuper ad inspicienda, quae sunt remotissima, a nostrate viro, insigni mathematico Galileo, in lucem editum ferebatur, et Venetiis potissimum publicatum.“

Ponieważ zaś nie szczędziłem pracy i kosztów, doszedłem wreszcie do tego, że widziałem przedmioty około tysiąc razy większe, a więcej niż 30 razy bliżej, aniżeli by je naturalnym sposobem widzieć można było“¹⁾,

Widzimy więc, że Galileusz wcale do ojcostwa lunety się nie przyznaje, lecz oświadcza sam, że dowiedziawszy się o bliższych szczegółach w jej składzie, pracował nad jej skonstruowaniem, a że mu się to udało, to nie ma w tém nic dziwnego przy bystrości umysłu i wiadomościach, jakie twórca nowszej fizyki posiadał. Jego wielką zasługą w téj sprawie jest, że prędko poznał się na ważności i doniosłości tego nowego odkrycia, a przytem bezwłocznie przystąpił do jego zastosowania i ulepszenia. Pierwszą wiadomość o niem otrzymał Galileusz w kwietniu lub maju roku 1609 w Wenecyi²⁾, gdzie chwilowo przebywał, będąc profesorem matematyki w Padwie. Po powrocie do domu, przystąpił zaraz do konstrukcyi z opisu sobie znanéj lunety, i to za pomocą soczewek, jakie miał pod ręką, ale niezadowolony z niej, postarał się o lepsze soczewki i z nich złożył lunetę, którą senatorom Republiki weneckiej przedłożył, aby ich o prawdziwości szerzonej wieści przekonać. Późniejszy, znacznie udoskonalony egzemplarz, podarował doży Leonardowi Donati³⁾, poczem za swoje wrzekome odkrycie, a właściwie za zastosowanie go do nauki i użytku, mianowany został stałym profesorem w Padwie z pensją trzy razy powiększoną.

Pomijamy cały szereg odkryć, które poczynił Galilei za pomocą swojej lunety, chociaż one stały się podporą systemu Kopernika, walczącego przez długie lata z niechęcią i nienawiścią ogółu, bobyśmy musieli kreślić żywot człowieka, który zostawił po sobie nieśmiertelne pomniki swego geniuszu, lecz przypatrzmy się raczej dalszym losom tego cudownego a tak długo oczekiwanego dziecięcia w jego niemowlęcych latach.

Więść o nowym przedziwnym instrumencie rozeszła się nader szybko po całej Europie. Już w roku samego wynalazku dotarła do Francyi, dokąd ponieśli ją 28 grudnia 1608 nadzwyczajni posłowie Henryka IV przy Stanach generalnych, Jeanin i Russy, polecając królowi oddawcę odpowiedniego zawiadomienia jako człowieka, który przez długie czasy służył w wojsku księcia Maurycego i z wieloma w wojnie pożytecznymi wynalazkami, zwłaszcza zaś z nowo wynalezioną lunetą był obznajmiony. Radziby także byli, jak dodawali w swoim

¹⁾ W tekście łacińskim ten ustęp zaczyna się od słów: „Monsibus ab hinc decem fere rumor ad aures nostros increbuit etc.“

²⁾ Około tego czasu miał otrzymać z Flandryi lunetę kardynał Borghese, siostrzeniec Pawła V, zaś włosk Lanccius, powróciwszy z Holandyi, obstał soczewki w Wenecyi i na początku 1610 posłał dwie Biubachowi do Anspach.

³⁾ Mikroskop przez siebie skonstruowany posłał w r. 1612 Zygmuntowi III, królowi polskiemu (Poggendorff, Gesch. d. Phys.).

piśmie, postać Jego Kr. Mci egzemplarz takiej middelburskiej lunety, ale fabrykant nie chciał ję sprzedać, zastaniając się tém, że według kontraktu może te rzeczy wyrabiać tylko dla Stanów generalnych¹⁾). Inaczej rzecz się ma z rozpowszechnieniem lunety. Nie znalazła ona tu jednak tak prędko uznania, skoro jeszcze w r. 1622 zasłużony skądinąd astronom Peiresc²⁾ o całym tym wynalazku powątpiewa i listownie³⁾ o nim się dowiaduje, przypisując go, według zasłyszanej wieści, Corneliuszowi Drebbel, o którym na swoim miejscu wspomnieliśmy.

¹⁾ Charakterystyczną jest i wieszczym duchem pisaną odpowiedź króla z dnia 8 stycznia 1609 na ten list; odpowiada on bowiem: „J'aurai plaisir de voir les lunettes dont votre lettre fait mention, encore que j'aie à présent plus grand besoin de celles qui aident à voir de près que de loin,“ t. j. „radbym z przyjemnością widzieć lunety, o których pan mówisz w swym liście, aczkolwiek potrzebniejszymby mi był teraz instrument, którymbym mógł widzieć rzeczy w mojem pobliżu, aniżeli w oddali.“ Król Henryk, jak wiadomo został zamordowany w sposób zdradziecki już 14 maja 1610 r.

²⁾ Peiresc Mikolaj (1580—1637); opat klasztoru w Guienne, wielki mecenas nauk, prowadził żywą korespondencją z wszystkimi uczonymi i po nim znaleziono około 10 tys. listów, z których atoli tylko część uratowano, bo jego siostrzenica je zniszczyła.

³⁾ List ten znaleziony i przytoczony w całej osnowie przez Zacha, dyr. obs. w Seeberg w wydawanych przez niego „Monatliche Correspondenz“ t. VIII 1803, a pisany do W. Camdena, rektora szkoły w Westminster, brzmi w ur. rywku: „On nous raconte icy de grandes merveilles des inventions de Sieu-Cornelius Drubelsius Alcmariensis, qui est au service du Roy de la Grand Bretagne.... et d'une lunette, qui fait lire de l'écriture de plus loin, qu'une lieu. Je vous supplie de m'écrire un mot de la verité de chacune des ces inventions. Nous avons bien veu icy de ses petites lunettes, qui font voir des cirons et des mittes gros comme des mouches (microscopes), qui sont certainement admirables; mais je voudrais bien estre assuré de ce qu'il y a de vray touchant ces autres inventions.“ Opierając się na tym liście, słusznie powiada Zach, że przytoczona przez ks. Piotra Gassendi'ego (ksiądz prof. Mat. w College royale w Paryżu ur. 1592 † 1655) w zyciorysie Peiresca (1641 w Paryżu) wiadomość, jakoby Peiresc już w listopadzie 1610 widział trabanty jowiszowe przez lunety, otrzymane z Włoch, Hollandyi i Paryża,—jest nieprawdziwą. Ciekawą jest także notatka Zacha co do owego „Sieu Cornelius Drubelsius Alcmariensis“ wspomnianego w tymże liście. Według jego zdania jest to właśnie ów przez Jana Krzysztofa Adelunga, bibliot. elekt. w Dreźnie, (ur. 1734 † 1806) („Geschichte der menschlichen Narrheit“) za szarlatana przedstawiony Corn. v. Drebbel z Alcaaar, którego i my już poprzednio poznaliśmy, a który zagadkowo w całej tej sprawie występuje. Wprawdzie „Jan Stefan Montucla (sławny matematyk, ur. w Lyonie 1725 † 1799) i Karol Rossut (jezuita prof. mat. w Mezieres, ur. 1780 † 1814) w dziełach swoich o „Historyi matematyki“ biorą w obronę Drebbela, zapewniając, że był uczonym człowiekiem, jednakże Zach więcej wierzy Adelungowi, który

Do Anglii dotarły lunety prawdopodobnie także szybko, a wspomniany powyżej Zach ¹⁾ twierdzi na mocy odszukanych pism (w Petworth w hrabstwie Sussex), że angielski astronom Tomasz Harriot już 16 stycznia 1610 obserwował trabynty jowiszowe, z czegoby wynikało, że już przedtem musiały mu lunety być znane, zwłaszcza, że już tego roku było w Londynie i więcej miłośników nauk, którzy mieli także narzędzia optyczne, między innymi niejaki K. Heydon ²⁾, który w lecie 1610 obserwował Plejady za pomocą lunety.

W Polsce dłużej nie słyhać o lunetach przy obserwacjach astronomicznych. Podczas, gdy o pierwszym mikroskopie, przysłanym do Polski r. 1612, znajdujemy przynajmniej wzmiankę ³⁾, nie możemy nic pewnego powiedzieć o czasie, w którym luneta do nas przywieziona została. Wprawdzie Jan Brosciusz, kanonik katedralny i profesor matematyki i astronomii w Akademii krakowskiej (1581 — 1652), powróciwszy z podróży swojej (1620—24) z Włoch, napisał na egzemplarzu Optyki Albazena i Vitteliona ⁴⁾, że będąc w Rzymie u sławnego ówczesnego optyka, Krzysztofa Scheinera, wsławionego między uczonymi zakon. Tow. Jez., którzy odkryli plamy na słońcu, widział u niego lunety, to jednak przypuszczać trzeba, że Brosciusz nie sprowadził ich sobie do użytku, a to dla braku funduszków, przy wysokiej ówczesnej cenie tych narzędzi. Pierwszą wzmiankę o teleskopach, znajdujemy dopiero w rachunkach dr. St. Filipowicza, prowizora w latach 1722—1746, który zdając sprawę z funduszków przez Brosciusza na zakupno książek, narzędzi i na uposażenie astronoma w kwocie 3,000 złotych ówczesnych zapisanych, pisze ⁵⁾: „Anno Domini 1745 d. 8 Augusti Illustri etc. D. M. Josepho Popiołek S. Th. Professori etc. ex Italia redeunti pro nonnullis Authoribus novissimis tum in Astronomia ut pote: Casini, Newtonii, Gravesende, et Angeli, Capelli, Astro-

pisze, że „Drebbel, umierając zostawił tylko kilka pism mało znaczących, zdradzających swoim stylem szarlatana wcale nieuczonego“ i powiada dalej Zach: to pewna, że Drebbel nie był ani wynalazcą lunety, ani barometru, ani innych przypisywanych mu wynalazków, któremi się ten krzykała i wietrznik (Marktschreyer und Windbeutel) tak bezczelnie szczycił.“

¹⁾ Berl. Astr. Jahrb. 1788 p. 152, 155.

²⁾ W liście z 6 lipca 1610 pisanym przez K. Heydona do wspomnianego także powyżej Camdena, nazywa pierwszy swoje lunety „Trunks“ t. j. skrzyneczki, a zdaje się miał on ich kilka, pisze tam bowiem słowa: „one of our ordinary Trunks.“ Według Zacha dla tego on je tak nazywa, że prawdopodobnie co do kształtu były to czworokątne drewniane równoległoboki, a jedną z takich widział Zach w Londynie u Dollonda, sławnego optyka angielskiego z przeszłego wieku.

³⁾ Wiszniewski: „Hist. Lit. pols.“ T. IV, p. 475.

⁴⁾ Dr. Karliński: „Rys Dziejów Obserwatorium astronomicznego Uniwersytetu krakowskiego.“ Kraków 1864.

⁵⁾ Ibid.

nomiae Parmensis Professoris; tum pro tubis opticis, Romae et Venetiis nec non Bononiae comparatis propriis ad meam requisitionem sumptibus, restitui in summa aureos hungaricales nr. 20 qui faciunt pro currenti florennos 360.“ Wzmianka ta odnosi się tylko do lunety. Natomiast wcześniej, zdaje się, była luneta używaną przez astronoma gdańskiego Heveliusza ¹⁾, który jako zasobny człowiek, a przytém wspierany materialnie w przedsięwzięciach i pracach przez współczesnych mu królów polskich, postarał się o nią dla swojego obserwatorium ²⁾. Tytuły dzieł przez niego wydanych wzmiankują o lunetach jak np. w dziele „Johannis Hevelii Selenographia sive Lunae Descriptio, tam maculorum quam motuum diversorum, aliarumque omnium vicissitudinum, phasiumque Lunarium, telescopii ope deprehensarum, delinatione accurata atque locupletis rerum Coelestium, auctorio oxornata.“ Gdańsk 1647. Teleskop używany przez Heveliusza do obserwacji księżyca, miał być własnej jego roboty, stóp 12 długości ³⁾. Prace Heveliusza, dokonane za pomocą lunety, wysoko były cenione, skoro o nich pisze Montucla: „Odkrycie dwóch rodzajów libracji księżyca, winniśmy jak wiele innych Galileuszowi. Lecz narzędzia, których Galileusz używał, były tak niedokładne, że nie mógł więcej dojrzeć. Zasluga tego odkrycia należy się Heveliuszowi, który, używając bardzo wielkich teleskopów, dostrzegł owe poruszenia, jakim podlega księżyc w kierunku swego równika.“

Po wydaniu pierwszego swego dzieła, zajął się Heveliusz badaniem fizycznych własności planet, a widząc, że takie spostrzeżenia wymagają jeszcze silniejszych teleskopów, aniżeli obserwacje zjawisk księżycowych, usiłował to osiągnąć za pomocą olbrzymich teleskopów, 40 lub 60 stóp długich, zamiast zwrócić uwagę swoją na dokładniejsze niż dotąd szlifowania soczewek. To też narzędzia jego chybiały celu, bo

¹⁾ Heveliusz Jan, gdańszczanin, 1614 — 1687, zasłużony astronom, kształcił się w Gdęczu i Warszawie, potem w Leidzie. W r. 1641 zbudował własnym kosztem obserwatorium w swém rodzinném mieście, nazwał je *Stellaeburgum*, w którym robił liczne obserwacje, ogłaszając je w licznych swoich dziełach. Jedną z konstelacji niebieskich, przez siebie oznaczonych, nazwał *Tarczą Sobieskiego*, *soutum Sobiescianum*. Królewicz Jan Kazimierz i Jan III odwiedzali go w Gdańsku. Sobieski wyznaczył mu stałą pensyą. Trochę obszerniej czytać o nim można w artykule: „O astronomii w Polsce“ przez F. Kucharzewskiego, drukowanym w *Pamiętniku T-wa, nauk ścisłych w Paryżu, t. II.*

²⁾ Obserwatorium to spaliło się już w r. 1679 wraz z książkami, instrumentami i obserwacjami od r. 1647. Było ono pierwotnie urządzone na 3 sąsiednich Heveliusza domach, po pożarze ograniczało się na domu przezeń zamieszkiwanym. W r. 1762 wnuczka Heveliusza ostatnie jego pamiątkowe ślady kazała przerobić z powodu niebezpieczeństwa zawalenia się domu. (Berlin, *Astro. Jahrb.*, 1777).

³⁾ F. Kucharzewski: „O astronomii w Polsce.“

rury wskutek wielkiej długości się gięły i do kierowania nie były podatne. Tymczasem inni współcześni astronomowie, używający mniejszych, lecz dokładniejszych narzędzi, prześcignęli go w odkryciach swoich.

Prócz astronomii praktycznej zajmował się także Heveliusz mechaniką i sam budował lunety, których posiadał kilka różnej wielkości i siły, nie mniej i inne jeszcze narzędzia, potrzebne do obserwacji, jak tego dowodzi dzieło jego p. t. „*Johannis Hevelii Machinae coelestis pars prior, organographiam, sive Instrumentorum Astronomicorum omnium, quibus Auctor etc. cum aliis quibusdam, tam jucundis, quam scitu dignis, ad Mechanicam, Opticamque Artem pertinentibus inprimis de maximorum tuborum constructione, et commodissima directione; nec non nova ac facillima Lentis quasvis, ex sectionibus conicis, expoliendi, ratione.* Gdańsk, 1673. Dzieło, dedykowane Ludwikowi XIV, zawiera między innymi wiadomości o sztuce szlifowania szkieł i o sposobach budowania największych teleskopów, a opis ten daje wyobrażenie o stanowisku, na jakim była wówczas mechanika, oraz wykazuje trudności, z jakimi Heveliusz pod tym względem miał do walczenia. Z dzieła tego dowiadujemy się także, że Heveliusz odrzucił myśl łączenia lunet z przyrządami mierzącymi (t. j. kołami, mikroskopami) w przekonaniu, iż stosunkowa wielkość narzędzi może zastąpić zupełnie dokładność, jakiej lunety każały się spodziewać.

Prawdopodobnie coraz większa potrzeba, w obec coraz liczniejszych odkryć astronomicznych, jako też wzgląd na wysokie ceny sprowadzanych z zagranicy lunet, zmusiły pierwotnie Heveliusza do zajęcia się ich wyrobem na swój własny użytek. Widzimy to z jego listu, pisanego w r. 1661 do niejakiego J. Benjamina Rabenera ¹⁾, referendarza brandeburskiego, wielkiego miłośnika astronomii, a nawet pilnego obserwatora, który często swoje obserwacje posyłał Heveliuszowi: „Was sonst den Tubum betrifft, der mein Herr alhier von Dantzig aus begehret, so kann ich den Herrn hiermit berichten, dass auch nicht ein einziges gutes Telescopium allhier zu kauffen sey, den sie hier nicht gemacht werden, man muss sie, wo man sie nicht selbst machen kann, in Niderlanden, Rom oder Augspurg suchen, also wie zwar noch wohl etzlicher massen zu finden, wiewol in einem sehr hohen Preis; ich habe einen, aus denen die ich selbst vor 1 Jahren gemacht (den ich itzo dazu keine Zeit) der zu Augspurg geschlieffen, welcher mir bey 100 Ducaten kost, wiewol ich etzlich die ich selbst gemacht, ein viel mehreres thun können, in gewissen Sachen” ²⁾.

¹⁾ Zach: „Monatl. Corresp.” 1803 t. VIII.

²⁾ Piękną nauczkę daje nam Zach, przytaczając ten list. Opisał bowiem poprzednio, jak przez zakupno przyszedł w posiadanie niektórych papierów i autografów po Heveliuszu pozostałych, z których nieporównanie większa część, bo 17 foliantów, została już w roku 1725 przez francuskiego

Pomieważ Heveliusz sam szkła i soczewki szlifował, sam lunety składał, nic więc dziwnego, że często dopraszano się o nie, i ztąd pochodzi, że wyroby jego można było często spotkać poza domem. Zach opowiada, że Andrzej Reyber, rektor gimnazjum gotajskiego w r. 1652 obstalował u Heveliusza teleskop dla księcia Ernesta Pobożnego, który prócz tego miał wielki i kosztowny teleskop, przystany mu w darze od regenta, a późniejszego króla Szwecyi, Karola Gustawa, lecz teleskop ten nie był taki, jak go Selenografia (Heveliusza) opisuje ¹⁾. A miał Heveliusz już wtenczas bardzo wielkie lunety, „presque aussi grosses que la Cuisse,” jak pisze dworzanin króla polskiego, Jana Kazimierza, który Heveliusza 29 stycznia 1660 r. w Gdańsku odwiedził, do jednego ze swych przyjaciół do Paryża ²⁾, dodając: „Si le ciel eust été plus serain, il (Hevelius) lui (au Roi) eust fait voir les eminences, les vallons, le solide et le liquide du Globe de la Lune.“

Z listu Heveliusza do Rabenera wynika, że fabrykacya lunet w owych czasach, a więc w pół wieku po ich odkryciu była już szeroko rozpowszechnioną w Niemczech, Włoszech i Anglii, ale wyroby te były jeszcze bardzo drogie. Najlepsze lunety podówczas robione by-

astronoma J. N. De l'Isle w czasie przejazdu przez Gdańsk zakupiona, (według Lalanda złożoną ona ma być w Paryżu w Carten-depot marynarki, zaś według Montuclii dostać się miała w r. 1750 do Kadyksu, a król hiszpański jest właścicielem tego skarbu), tak pisze Zach dalej: „Es ist ewig Schade, dass solche Schätze immer an das Ausland kómen; mehr ähnliche Beispiele, selbst in neuern Zeiten, sind nicht selten. Montucla sagt bei Gelegenheit der Handschriften des Hevelius: à Dieu ne plaise que je veuille rien dire de defavorable à la nation Espagnole, mais il me semble que la vraie place d'une collection semblable eût été la bibliothèque de l'Academie des Sciences de Paris, ou la bibliothèque nationale.” Das sehe ich nicht ein! mówi dalej Zach. La vraie place Deutscher Handschriften eines Deutschen Astronomen wäre meines Erachtens denn doch, sous tous les Rapports, auf einer deutschen Bibliothek! Godzimy się zupełnie na słowa Zacha, które z goryczy za straconym skarbem wypowiada, z tą tylko małą poprawką, że autografy te, jako polskiego a nie niemieckiego astronoma, w polskiej a nie niemieckiej powinny były spocząć bibliotece, że niektóre z nich są po niemiecku pisane, to nic dziwnego, bo przy ogromnych stosunkach naukowych, jakie miał Heveliusz z całym ówczesnym uczonym światem, grzeczność, nieznaną wprawdzie dzisiejszej praktyce pruskiej, kazała mu na niemieckie listy odpowiadać po niemiecku. Heveliusz wydawał wszystkie dzieła swoje „cum Gratia et Privilegio Sacrae Regiae Majest Polon.,” i od Heveliusza aż do zajęcia Gdańska przez Prusaków w r. 1793 to trochę za daleko! Poggendorff (Geschichte der Physik p. 448) wywodzi Heveliusza nazwisko i ród niemiecki od Hevelcke, co według niego ma być to samo co „Hügelchen!“

¹⁾ „Telescopium satis grande et pretiosum accepit, sed tale non est, quale Selenographia describit et promittit.“ Zach, Monatl. Corr. t. VIII.

²⁾ Ibid.

w Rzymie u Eustachego de Divinis i u Józefa Campani w Bolonii, gdyż bywały na przeszło 100 stóp długie, i niemi to już w r. 1652 obserwowano cień pierścienia saturnowego, jakoteż ciemne pasy jowiszowe. Donosi o tém Heveliuszowi z Rzymu naoczny świadek. W latach 1650—1670 największe lunety u Campani'ego robione, miały długości 55 palmi czyli 38 stóp franc. Astronom Adryan Auzout, który już w r. 1663 robił olbrzymie lunety bez rur, czyli bez stałego połączenia obiektywu z okulem, wykończył obiektyw, który przy 300 stóp odległości ogniskowej, 600 razy powiększał. W następnych latach robiono jeszcze większe lunety, jak np. 1683 o długości 141 stóp, obstalowaną u Campani'ego dla Colbert'a, ministra Ludwika XIV, która się podobno do dziś w zbiorach obserwatorium paryzkiego znajduje. Wszyscy ówcześni optycy trzymali w wielkiej tajemnicy sztukę szlifowania szkieł, jako też przyrządy do tego używane, i pozostały one według Lalanda na zawsze nieznanne, jak na szczęście jednak, z niewielką stratą dla postępu lunety, dzięki odkryciu szkieł achromatycznych.

Pierwszy ze sławniejszych optyków niemieckich, trudniących się wyrobem lunet, był wspomniany już przez nas powyżej Krzysztof Scheiner, żyjący w latach 1575—1650 jezuita; uczył on matematyki w Ingolstadzie, Freiburgu i Rzymie, a umarł jako rektor kolegium jezuickiego w Nissie na Szlązku pruskim. Znany jest jako autor dzieła: „*Rosa Ursina sive sol ex admirando focalium et macularum suarum phaenomeno varius...*“ wydanego w latach 1625—1630. (Nazwa „*Rosa*“ jest symbolicznym imieniem słońca, któremu dodaje jeszcze „*Ursina*“, na cześć księcia Pawła Jordana II-go z rodu książąt rzymskich Orsinich albo Ursinich, bo jemu to dzieło dedykowane). Scheiner odkrył za pomocą swych lunet, niezawisłe od Galileusza, plamy słoneczne i wielkie na tém polu położył zasługi, prowadził bowiem te obserwacje przez długi szereg lat, których owoc w dziele swoim złożył. W drugiej księdze dzieła swego opisuje astronomiczną lunetę i podaje badania nad drogą promieni światła przez soczewki idących, opisuje również odkryty przez siebie „*helioskop*“, o którym powiada: „*Si pari ratione lentes duas convenas coloratas tubo oculoque accomodaveris, habebis helioscopium mirificum, et protrahes, quidquid in sole absconsum fuerit,—dalej zaś mikroskop, o którym znów mówi: „Eadem arte natum est illud admirabile microscopium, quo musca in elephantem, et pulex in camelum amplificatur.“*

Wielkie także zasługi w ulepszeniu lunety położył kapucyn Antoni Maria Schyrllaenus z klasztoru Rheit w Czechach. Skonstruował on między innymi t. z. lunetę ziemską, która jest kombinacją czterech soczewek wypukłych, a daje obrazy wprost, t. j. nie odwrócone, jak luneta astronomiczna. Pomysł swój opisuje Sch. w dziele: „*Oculus Enoch et Eliae, sive Radius sidereo mysticus, auctore Antonio. Ant-*

werp. 1645.“ Jako przyczynek do pierwszej części podaje rozprawę: „*Oculus astrospicus binoculus, sive praxis dioptrices*,“ i mieni się być wynalazcą dwuocznych lunet (t. zw. binokli), co jak wiadomo, pierwój Lippershey a po nim Galilei już byli uczynili. W dziele Schyrllaesa poraz pierwszy występują nazwy odróżniające szkła przedmiotowe od ocznych (objektyw i okular), jako też podane są badania eksperymentalne nad najkorzystniejszym stosunkiem wielkości średnicy jednych szkła względem drugich. Co do samej nazwy „Teleskop“ (jak również i mikroskop), pochodzi ona od członka akademii dei Lyncei ¹⁾, greka Demisciana, — aż po jego czasy nazywano te narzędzia: *Conspicilia*, *Perspicilia*, *Occhiali* lub *Occhialini*.

Prócz drogi eksperymentalnej, po której postępował wynalazek, wzbudzający tak wielką ciekawość, nie brakło już w samym początku na ludziach, którzy do wydoskonalenia jego na drodze teoretycznej wielce się przyczynili. Pierwszy z pomiędzy tych uczonych był Jan Kepler (1571 † 1630), genialny astronom, którego wprawdzie do wynalazców lunety zaliczać nie można, ale którego prace w dioptryce do jój ulepszenia nie tylko wielce się przyczyniły, ale stały się nawet podstawą tój doskonałości, do jakiej te narzędzia dziś doszły. Były to prace wielkiego znaczenia, owoc głębokiej myśli i studyów, i to jeszcze zbieraany w czasach ciężkich dla Keplera trosk o byt materialny. Kepler wyłożył teorią lunety, rzecz zupełnie podówczas nową, — a najpierwszém zadaniem przy tём dziele było zbadać prawa łamalnności światła, przechodzącego z powietrza do szkła. Poznawszy się ze sferyczném zboczeniem soczewek, a polegającém, jak wiadomo, na tём, że promienie, przechodzące przez brzegi soczewek, nie schodzą się dokładnie z innemi, idącemi przez ich środek, przez co obraz na wyrazistości i dokładności traci, podał myśl szlifowania soczewek kształtów hiperbolicznych zamiast sferycznych. Jego *Dioptryka*, wydana w r. 1611 p. t. „*Joannis Kepleri Dioptrice seu demonstratio eorum que visui et visibilibus propter conspicilia non ita pridem inventa accidunt*“ zasługuje na uwagę, gdyż w dziele tём spotykamy poraz pierwszy teorią t. zw. holenderskiej czyli galileuszowskiej lunety, a prócz tego znajdujemy podane sposoby odmiennego niż dotąd konstruowania lunety, z których nawet jeden, polegający na kombinacji dwóch wypukłych soczewek, w życie wprowadzony, otrzymał nazwę lunety keplerowskiej czyli astronomicznej.

Drugim, współczesnym niemal Keplerowi i samemuż wynalazkowi, był Descartes, Kartezjuszem także zwany (ur. 1596 † 1650), jeden z największych myślicieli i uczonych francuzkich. W r. 1637 wydał dzieło p. t.: „*Discours de la methode, pour bien conduire la raison, et chercher la verité dans les sciences. Plus la dioptrique, les metéores et la geometrie, qui sont les essais de cette methode*,“ —

¹⁾ Accademia dei Lyncei (t. j. akademja ostrowidzów), założona na początku XVII wieku w Rzymie przez księcia Cesi, wielkiego mecenasa nauk.

a w niem również zajmuje się badaniami nad najkorzystniejszymi kształtami soczewek, przyznając pierwszeństwo eliptycznym i hyperbolicznym przed sferycznymi. Była to częściowo właściwie myśl Keplera, której on jednak żadnym dowodem nie poparł. Descartes zaś, aby przyjść w pomoc optykom przy szlifowaniu szkieł takich, opisał wymyślone przez siebie do tego przyrządy, za pomocą których udało się zapewne optykowi Ferrier w Paryżu w r. 1628 wykończyć soczewkę hiperboliczną, chociaż tylko wypukłą. Mimo jednak, że ze stanowiska teoretycznego studia i badania Descartesa są bardzo cenne, to przecież praktyka z nich korzystać nie mogła, gdyż z jednej strony sporządzanie proponowanych przez niego kształtów na wielkie bardzo trudności natrafiało, z drugiej zaś usuwanie tym sposobem sferycznego zboczenia wprowadzało do szkieł błąd jeszcze większy i dokuczliwszy, mianowicie rozszczepianie barw.

Doszliśmy tedy w opowieści naszej o wynalazku lunety do połowy XVII stulecia. Odtąd obudziła się dążność do udoskonalenia tego wynalazku nie tylko ze względów teoretycznych; rozpoczął się bowiem nowy peryod w historii tego wynalazku, peryod, w którym już nie myślano jedynie o konstrukcyi jak największych lunet i szkieł obiektywnych¹⁾, przez co chciano się uwolnić od dokuczliwych błędów w naturze szkła tkwiących i osiągnąć rzeczy niemożliwe. Starano się przede wszystkim o to, aby na innej drodze pozbyć się niedogodności rozszczepienia się barw, czyli t. zw. chromatycznego zboczenia. Dzieje tego peryodu bardzo ciekawe i pouczające, dowodzą, z jakimi to trudnościami duch ludzki walczyć musiał, nim stanął na tym szczeblu, na którym prawdopodobnie na dłuższy czas zatrzymać się musi, jak gdyby pod przestrogą: „Teraz dalej nie pójdziesz!“ Opis tych dziejów zająłby miejsce, przekraczające granice pisma peryodycznego, dla tego wspomnimy tylko słów kilka o lunetach zwierciadlanych, które swojego czasu także wielką rolę odgrywały i miały swoje dni piękne, zasłużone i godne uznania, dni, które i dziś jeszcze mimo nieuzasadnionej opinii, spychając je na dno zapomnienia, mają przyszłość przed sobą.

II.

Historya odkrycia lunety zwierciadlanej.

Podanie, że już król Ptolemeusz Euergetes na wyspie Pharus przed Aleksandryą ustawił zwierciadło, za pomocą którego można było roz-

¹⁾ Korzyści, jakie początkowo spodziewano się osiągnąć przez olbrzymie długości lunet, napawały dawniejszych astronomów ekscentrycznymi nadziejami. Tak np. Robert Hooke, astronom i matematyk angielski (1635—1703), proponował lunety długości 10 tysięcy stóp (czyli blisko $\frac{1}{2}$ mili googr.), aby mózż zwierzęta widzieć na księżycu. (Humboldt, Kosmos, t. III).

poznawać okręty nieprzyjacielskie, stojące bardzo daleko, polega na wiadomości Jana B. Porty („*Magia naturalis*,” z r. 1560). Roger Baco („*Opus majus*,”) pisze, że Juliusz Cezar, najężdżając Brytanią, ustawił na brzegu francuzkim zwierciadła w celu rozpatrzenia się w położeniu obozów nieprzyjacielskich, rozłożonych na drugim brzegu. Wiadomości podobnej treści, odnoszące się do odległej starożytności, świadczą, że odkrycie teleskopów zwierciadlanych sięga odleglejszych czasów, aniżeli odkrycie lunet soczewkowych. Niektórzy twierdzą, że teleskop zwierciadlany zawdzięcza początek swój zdaniu Newtona o niemożliwości zniesienia chromatycznego zбочzenia w soczewkach, czyli osiągnięcia t. zw. achromatyzmu, i że jest tylko owocem usiłowań obejścia tej wrzekomo niepokonalnej trudności. Pogląd ten podlega jednak pewnej wątpliwości, ponieważ wiadomo, że od dawien dawna posiadano wielką zręczność i wprawę w polerowaniu zwierciadeł wklęsłych metalicznych, które Rzymianie dobrze już znali. Wynalazek i zastosowanie samych zwierciadeł przypisują Archimedesowi, który przy oblężeniu Syrakuz, spalił za pomocą tego środka okręty Marcelusa; wiadomo, że podobnego środka miał także użyć i Proclus podczas oblężenia Konstantynopola w wieku V-ym. Idąc atoli za źródłami historycznymi, nie można faktu tego uważać za dowiedziony. Polybiusz, Plutarch i Liwiusz, opisujący obronę Syrakuzy, nie są świadkami współczesnymi. Pierwszy z nich urodził się w kilka lat po zburzeniu tego miasta; pamięć tego faktu mogła jeszcze żywo się utrzymywać w narodzie, dla tego podanie jego zastępuje na większą wiarę, aniżeli Plutarcha i Liwiusza, późniejszych o kilka wieków. Polybiusz zaś nie wspomina o tym czynie Archimedesza. Cała ta legenda prawdopodobnie stworzoną i rozszerzoną została przez pisarzy późniejszych, a przypuściwszy nawet, że spalenie okrętów rzymskich przez Archimedesza było faktem, to jeszcze z tego nie wynika, że było dokonane za pomocą zwierciadeł wklęsłych, czyli też płaskich, a o pierwszych poraz pierwszy wspomina wyraźnie Anthemiusz, z czasów Justyniana (saec. VI). („*Peri paradaxon mechanematon*,” t. j. o machinach paradoksalnych). Anthemiusz mówi o niemożliwości zapalenia kawałka drzewa za pomocą zwierciadeł wklęsłych w większym oddaleniu, aniżeli odległość strzału z łuku, i dodaje, że jeżeli to, co opowiadają o Archimedesie jest prawdą, to musiał on chyba używać kilku zwierciadeł płaskich stosownie rozłożonych, przyczem zastanawia się obszernie i rachunkowo nad kombinacją i liczbą potrzebnych do tego zwierciadeł. Celem stwierdzenia tego faktu w porcie syrakuzkańskim, robili w późniejszych czasach nawet doświadczenia niektórzy badacze, jak np. A. Kircher, jezuita (1601—1680, wynalazca latarni czarnoksiężkięj), szczególnie zaś żyjący w przeszłym wieku J. L. Buffon. Pałace szkło tego ostatniego badacza przyrody składało się ze 168 zwierciadeł, każde o 16 cm. szerokości i 22 cm. długości, odległość wzajemna tychże wynosiła około 9 mm., i każde z nich mogło być we wszystkich

kierunkach kręcone, czyli pod dowolnym kątem względem sąsiednich ustawiane. Za pomocą takiego aparatu zapalił on prawie w jednej chwili deskę jodłową, smołą powleczoną, w odległości 49 metrów. Średnica wypalonego otworu miała 41 cm,—i podobnie doświadczania robił on z innymi gatunkami drzew i z różną liczbą zwierciadeł, co wszystko przekonywa o znaney sile promieni słonecznych w ten sposób skupionych, w żadnym atoli razie nie wywołujących skutków w mowie będących w zbyt wielkiej odległości. Wspomniana wyżej wiadomość użycia takich zwierciadeł przez Cezara pochodzi najprawdopodobniej z fałszywego tłómaczenia i pomieszania wyrazów łacińskich specula i speculae, z których pierwszy znaczy „zwierciadła,” drugi zaś „strażnice.“

Pierwsza myśl i wiadomość o teleskopie zwierciadlanym znajduje się w dziele „Optica philosophica” ks. Jezuita Zucchiego ¹⁾ (w r. 1652—1656). Próby Zucchiego, oparte na teoretycznej optyce, nie powiodły mu się z powodu niedokładnego obrobienia zwierciadeł do tego użytych; dopiero później, skoro otrzymał, jak sam opisuje, dobre zwierciadło metalowe i gdy je skierował na przedmioty ziemskie lub niebieskie, a równocześnie szkło wklęsłe przed oczyma trzymał, udało mu się otrzymać to, czego od teoryi oczekiwał. Tak więc Zucchi, musi być według dotychczasowych świadectw uważany za wynalazcę lunety zwierciadlanej.

W 20 lat później, jezuita M. Mersenne, francuz, podał projekt innego urządzenia lunety zwierciadlanej, a mianowicie użycia dwóch zwierciadeł wklęsłych parabolicznych o różnych wymiarach, z którychby mniejsze, umieszczone w wysokości ogniskowej większego, promienie zbieżnie od tegoż na nie padające i nazad odbite, przesełało oku, ukrytemu po za otworkiem w środku zwierciadła większego. Podaje on przytem przepisy, aby wielkość wspomnianego otworu nie przewyższała wielkości pupilli ocznej, gdyż przez dopływ światła zewnętrznego do oka traciłoby się na wyrazistości widzenia, a nawet radzi dla powstrzymania tego światła oba zwierciadła połączyć rurą, wewnątrz czarną, a otaczającą obwody obydwóch zwierciadeł. Mersenne nie wykonał swego projektu, boby się był przekonał, że prócz dwóch zwierciadeł, niezbędną jest przynajmniej jeszcze jedna soczewka Descartes'a, który w liście do M. zwraca też słusznie uwagę na trudność konstrukcyi zwierciadeł parabolicznych, zaznacza także utratę wielkiej ilości światła przez odbijanie i z projektu tego wiele sobie nie obiecuje.

Myśl Mersenny podjął w r. 1663, albo też, jak dowodzą niektórzy, samodzielnie z tą samą wystąpił teoryą Jan Gregory, matematyk i astronom, Szkot (1638—1675). Zamiast dwóch zwierciadeł parabolicznych proponuje Gregory jedno większe, drugie zaś małe, eliptyczne, umieszczone naturalnie na końcach jednej wspólniej otwartej rury.

¹⁾ O. Mikołaj Zucchi, profesor kolegium rzymskiego, (ur. 1586 w Parmie † 1670) jezuita i nadworny kaznodzija papieża Aleksandra VII.

Prócz téj poprawki projektu Mersenny,—projektuje drugą: w otwór zwierciadła większego, przez które oko ma patrzeć na obraz przedmiotu, odbity od zwierciadła eliptycznego, osadza soczewkę, która tenże obraz powiększa. Zwierciadło eliptyczne jest przytém ruchome i przesuwalne wzdłuż osi rury, celem otrzymania każdorazowo wyraźnego obrazu, co zależy od odległości obserwowanego przedmiotu, do której odpowiednio potrzeba oba zwierciadła do siebie zbliżyć lub od siebie oddalać. Z pisma jego z r. 1663 p. t.: „Optica promota” wynika jednak, że Gregory, jako nie obznajmiony z mechaniką, nie umiał dać potrzebnych wskazówek do polerowania zwierciadeł parabolicznych. Lunety też swojego pomysłu w życie nie wprowadził, chociaż udawał się w r. 1664 czy 1665 w tym celu do optyka w Londynie.

W lat 10 później dopiero, myśl, porzuconą przez Gregory'ego urzeczywistnił wspomniany powyżej dr. Robert Hooke, który skonstruował według niej teleskop i przedstawił go 5 lutego 1674 ówczesnemu towarzystwu astronomicznemu (Royal Society). Był to więc właściwie pierwszy teleskop zwierciadlany i to ze soczewką w otworze zwierciadła większego, a lubo w opisie jego, podanym przez W. Derhama we „Philosophical experiments” z r. 1726 nie wzmiankowano wcale, czy krzywizna zwierciadeł była taką, jaką Gregory projektował, to przecież teleskop ten zatrzymał nazwę projektodawcy Gregory'ego. Około tegoż czasu sławny Izaak Newton, powodowany mniemaniem, że usunięcie chromatycznego zbieżności w soczewkach szklanych jest i pozostanie niemożliwem, wziął się do konstrukcyi lunet zwierciadlanych. Jego pierwszy teleskop, wykończony w r. 1668 przez niego samego, różni się przez to od poprzedniego, że w miejsce parabolicznego lub eliptycznego zwierciadła mniejszego, użył on poprostu zwierciadła płaskiego, pochylonego do osi lunety pod kątem 45° , zaś otwór dla oka patrzącego również przez soczewkę, umieścił w boku rury czyli lunety, tak, że promienie od wielkiego zwierciadła czyli t. z. reflektora raz, a następnie po dojściu do zwierciadła płaskiego i odbiciu stąd drugi raz, do tego otworu bocznego dochodzą. Luneta ta, a właściwie lunetka miała długości 6", średnicy 1", a powiększała 30 do 40 razy. Metal na zwierciadło jej użyty był kompozycją miedzi, arszeniku i cyny. Wkrótce potem sporządził Newton cokolwiek większy teleskop, którego używał do swych obserwacyi i przedłożył go 11 stycznia 1672 powyż rzeczonemu towarzystwu astronomicznemu, które go w obecności króla zbadało, a znalazłszy wyborym poleciło przestać opis jego wraz z rysunkiem Huygensowi, który podówczas był w Paryżu. Teleskop ten znajduje się dotychczas w bibliotece Towarzystwa z napisem: „Invented by Sir Isaac Newton and made with his own hands 1671.” W parę lat później zmienił Newton jeszcze raz swój teleskop w ten sposób, że zamiast zwierciadła płaskiego użył pryzmatu szklanego, i w tym to ostatnim składzie znany on jest do dziś pod jego nazwą,—myśl zaś jego, iżby zamiast reflektora metalicznego użyć również zwierciadła szklanego posrebrzanego, rozbiła się wówczas o niemożli-

wość otrzymania czystego zupełnie szkła, i dopiero w najnowszych czasach przez Foukaulta podjęta i wykonana została.

Już po opisanii newtonowskiego teleskopu w „Philosoph. Transactions“ w r. 1672, ukazał się tegoż roku w piśmie „Journal des savants“ opis nowej znów konstrukcyi jego, ogłoszony przez Cassegrain'a, która pierwiej niż newtonowska obmyślona przezniego być miała i jest od niej lepszą. Różnica tej konstrukcyi od poprzednich, a w szczególności od teleskopu Gregory'ego polega na tém, że zamiast zwierciadełka (t. j. mniejszego) wklęsłego, użył Cassegrain wypukłego, przez co, aczkolwiek ta zmiana drobną się być zdaje, rzeczywiście przecieź rzecz się ulepszyła, gdyż tym sposobem teleskop zyskiwał na pomniejszeniu jego długości, a prócz tego, ponieważ oba zwierciadła swoje odmiennie krzywizny (wielkie zwierciadło jest bowiem wklęsłe) ku sobie zwracały, znaczna więc część sferycznego zboczenia przez to zniesioną była. Mimo atoli tych istotnych zalet był teleskop Cassegrain'a prawie przez cały XVIII wiek zapoznany, gdy teleskop Gregory'ego pierwszeństwo sobie wyrobił.

Po Newtonie teleskop zwierciadlany popadł w zapomnienie, z którego w pół wieku dopiero wyciągnął go Jan Hadley, fabrykant instrumentów i amator-astronom w Londynie. Hadley oddał (1773) teleskop swój roboty, długości 6', również Towarzystwu astronomicznemu. Teleskop Hadleya, konstruowany według zasady Newtona, z powodu atoli różnych niedokładności musiał także ustąpić pierwszeństwa teleskopowi Gregory'ego.

I znów widzimy zastój w fabrykacyi teleskopów zwierciadlanych, jakby odpoczynek, po którym nastąpił zwrot, który można niemal uważać za chwilę nowego wynalazku, mówimy o wynalazku wielkiego teleskopu Herschla. William Herschel urodził się w r. 1738 w Hanowerze, gdzie ojciec jego był muzykiem. Od młodości zdradzał zamiłowanie do nauk przyrodniczych, lecz niezamożny ojciec, nie będąc w stanie zadość uczynić jego skłonnościom i ochocie, ćwiczył go sam tylko w muzyce. W r. 1759 brat jego Jakób, także muzyk, przywołał go do siebie do Anglii. Ale tu była bieda, nie było zarobku i z czego żyć. Dopiero lord Durham przyszedł z wielką pomocą biednemu, robiąc go instruktorem muzyki przy angielskiem wojsku. W r. 1765 dostał posadę organisty w Halifax, a choć nie był to byt świetny, ale przynajmniej od głodu chronił. Tu zaczął studyować teorią muzyki, a znalazłszy w tém matematyczne trudności, wzięł się najprzód do klasycznych języków, potem do matematyki a wreszcie i do analizy. W następnym roku dostał miejsce organisty w Bath, miasteczku leżącym w angielskiem hrabstwie Somerset, sławnem ze swoich wód gorących, gdzie miał byt lepszy, ale i obowiązków więcej, musiał bowiem grywać w salonach dla gości kąpielowych, w teatrze, na koncertach i t. p. Mimo tego nie zaniedbywał studyów w matematyce, a posiadłszy dostatecznie tę naukę, przeszedł do teorii światła, a wreszcie do astronomii. Jeden z przyjaciół pożyczył mu 2 stopowego teleskopu zwierciadlanego, za pomocą którego obser-

wując niebo, tak się do rzeczy zapalił, że postanowił kupić sobie taki egzemplarz w Londynie. Gdy jednak cena była za wysoką na jego kieszeń, wziął się sam do fabrykacji. Rozpoczął więc liczne poszukiwania nad takimi połączeniami metali, które światło najlepiej odbijają, tudzież nad kształtem zwierciadeł i nad ich polerowaniem, a pierwszym owocem tej pracy był 5 stopowy teleskop, systemu Newtona, wykończony przezeń w r. 1774, przez który zaraz Saturna i pierścień jego obserwował. Zachęcony przez to zaczął robić większe egzemplarze, 7, 10 i 20 stopowe, przechodząc ciągle drogą eksperymentów od mniejszych do większych, a jak sam powiada w piśmie peryodycznym „Phil. Transactions“ z r. 1795, (gdzie obszernie o tém swoim zajęciu i żonę na to cierpliwości wspomina), wyrobił zwierciadeł nie mniej jak 200 do 7 stopowych, 150 do 10 stopowych, a około 80 do 20 stopowych teleskopów ¹⁾. Od tego czasu rozniosło się imię wielkiego optyka, a gdy prócz odkrycia wielu nieznanych dotąd gwiazd podwójnych, odkrył także planetę Uranusa, dotarła sława Herschla i do wysokich pałaców. Grzegorz III udzielił mu audyencji, na której zawiadomiony o już uczynionych i zamierzonych w przyszłości pracach, wyznaczył Herschlowi pensyi dożywotniej 300 gwinei, a prócz tego mieszkanie w Slough w pobliżu zamku Windsor. Odtąd zostawał Herschel pod opieką króla i odtąd to, nie troszcząc się o byt powszedni, prócz ciągłej pracy nad konstrukcją lunet, ogłosił 69 rozpraw w powyżej wspomnianém piśmie. W r. 1781 powziął Herschel myśl zbudowania 30 stopowego teleskopu, a w tym celu, przygotowawszy najprzód stosowną podstawę, odlał zwierciadło o średnicy 36 cali, ponieważ zaś kompozycja metalu na to użytego była krucha, pękło mu to zwierciadło przy oziębianiu. Ale to go wcale nie zraziło od dalszej pracy w tym kierunku. Odlał także zwierciadło drugi raz—ale piec mu się znów zawalił i wszystek metal poszedł do ognia. Dał teraz z eksperymentami pokój na jakiś czas. Dopiero około końca 1785 r. zaczął pracować nad 40 stopowym reflektorem, robiąc sam dla każdego najmniejszego kawałka specjalne rysunki i sam wszędzie roboty, zajmującej 40 ludzi, doglądając. W Slough ustawił on ten kolos ²⁾ na odpowiednio doń położonych fundamentach. Wielkie zwierciadło, w którym obraz z odległych przedmiotów był obserwowany soczewką oczną, było nastawione skośnie

¹⁾ Arago's *Sämmtl. Werke* T. XI.

²⁾ Hr. Brühl, poseł saski przy dworze W. Brytanii, wielki miłośnik astronomii i sam pilny obserwator, z własnego oglądania podaje wymiary tego kolosu (*Berl. Astr. Jahrb.* r. 1790), i tak między innymi: rura czyli tubus z blachy żelaznej miała długości 40' ang. (t. j. 12,2 m. czyli wysokości dwupiętrowego domu), zwierciadło średnicy 4' 10'' (t. j. 1,45 m.); waga całego teleskopu 4 tysiące funtów, z czego na samo zwierciadło przypadało 2,500 funtów. Na galerią, na której był punkt obserwacyjny, a więc w wysokości drugiego piętra będącej, obserwatorowie byli windą wciągani. Koszta wynoszące przeszło 2,000 funt. szterl. były pokryte z królewskiej szkatuły.

do osi lunety, a to dla tego, aby głowa obserwatora nie zakrywała i nie wstrzymywała zbyt wielkiej części promieni na nie padających. Zwierciadło to zupełnie wypolerowane i w tubusie osadzone było już na początku 1787, całkowite jednak wykończenie teleskopu przypada na czas późniejszy. Gdy bowiem znów pierwszy odlew zwierciadła nie zadawałniał Herschla, zrobił odlew drugi, za pomocą którego zaraz na drugi dzień po jego osadzeniu (t. j. 27 sierp. 1789) odkrył 6 trabanta Saturnowego ¹⁾.

Aczkolwiek po tym olbrzymim teleskopie wiele się współcześni spodziewali, nie otrzymano jednak za pomocą jego zadowalniających rezultatów. Wielkie zwierciadło straciło wkrótce swoją politurę skutkiem zachodzenia parą w czasie chłodnych nocy i skutkiem oksydowania; musiało też z powodu za wielkich kosztów w przyprowadzeniu go do dobrego stanu, pozostać bezczynnem. Prócz tego: nierówności w zwierciadle, a głównie niemożliwość używania takiego kolosu z matematyczną dokładnością, zniechęciły samego Herschla do jego używania i błędnem jest twierdzenie, że liczne odkrycia, jakie mu astronomia zawdzięcza, były owocem nadzwyczajnej siły powiększającej tego teleskopu. Najważniejsze z tychże odkryć poczynił on reflektorami 7 do 20 stóp długimi, a 60 do 300 razy powiększającymi; resztę należy zawdzięczyć jego rzadkiej i niezmiernie wytrwałej i jego matematycznemu zmysłowi. Oddawna padł ten najslawniejszy ze wszystkich optycznych narzędzi, instrument, ofiarą czasu, i to w najistotniejszej swej części, jaką jest zwierciadło, i stał się ruiną nieużyteczną; ale długo jeszcze w pobliżu Slough wznosiło się potężne rusztowanie, służące mu za podstawę; sam zaś teleskop na końcu 1839 roku, czyli w pół wieku po jego ustawieniu, kazał John Herschel, syn Wiliama; a również jak ojciec zasłużony astronom, zdjąć i rozebrać, aby jego części składowe na pomnik dla swego ojca obrócić; i w tym nowym kształcie należy on do historii astronomii i jej relikwii zeszłego wieku.

Ale i bieżące stulecie w budowie takich naukowych olbrzymów nie pozostało w tyle, świadcząc przytem chlubnie o gorliwości w zbadaniu nieba nie tylko rządów, ale i prywatnych ludzi, którzy majątki swoje na to łożyli, i których nieudałe dawniejsze przykłady z tropu zbić nie zdołały. Do rzędu takich należy teleskop zwierciadlany Lassella w Starfield koło Liverpoolu, mający 1½ m. otworu, a również 12 m. długości, tudzież teleskop lorda W. Rosse'go, zmarłego przed 20 laty. Ten ostatni przewyższył ogromem swoim wszystkich rówieśników i poprzedników, a zbudowany był w r. 1812 kosztem przeszło jednego miliona

¹⁾ Gdy sławny astronom francuzki Lalande, będąc w Londynie w r. 1792, królowi się przedstawił, a rozmowa zesła na astronomię, rzekł Grzegorz III, że na jegoto życzenie Herschel zbudował ten teleskop; a gdy mu Lalande w imieniu umiejętności za jego hojność dziękował, odrzekł król: „czyż nie lepiej pieniądze na takie rzeczy wydawać, aniżeli na zabijanie ludzi?” (Riel, Natur. u. Geschichte I Bd).

reńskich dla obserwatorium prywatnego tegoż lorda w Personstown w Irlandyi. Zwierciadło jego miało $1\frac{1}{3}$ m. w średnicy, a ważyło 4071 kg.; wliczywszy zaś do tego ciężar $15\frac{1}{3}$ m. długiej drewnianej tuby, wynoszący 7560 kg., dalej ciężar podstawy pod nią i innych przynależności, to całkowity ciężar tego olbrzyma wynosił 16,284 kg. czyli 293 centnarów. Na osadę jego potrzeba było budowy dwóch murów wysokości 18 m. czyli wysokości blisko 4-ro piętrowej kamienicy. Również wspaniały ogromem, chociaż mniejszy od poprzedzających, znajduje się reflektor w Melbourne w Australii, który tamże kolonia angielska, Victoria w r. 1862 zbudować kazała. Wykonania podjął się H. Grubb, optyk w Dublinie. Na wiosnę r. 1868 teleskop został przez znawców za dobry uznany i z Liverpoolu do Australii wysłany, a w r. 1869 rozpoczęto robić obserwacje. Na zwierciadła użył Grubb kompozycji metalicznej, mało co różnej od newtonowskiej, mimo wszystkich dotychczasowych prób i projektów ¹⁾, t. j. mieszaniny 4 części miedzi z jedną częścią cyny, której także i lord Rosse na zwierciadła swego teleskopu użył; zwierciadło ma $1\frac{1}{5}$ in. średnicy, a ciężar jego wraz z oprawą wynosi 1,590 kg., ciężar zaś całego aparatu z wszystkimi przynależnościami wynosi 8,240 ko. ²⁾.

Doszlśmy tedy w historii reflektorów, przynajmniej w najwybitniejszych momentach, aż do ostatnich czasów. Dzieje to o wiele spokojniejsze i prostsze, aniżeli lunet soczewkowych czyli refraktorów, chociaż dzieje te, pisane ręką obu Herschłów i całego szeregu po nich idących zwolenników tej nauki, którzy z mienia i wiedzy swojej ofiary wielkie na tym ołtarzu złożyli, niezatartém nigdy piśmem w postępie nauki się uwydatniły, a przed sobą czyste jeszcze w swój księdze mają do zapełnienia karty. Błędnie bowiem rozpowszechnione jest mniemanie, że rola, jaką reflektory odgrywały, jest skończona, a one same już tylko do historycznych należą relikwii. Bywały czasy, w których one palmę pierwszeństwa zaszczytnie trzymały. Współzawodnictwo między niemi a refraktorami, świadczące również chlubnie o niestrudzonej

¹⁾ Obszerny opis tego teleskopu podany jest w czasopiśmie „Vierteljahresschrift der astron. Gesellschaft” VII. Jahrgang. 1872.

²⁾ Jeszcze i dziś poleca H. Grubb tę mieszaninę jako najlepszą do tego celu, t. j. dokładnie co do wagi 252 jednostek miedzi na 117,8 cyny. (Instrum. kunde 1887, 3 Heft). A. Šafařík zaś, profesor i właściciel obserwatorium w Pradze, proponuje i udowodnia dobroć reflektorów ze zwierciadłami z posrebrzanego brązu, które z powodu swej wielkiej stałości i łatwiejszej naprawy, lepsze są aniżeli zwierciadła z używanego dotąd metalu lub z posrebrzanego szkła: pierwsze są bardzo kruche i łamliwe, przy drugich zaś warstwa srebra łatwo się niszczy i od szkła odpada, powstają przytem rysy aż do szkła dochodzące, pomniejszające siłę refleksyjną, a gazy i pary wchodzą między szkło i powłokę srebrną, podczas gdy na brązie jest silniejsza adhezja metali i srebro się nie łuszczy. (Vierteljahresschrift d. astron. Gesell. R. 1883).

i niezmordowanej przemysłowości ducha ludzkiego, przemysłowości, która, podparta pracami wielu myślicieli teoretycznych i praktycznych, wyszła nauce na dobre. Najcięższym zarzutem, jaki kiedyś stawiano reflektorom, była niepodatność w użyciu tych lewiantów, z powodu ogromu ich budowy; dziś ten zarzut, do nich tylko dotąd stosowany, upada w obec faktu, że obecnie i refraktory również do olbrzymich wymiarów i kosztów doszły ¹⁾, a poważni znawcy zadają sobie pytanie: „Co dalej” w obec faktu, że nawiązane do nich nadzieje z różnych powodów nie zupełnie się ziściły. Stosunkowo do tych ostatnich, były, rzec można, lunety zwierciadlane trochę zaniedbanym dzieckiem; na którego wychowanie tyle pracy nie łożono. Dziś jednak, przy postępie innych nauk i przemysłu, przy wydoskonalonych chemicznych sposobach powlekania płyt szklanych, które metal zastąpić mogą, nadzwyczaj cienką a twardą metaliczną srebrną warstwą, dającą się łatwo i oczyścić i odnowić, a przytem nie tak czułą na wpływ wilgoci i gazów, tudzież w obec swoich znów korzyści, a przedewszystkiem w obec okoliczności, że, przy równiej odległości ogniskowej, mogą mieć większe pole widzenia, t. j. że niemi większą powierzchnią obserwowanego przez nie przedmiotu naraz objąć można, aniżeli się to dzieje przy refraktorach, — mają one jeszcze swoją przyszłość, tak że niedalekie może czasy, w których badacze nieba znowu do nich nawrócą. A choćby nawet i inaczej się stało, to zawsze ich zasługa pozostanie niewzruszoną i stałą. Im to przeważnie nie mniej i pracy nieśmiertelnego Herschla zawdzięczyć należy, że przed okiem ludzkim, wysuniętym z ich pomocą w nieskończoność przestrzeni, roztoczył się i to coraz cudowniej wielki obraz natury i niepojęta rozmaitość jej kształtów, której tylko cząstkę przed 150 laty zoczył Galilei. Co przez tysiące lat za pojedyncze gwiazdy uważano, rozwiązuje się na podwójne, potrójne, na całe systemy gwiazdziste, które wszelkimi barwami migocząc, ludzkości nowe, do dziś nierozwiązane zagadki stawiają. Ów wielki badacz, nieśmiertelny Herschel, był tym, który

¹⁾ Długość lunety, ustawionej przed paru laty w nowym Obserwatorium wiedeńskim, której szkło przedmiotowe ma 68 cm. średnicy, wynosi 11 m., a więc nie o wiele mniej, jak słynny teleskop Herschla: ciężar całego narzędzia wraz z podstawą żelazną wynosi 18 tysięcy ko. (360 centn.), sama zaś ta część, która przy obserwacjach musi być w ruchu, t. j. tubus z osiami i przeciwcieżarami waży około 5 tysięcy ko. (100 ctn). Kopia potrzebna do pomieszczenia tej lunety ma średnicy 14 do 15 m., a kosztą jej samą wynoszą do 70 tysięcy reńskich. Jeszcze większy kolos obstalowany został później dla obserwatorium w Lick (w Kalifornii) u optyka A. Clarka w Bostonie, a soczewka przedmiotowa w ostatnich dopiero miesiącach została na miejsce przeznaczenia odstawiona. Ma ona 91 cm. średnicy, kosztą jej odlewu u Feila w Paryżu, któremu 19 odlewów szkła koronnego (Kronglas) się nie powiodło, zgodzono na 350 tysięcy franków (140 tys. zlr.), kosztą zaś całego tego olbrzyma wraz z urządzeniem dojdą prawdopodobnie do $\frac{3}{4}$ miliona zlr.

tu wszędzie pierwsze ścieżki torował. Starsi wielcy astronomowie, od Kopernika do Newtona, rozwiązyli zagadkę o porządku i prawie systemu planetarnego; z Herschlem, wyłaniają się tajemnice świata gwiazdzistego. Sporządzanemi za pomocą pochodni swego ducha, olbrzymiami teleskopami wkroczył on w głąbie niebieskie i oświecił te dróżny, któremi odtąd miała iść i poszła nauka. Gdy sądownicę swoją zarzucił w bezmiar przestrzeni niebieskiej, gdy powłokę gwiazd, która zdawała się stanowić granice świata, przełamał, — gdy promienne pierścienie drogi mlecznej, na której już od Demokryta przeczuwaną masę gwiazd pierwsze oko Galilei'ego ujrzeć miało, a W. Herschel dokładniej przez swe olbrzymie instrumenty jej się przypatrzywszy, więcej niż 18 milionów w najwspanialszej grze barw błyszczących słońc w nich rozpoznał, gdy uzbrojony teleskopami swemi przedarł się poza nasz świat gwiazdzisty w nieskończoność wszechświata do tych cudownych utworów mgławic, które niezliczone w niedających się myśla objąć odległościach od wieków ku chwale swego Pana goreją, wtedy zasłużył sobie rzeczywiście na te słowa, jakie ponad grobem tego wielkiego dowódcy w tej śmiałej zdobywczej wyprawie wyryto: „Coelorum perrupit claustra,“ przebił szranki niebieskie! Sześć dziesiątków lat z okładem minęło od jego śmierci († 25 sierp. 1822): czas zasobny i bogaty w wielkie i donośne wynalazki i pomysły, czas, w którym i astronomia wielu świetnemi odkryciami i postępami poszczycić się może. Staęła ona wraz z swojemi teoryami i praktyką na szczyblu, do którego dostęp starym pracownikom był niemożliwy, a dosyć tu wspomnieć o analizie spektralnej i fotografii, nakłonionych dziś do jej służby. Przy tém wszystkiem więcej może dziś niż dawniej czuje duch ludzki, jak mu jeszcze wiele do zrobienia i poznania pozostaje. Widzimy też coraz jaśniej, że poza temi przez Herschla przetamanemi ryglami niebieskimi, mieszczą się niezbadane, bezgraniczne przestrzenie, których znajomość i historiją mimo wysiłków rozumu ludzkiego, zbrojącego się w olbrzymie lunety i teleskopy, zawodzące nas tak często w nadziejach naszych, Stwórca może na wieki dla Siebie zostawił, przypominając przez to, że te olbrzymy, to przecież tylko dzieło rąk ludzkich.

WŁOCHY TEGOCZESNE.

PRZEZ

Adolfa Smorzewskiego *).

II. G e n u a.

W dziejach starożytnej Romy, przestrzeń wybrzeża morskiego, ciągnąca się od rzeki Waru, stanowiącego właściwą granicę Gallii, aż po strumień Macra, na granicy dzisiejszej Toskanii, nazywaną Liguryą, to jest siedzibą górali. Etnografia zalicza ludność tu zamieszkałą do szczepu Iberyjskiego: w zapasach wojennych z Rzymianami złożyła ona dowody wielkiej odwagi i wytrwałości, przymiotów, cechujących stale Hiszpanów. Po drugiej wojnie punickiej Rzymianie rozpoczęli podbój Liguryi. Uporczywa walka trwała od roku 200 do 163 przed Chrystusem, to jest przez lat 38, w ciągu których rzymianie doznali niejednokrotnie klęsk dotkliwych.

Dawni Ligurowie stanowili konfederacją licznych drobnych klanów patryarchalnie rządzonych. Związek ich obejmował całą ludność Apeninu nadmorskich i rozciągał się po za łańcuch tych gór aż do rzeki Padu, po za którą położona była Gallia pozaalpejska (cisalpina) czyli zapadańska (transpadana).

W wiekach średnich na wybrzeżach Liguryi wzniosła się do znaczenia istotnej potęgi rzeczpospolita genueńska. Ślady siły i rozległego handlu tego przedsiębiorczego municypium widzieć można dotąd w licznych zwaliskach warownych twierdz genueńskich nad morzem

*) Zob. zesz. za m. luty r. b.

Marmara, Czarném i Azowskiém. Zalety rasowo polityczne dawnych Ligurów utrzymały się dotychczas, mianowicie: zdolność do samorządu, solidarność i wytrwałość w działaniu. Siamo sempre Liguri, zawsze jesteśmy dawni Ligurowie, mówił mi przed kilku laty w Rzymie Cav: Maineri, sekretarz poufny Cairolego, a stały naczelnik kancelaryi w ministryum robót publicznych. Pomimo że należy do falangi, która złączyła Włochy całe, dumny jest zawsze Maineri z miana Ligura, i okazuje wśród apatycznej ludności rzymskiej ustawiczną działalność prawdziwego genuęczyka. Sympatye jego niezmiernie żywe objawiły się roku 1863 pismem „azuro e nero,” w którym czyni z Polaków podziwu godnych aniołów.

W Piemoncie i Lombardyi a następnie i w Liguryi tkwi obecnie cała siła wskrzeszonego narodu.

Pierwszy raz zwiedziłem Piemont w r. 1850, wkrótce po wojnie nieszczęśliwej z Austryakami i po abdykacyi króla Karola Alberta. Przybyłem z Francyi z krewnym moim Pawłem Bielskim, który odbył ostatnią kampanią jako oficer pułku dragonów Piemont-Royal, należącego do dywizyi generała Bava i otrzymał medal Piemoncki, dający sto franków dożywotniej ¹⁾ pensyi za przytomne znalezienie się, gdy trzeba było zakrywać jazdą odwrót całej spłoszonej dywizyi. Bielski był ze szkoły podchorążych i oficerem polskim z 30 roku, nie stracił więc przytomności w aferze, która groziła utratą armat. Kiedy dragonia pod kulkami strzelców austryackich, którzy wyszli znienacka ze wzgórzy otaczających, zmieszała się i żołnierze mający zakryć odwrót dywizyi, puścili się z truchta retro w galop i byliby stratowali własną piechotę, Bielski, który miał doskonałego konia, zrównał się z pierwszym dragonem i przyłożywszy mu pistolet do łba, wstrzymał dającego zły przykład, krzyknął przytém: „Panowie oficerowie do pistoletów, wstrzymać tych łajdaków!” Major Villamarina, dzisiejszy ochmistrz dworu włoskiego i inni oficerowie naśladowali ruch Bielskiego i pod grozą oficerskich pistoletów wstrzymano spłoszonych dragonów, uszykowano się mimo gradu kulek austryackich, które nie okazały się bardzo szkodliwe i zwróciwszy front przeciw Austryakom, odparto debuszujących z wąwozu huzarów. Pułk Piemont-Royal był arystokratyczny, liczący młodzież najpierwszych rodzin włoskich w gronie oficerów.

¹⁾ Domieszczać, że w wojsku piemonckiem otrzymywano medale złote i srebrne za szczególne tylko odznaczenie się w boju. Tak podczas bitwy pod Nowarą r. 1849, gdy się chwiała zwycięstwo, stary, wysłużony generał Perronne, który wrócił z ochoty w szeregi, widząc, że bateria jakaś austryacka mocno szkodzi, zawołał, „złoty medal temu, kto zagwoździ armaty“ i poprowadził kolumnę do ataku. Austryacy ustąpili na chwilę z pozycyi. Perronne trafiony śmiertelnie, poległ na placu. Gdy pogrzeb się odbywał, król ozdobił martwe ciało Perronna medalem złotym, jedynym w tój nieszczęśliwej kampanii.

Niezmiernie byli wdzięczni za uratowanie honoru jazdy i gdy Bielski występował ze służby po skończonej kampanii, podpisali wszyscy, zaczęwszy od pułkownika hr. Montevecchio, piękne testimonium służby wojskowej i dobrego koleżeństwa. Medal wojskowy, który Bielski nosił, miał wedle zwyczaju ówczesnego piemonckiego wyryte nazwisko odznaczonego, datę i nazwę spotkania, za które był dany. Za powrotem do Włoch, jako turysta, był Paweł Bielski najmiliej witany i odwiedzany, co mnie jako razem z nim podróżującemu, dało poznać usposobienia i życie szlachty piemonckiej, wyróżniającej się wśród Włoch, rdzennie wojskowej, podobnie jak pruska.

W marcu roku 1850 Piemont był jeszcze bardzo zimny. Przybyliśmy piękną nadmorską drogą z Francji, zwaną „la Corniche” do Genui, gdzie upłynęło nam sześć tygodni na życiu z wojskowymi tamecznego garnizonu.

Stała na ówczas w Genui brygada Sabaudzka generała Molard i batalion bersagliarów, w którym służyli jako oficerowie dwaj polacy Dulfus i Graf. Na półtołdzie było jeszcze kilku polaków, między nimi major Przyłuski, czynny w wojnach hiszpańskich. Cała załoga miała humor wesoły, podniecony wyjątkowem naówczas powodzeniem. Sabaudzcy to bowiem i bersagliarzy, pod wodzą generała Lamarmora, zdobyli gracko Genuę zrepublikowanizowaną, która była powstała na tyłach armii, bijącej się z Austryakami. To powstanie motłochu genueńskiego było dziełem niegodziwego generała Ramoryno. Celem republikanów włoskich było zgubić monarchią piemoncką i rodzinę Sabaudzką, której więcej nienawidzili i bali się aniżeli Austryaków. Podczas, kiedy król Karol Albert zabierał się do walki pod Nowarą, Ramoryno przepuszczał Austryaków przez Mincio, odkrywając skrzydło włoskie. Ujęty przez własnych żołnierzy, którzy się spostrzegli, został Ramoryno jak wiadomo, rozstrzelany wedle wyroku sądu wojennego. Genua była jednak już w pełnem powstaniu pod wodzą klubowego krzykacza Avezany. Lamarmora pospieszył forsownym marszem ku Genui. Cięższe wojsko ustawało po drodze. Dwie kompanie lekkich strzelców, bersagliarami zwanych, nadbiegły pierwsze pod straszliwe forty genueńskie, na skałach się pietrzące, które niegdyś tak Masenie przeciw Austrykom posłużyły, unieśmiertelniając imię wodza i stawę niezdojności dając Genui. Tym razem nie czujny Masena tam dowodził, lecz krzykacz Avezana. Forty nie były strzeżone, na stromych skałach nie było placówek. Lamarmora, który nadszedł od bogatego przedmieścia St. Pierre d’Areny, nie stracił chwili czasu. Kazał pozbierać pospiesznie wszelkie drabiny, które wiążąc sznurami przyłożono do ciosowych parapetów i wyżej po chropawych skałach i dwie kompanie wdarty się jak koty na ostry grzbiety, po którym jedyna biegnie drożyna, łącząca forty okalające miasto. U stóp teraz bersagliarom ukazały się duże koszary, napełnione świeżo zformowaną gwardyą narodową genueńską. Kilkuset tych gwardzistów wysypało się i zaczęło strzelać, ale spędzeni zostali przeciętko a bersagliarzy opano-

wali w gonitwie wielką dolną bramę przymorską. Odezwały się wyższe forty genueńskie, sterczące jak guiazda orle na szczytach skał i próbowały strącić bersaglierów kulami działowemi. Tu trochę było strat po stronie wojska, ale w ciągu parogodzinnej wyż opisanej afery już nadeszła reszta piechoty Lamarmory i posuwała się w głąb miasta bramą otwartą przez bersaglierów. Kilka barykad przy nadmorskim pałacu Doria stawiało tylko opór a na nich ukazały się rogatywki Mirosławczyków. Ta niespodzianka wyjaśniła się. Ci zuchy płynęli z Francji do Sycylii, gdzie dowodził pod ten czas Mirosławski i zwinęli właśnie do Genui, gdy wkraczał Lamarmora. Avezana wpadł zaraz na okręt i przekonał, że tu w Genui walka wolności z tyranją wymaga poświęceń serc szlachetnych i sypnęła się wiara na odsiecz, zajęła barykady i odstrzeliwała się oboczo. Graf, który szedł z bersaglierami poznał rogatywki i wzięwszy chustkę na pałasz wystąpił chcąc parlamentować, a był bardzo wysokiego wzrostu. Strzał jakiś z okna dany trafił go na wylot w piersi. „Zamroczyło mnie jakoś i oparłem się o ścianę,” opowiadał potem pocziwy Graf.— „Żołnierze uderzyli na barykady i już nie wiem jak tam się skończyło.”

Piemontczycy za tę eskapadę nie mieli urazy do rogatywek, puścili co zostało do Sycylii, a polaków lubili po dawnemu i Graf też brał interwencye rogatywek w sprawę genueńską jako pomyłkę z gorącości krwi wynikłą. Nie ma żółci w tych dzielnych wojskowych sercach!

Unikając hoteli, które są drogie we Włoszech, najeliśmy dwa duże pokoje meblowane w domu, mającym widok na port i piękną słoneczną wystawę. Wielki balkon z białego marmuru pozwalał wygrzewać się w południowe godziny. Oko sięgało przez dawny arsenał na przystań i na morze, ożywione licznymi żaglowemi okrętami. Ponieważ Genua cała jest zbudowana amfiteatralnie na stromych skałach, domy się piętrzą tak wysoko aż wyrzają na słońce i tu się zaczyna liczyć primo piano, pierwsze piętro. Do naszego szło się jakąś uliczką z samych schodów złożoną, a w domu mieliśmy jeszcze 54 stopnie do naszego słonecznego mieszkania—niżej były same składy i magazyny. Fatyge wynagradzał śliczny widok—ruch mrówczy u stóp na placach przymorskich a za arsenałem i portem, wznosiły się lekkie tarasy i portyki pałacu Wielkiego Andrea Doria z gmachem środkowym dominującym. Dalej strzępy skał, okalających i forty; wysoko położone, niedawno wzięte przez Lamarmore.

Po wczesnym obiedzie u ożywionego włoskiego table d'hote, wracaliśmy do naszego mieszkania, które wkrótce napępniało się oficerami garnizonu, zaczawszy od generała Molard. Grano wiska bardzo taniego na kilka stolików, a za całe przyjęcie służyły długie wojskowe cygara, kilka butelek różowego wina francuzkiego Beaujolais, w którym sabaudzcy mają upodobanie i tyleż butelek limonady gazowej. Z nazwisk oficerów pamiętam Montbel, Faverge, Peron, Perie, Perez i całą litanią tak jakoś brzmiących, z których żartowano, że się umyślnie

dobrali. Młodziutki Elio, brat sławnego hiszpańskiego generała karlistowskiego, służył także w brygadzie sabaudzkiej.

Opowiadań militarnych było bez liku i mimo niepowodzenia ostatniej wojny, nie tracono fantazyi a przywiązanie do starej żołnierskiej dynastyi sabaudzkiej tylko wzrosło. Radzi też byli bardzo z danej republikańcom genueńskim trzepanki. Rozumiano w kołach wojskowych, że tylko Piemont może podźwignąć sprawę włoską i że już dostateczną było chlubą dla małego kraiku, że się zmierzył z całą potęgą Austrii, a jeśli został pokonany, to winna temu była anarchiczność innych prowincyi włoskich. Naczelnicy tych prowincyi, Neapolitańczyki, Romaniole, Toskany i najliczniejsi Lombardy, schronili się tłumnie do Piemontu i medytowali cierpko nad skutkami swych rozterek. Pobyt ich odtąd prawie dziesięcioletni w Piemontcie był szkołą bardzo potrzebną, która nieznacznie uśmierzyła wybujałość fantazyi i przekonała, że karność militarna i uznanie szczerę prawowitej dynastyi jest jedyną drogą, mogącą doprowadzić Włochy do wyzwolenia z pod obcej przemocy.

Z liczby takich wychodźców poznaliśmy w Genui starych hrabstwa Bossi Paravicini z zięciem, córką i wnukami, których już do szkół piemonckich oddali. Byli to bardzo egzaltowani Lombardowie. Z Sycylianów byli la Cecilia i Luigi Gravina, który mnie później przyjmował w Katanii. Bielski niezmiernie rozmowny przekonywał exulów, że w karności wojskowej zbawienie. Bielski był dobrej tuszy, dekorowany z Polski i Włoch, więc też jakiś piemoncki hr. Bormia, intendent dóbr królewskich, tytułował go u table d'hote generałem, potakiwał stale i na uhonorowanie kazał przynosić coraz to inne wina piemonckie, nad których udoskonaleniem pracował fanatycznie, ale jeszcze nie bardzo skutecznie. Od tego czasu wartość tych win znakomicie ulepszoną została.

W około znacznej części portu genueńskiego wznosi się wysoki i bardzo przestronny taras, pod którym mieszczą się rzędem liczne sklepione sale tak szerokie, że do nich wciągano dawniej galery rzeczypo-spolitej, to jest długie, niskie okręciki, opatrzone w trzy rzędy wiosła. Takie galery, którym żagle pomagały nie wiele, były siłą morską, jaka jeszcze w bitwie pod Lepautem figurowała, dając zwycięstwo don Juanowi austriackiemu r. 1571 nad flotą turecką Selima II, który stracił w tej bitwie 200 galer i 30,000 żołnierzy.

W salach wyż rzezonnych pozostawały galery w czasie, pokoju aby nie butwiały daremnie. Ze zmianą budowy okrętów arsenał genueński użyty został jako więzienie najgorszych zbrodniarzy, i tych znajdowało się tamże ośmiuset r. 1849, w chwili, kiedy nastąpiło powstanie genueńskie. Avezana, który kroił na rodzaj Dantona lub Robespiera, umyślił pozostawić pod swą komendą tę wybraną partyą. Zenującym tylko był strój galerników. Rozesłał więc Avezana po mieście swych klubistów, aby wołali na patryotów: „dawajcie zbyteczne ubrania, gdyż nadchodzi legia Lombardzka z boju z Austryakami, zdradzo-

na przez rojalistów, odarta.“ Zmyleni mieszczenie rzucali z okien, co kto miał zdatego z ubrań.

Avezana w tymże czasie poszedł z swą strażą przyboczną do arsenału głosić wolność galernikom i rozbić ich okowy. Tam jednak czuwał pułkownik piemoncki de Sanctis, komendant arsenału. Mając tylko 50 żołnierzy, nie mógł się mierzyć w pierwszej chwili z powstałym pospółstwem miejskim i powstrzymać wszystkich galerników. Więc powołał do siebie 20 zbrodniarzy najgorszej kategorii, skazanych na całe życie i przemówił do nich w następujący sposób: „przyjdą tu z miasta i chcą was wszystkich uwolnić. Nie długa będzie jednak wasza radość. Król zgniecie bunt a wy dostaniecie się znów w łańcuchy. Jeżeli zaś nie dacie się wyprowadzić dziś z więzienia, to ja wam ręczę słowem oficerskiem, że wyjednam u króla złagodzenie waszych kar, co będzie niespodzianem dla was szczęściem, bo jesteście w najcięższej kategorii.” Zbrodniarze przyrzekli uczynić, co im każe de Sanctis—rozkuło ich, dano karabiny i naboje i de Sanctis urządził z nimi barykadę w wąskiej ulicze, prowadzącej do arsenału. Żołnierzom zaś kazał czuwać nad resztą galerników w głębi arsenału.

Wkrótce pokazała się kolumna powstańcza Avezany, wołająca już zdala: viva liberta! Gdy ukazali się liberatorzy na zakręcie uliczki, zdziwili się niepomiernie, widząc czerwone kurtki i czapki frygijskie galerników na barykadzie, lufki karabinów wymierzone niepokojąco i de Sanctisa w mundurze wojskowym komenderującego wyborem galerników. Daremnie Avezana głos wznosił—galernicy odpowiedzieli, że nie chcą od niego wolności i wierni są królowi. Klubiści nie mieli ochoty przemocą galerników uwalniać i zawstydzony Avezana zawrócił się do miasta.

Poznałem de Sanctisa wśród jego rodziny ¹⁾ jak wesoło nazywał ciurkę—był to typ honorowego, nieulekłego oficera i dobrego sprawiedliwego zwierzchnika. Za jego wstawieniem, król zmniejszył karę galernikom a zamożne mieszczaństwo geneueńskie nie mogło się nachwalić przytomności umysłu i odwagi osobistej de Sanctisa, który ocalił miasto i znaczną część kraju od najohydniejszego terroryzmu.

W roku 1850 był już u władzy hr. Camillo Bensio di Cavour. Dwie wojny przeciw Austrii i kontrybucya 100 milionów franków, wyczerpały skarb małego piemonckiego państewka. Zwykły minister byłby odstąpił wszelkich ryzykowniejszych zamiarów i szukał w drobnych oszczędnościach i nowych podatkach ratunku dla zniszczonych finansów. Cavour, pochodzący z wiejskiej szlacheckiej rodziny, poczuwał niedostatki systemu fiskalnego, który był dotąd prawidłem Piemontu, obwarowanego cłami i rządzącego się idea, żeby wszystko mieć swoje aż do szpilek i gwoździ. Cavour wyznawał szerszą Cobdenowską opinią, że kraje powinny się rozwijać w kierunku przyro-

¹⁾ We Włoszech domowników nazywają familia.

dzonym, gdyż chęć wytwarzania wszystkiego, tamuje właśnie wzrost tej produkcji, która z naturą kraju jest zgodna i która najwyższe może dać korzyści przy swobodnej wymianie. Poświęcił więc Cavour drobne fabryczki, wegetujące życiem sztucznym i zawarł z Anglią traktat, otwierający Piemont dla wyrobów bawełnianych, żelaza i węgla kamiennego, traktat, opłacony napływem kapitałów angielskich, z których pomocą wziął się Cavour energicznie do pobudowania kolei żelaznej z Genui przez Alesandryą do Turynu, żeby otworzyć ujście produktom rolnym. Pierwsze 12 mil tej kolei przechodzi przez dziwny szereg niezliczonych grzbietów wązkich, skalistych, przedzielonych także wązkiemi głębokimi rozpadlinami. Cała przeto ta część kolei składa się z niedługich tuneli i mnóstwa mostów. Taki teren odstraszał przedsiębiorców, chociaż za nim rozciągała się płaszczyna piemoncka bardzo urodzajna, skrapiana w najumiejętniejszy sposób wodami Padu, mnogich pomniejszych rzek i strumieni; obejmująca 500 mil kwadratowych i otoczona wzgórzami, dającymi obficie jedwab' i najlepsze gatunki win czerwonych włoskich. Cavour wykonał pierwszą zastraszającą sekcją kolei kosztem rządu—za pożyczone na ciężkich warunkach pieniądze. Piemont zaraz odetchnął. Zamiast drogi wozowej przez strome grzbieity i rozpadliny otworzyła się gładka kolejowa linia, po której we trzy godziny produkta rolne dochodzą do portu genueńskiego, gdzie poprzednio dwa tygodnie uciążliwej kołowej drogi ledwie towar doprowadzały. Rolnicy piemontcy nie potrzebowali odtąd poddawać się cłom austryackim i prowadzić swe zboże do równie żyznej Lombardyi, bo mieli udostępnione dla swego zboża brzegi morskie Liguryi i południe Francyi zawsze potrzebujące zboża i płacące zań dobrze. Żelazo angielskie giętkie i wytrzymałe nadchodziło do Piemontu w najrozliczniejszych formach i wymiarach, przydatnych do każdej drobnej przemysłowości, dające wytrzymałość narzędziom rolniczym, co jest zaletą wielką w rękach rolnika, budowniczego, powoźnika i t. p.

Skoro się objawił ogromny ruch na odcinku kolei z Genui do Alesandryi znaleźli się przedsiębiorcy na resztę drogi przez Turyn do podnóża Alp i rozgałęzień w stronę Lombardyi. Ostatecznie przekop Mont-Cenis, najpierwszy tunel międzynarodowy olbrzymich rozmiarów, jest owocem śmiałości polityki Cavoura.

Można dodać z chlubą stanu rolnego spostrzeżenie, że najwięksi ministrowie Włoch nowożytnych, mianowicie hr. Cavour i baron Ricasoli, byli z wiejskich rodzin i ten ostatni namiętnie lubił zajęcia rolne. Sprawdziło się stare przysłowie Sullego: „cultures et pastures sont les deux mamelles de l'état.“ Dbałość o rolnictwo postawiła Francją wysoko za Henryka IV i dziś stan rolny, o ile go nie poświęcą dla zachcianek pseudo industrialnych, staje się jedną z najpewniejszych dźwigni ogólnego dobrobytu.

Cavour przez swój traktat z Anglią nie tylko podniósł w Piemoncie dochodowość wszystkich realności i wypłatność państwową, ale po-

zyskał jeszcze stałe poparcie Anglii w zamiarach politycznych, gdyż rachunkowy ten kraj lubi pomódz aspiracyom narodowym tam, gdzie oprócz zadowolenia humanistycznych uczuć, można otworzyć korzystne targi handlowe i odbyć na wyroby angielskie.

Krnąbrną Genuę przywiązał też Cavour stanowczo do Piemontu, którego przekonania monarchiczne teraz Liguria cała podziela, wyrzekłszy się wspomnień republikańskich, zadowolona z rozwoju handlu i municypalnych swobód, zgodnych z jednością królestwa włoskiego.

Spotykał jednak Cavour liczne przeszkody w kraju własnym i napaści w parlamencie. Bywały chwile, że nikt nie chciał zajmować wybitniejszych ministerów obok Cavoura i ten musiał zarządzać na raz trzema wydziałami. W izbie też trzymał się tylko przez to, że wspierał się na falandze 40 urzędników, których tam przedostał, istnych mameleków, tak że do wściekłości doprowadzał ludzi zkądinąd zacnych, ale nie rozumiejących położenia, ani dalszych zamiarów. Kampanią Kryńską, którą się szczycą teraz Włochy, przedsięwziął wbrew opinii ogólnej i oskarżano go w ówczas o jawną zdradę. Wyrzucali mu polityczni przeciwnicy, że wysłał 20,000 wyborowego wojska do Krymu, żeby mógł łatwiej wydać Austrii Piemont, ostatni przytułek włoskiej wolności!

Słuchliwość wojska piemonckiego godna tu wszelkiej pochwały. Byłem podówczas w Turynie, widziałem oficerów, odbywających pożegnalne wizyty w salonach i rzewnie opłakiwanych przez damy. Wołały, że ten kwiat młodzieży poświęca niedogodziwy Cavour w stepy i śniegi. Sztywnie się zachowywała młodzież, bez udanego zapału, ale też i bez krytyki rozkazów królewskich. Lombardy i ich przyjaciele, zasiadający w izbie, zacząwszy od męczennika Giorgio Pallavicini, towarzysza Silvia Pellico obruszali się w parlamencie na wyprawę szaloną. Parlament jednak piemoncki nie dał się zachwiać i spełnił wszelkie żądania królewskie. Ofiara ta z krwi i przekonań opłaciła się sławnie, bo Włochy wkupiły się przez nią do aliansu zachodniego i mogły na kongresie paryzkim upomnieć się o swoje prawa.

Życie w Genui jest jednostajne: pamiętam, że teatr geneueński grał przez całe sześć tygodni operę Hernani, Granda banitę i Chór wspaniały; „a Carlo magno gloria e onor“ witał cesarza Karola V-go, gdy wyszedł z grobu wielkiego protoplasty.

Balet, którym się też stale rozkoszowano, był wzięty z Księżny i Szewców, którym czarnksiężnik zmienia role. Książę Lazanski, ów dziwiący się ciągle małżonek, miał niebieską jedwabną kwadratową czapeczkę, obszytą puchem łabędzim i bóciki czerwone takimże puchem obszyte na wązkich spodeńkach; miał przyjaciół podobnie ubranych. Scena czarnoksiężstwa działała się w Polsce jak nazwiska na ski, pski wykazywały. Geneueńczycy byli pewni doskonałej charakterystyki narodu polskiego.

Genua nie jest miastem zabawném. Jest to miasto rdzennie bankierskie i zajęte przedsiębiorstwami handlowymi po całej kuli ziemskiej. Geneueńczycy lubią gromadzić pieniądze, w których widzą

głównie potęgę i możność dzieł wielkich. Nie jest to sknerstwo hollenderskie ani łapczywość żydowska. Fortuny wielkie geneueńskie tworzą ustawicznie coś wielkiego i wspaniałego w budownictwie lub fundacyach i „Genoa la superba“ godna jest zawsze swego przydomku. Kto czytał podróż po Włoszech de Brosse, prezydenta parlamentu burgundzkiego, odbytą przeszło sto lat temu znaleźć, że zwyczaje arystokracji geneueńskiej w niczem się nie zmieniły. Najbogatsze rodziny zajmują drugie piętro swych ogromnych pałaców, w których pierwsze zawiera cały szereg wspaniałych, dobrze utrzymanych recepcyjnych salonów, używanych tylko w wielkich rodzinnych zdarzeniach. De Brosse skarży się, że skąpa, jak ją nazywa szlachta geneueńska, nie zaprosiła go ani razu na obiad. Wesele w jednej rodzinie dało mu tylko widzieć splendor czasem pokazywany. Któryś szlachcic, wielkie imię noszący wydał córkę i ugaszcał całe miasto. Wydał na to dwa miliony franków. Inni, powiada, budują całe życie kościoł, lub gmach jakiś pożyteczny dla miasta, któremu go darowują, dodaje więc de Brosse refleksją: „czy ostatecznie nie lepiej czynią jak szlachta jego współczesna francuzka, „która się natłacza ustawicznie w małych salonikach i przejada fortuny w wykwintach kuchennych.“ Otóż w Genui życie magnackich rodzin, które i dziś są potęgami pieniężnymi, jest ukryte i zamknięte w kole najbliższych stosunków. Jest nawet i tam chłód szczególny. W czasie naszego pobytu przyjechali do Genui hrabstwo Borromeo, właściciele sławniej Isola Bella. Młody Borromeo, który służył w tymże pułku Piemont Royal, odwiedził jako kolega Bielskiego i mówił, że przyjechali do Imperialich; ona była siostrą hr-ny Borromeo i mają jeden z największych pałaców. Więc mieszkacie u nich pyta Bielski. „Nie, w hotelu“ odpowiada Borromeo.

Stroją jednak zawsze Geneueńczycy swe miasto rodzinne z wielkim często wydatkiem. Do najnowszych dzieł geneueńskich pierwszorzędnym rodzi należy villa Pallavicini na przedmieściu S. Pierre d'Avena, która już w r. 1850 kosztowała pięć milionów franków i przedstawiała sztuczny rozległy ogród sadzony w ziemi nawiezionej na jałowe skały i zaopatrzony obficie w wodę umyślnie zbudowanym akwaduktem. Obok zakładał z podobnym kosztem lasy iglaste na górach Książę Centurione.

Szpital wielki w Genui wart podziwu i najwyższych pochwał, jako prawdziwy zakład zdrowia. Jest to fundacya dawna w pysznym geneueńskim stylu i ciągle rozszerzana. Na skalistej pochyłości, przystępnej wszędzie słońcu i odświeżanej powiewem morskim, wznosi się amfiteatralnie zbiór budowli jednopiętrowych, wysoko sklepionych, poprzdzielanych tarasami, na których rosnące bujne pomarańczowe drzewa rzucają cień lekki i napełniają powietrze swym aromatem, wielce w nerwowych cierpieniach uspokajającym. Sale są tak obszerne, że łóżka chorych są przedzielone od siebie wielkiem oknem. Naprzeciw tych okien stoją w głębokich niszach statuy marmurowe dawnych dożów i innych dobroczyńców szpitala większej aniżeli naturalnej wielkości. Sążni-

ste napisy wyrażają ich zasługi i uznanie miasta. Chory, z łóżka okrytego białymi firankami które zsuwać wedle potrzeby można, napawa się spokojem, ciszą, tą prawdziwą wspaniałością wspomnień sławnych i czynów zacnych. Oddycha czystém powietrzem, które odświeża się łatwo pod wysokimi sklepieniami a napływa z pełnego morza przez wygrzane od słońca, kwieciste tarasy.

Przypomnę jeszcze, że księżna Galiera darowała niedawno miastu dwadzieścia milionów franków na zbudowanie grobli portowej, obejmującej część przystani, aby z niej utworzyć drugi port bezpieczny, ułatwiający wyładowywanie okrętów, równie jak i dowóz towarów na okręty.

Pod względem architektury pałace i wille genueńskie najlepszym mogą być wzorem dla naszych budowniczych, jeżeli chcą się trzymać w stylu włoskim.—Trudność o place większe w mieście, ścieśnioném od wieków murami fortecznymi, zmuszała do obliczenia dobrego i wyzyskania najumiejętniejszego, aby wspaniałości pałacom nie ująć. Ulice w Genui, po których jedynie jeżdżą powozy, wiją się: jedna dolna po nad portem, druga wyższa gdzie jest teatr, główne gmachy i pałace, jest wrębana w połowie pochyłości stroméj skał, ma łagodny spad i prowadzi na płaskowzgórzu, gdzie jest rozległy ogród publiczny, zwany Acqua Sole. Pałace téj ulicy, stojące po lewej stronie, przypierają do górnej połaci skalistej, te zaś, co są po prawej stronie, spierają się na kosztownych tarasach bardzo wązkich, ale dominujących nad całą średnią częścią miasta i dających cudny widok na morze i szeroko rozwinięte brzegi z licznymi skalistemi przylądkami. Płytkie place nie mogły mieścić dziedzińców wewnętrznych i choć pałac ma front bardzo rozwinięty, stanowi tylko jedną, bardzo ozdobną ścianę, w której sień wielka w kształcie olbrzymiej wklęsłej niszy zastępuje fronton, gdyż ten nie mógł wystąpić, żeby nie zwęzić paradnej ulicy. W te sienie mogą zwykle wjeżdżać powozy. Ornamentacya sieni jest skromna, ale bardzo harmonijna i polega na ładnie rzuconych sklepieniach i na dobrem zestawieniu kolumn. Niebieskawa pobiała, świeżo wyglądająca i ogromna, bardzo ozdobna latarnia, wisząca w środku sieni, uzupełniają dobrze efekt ogólny, którego nie psują żadne mizerne gipsatury. Niektóre pałace mają tę sień otwartą na przestrzał w wielkie arkady i dającą widok na stromą krawędź skały, podmurowaną w małe, ładnie narysowane tarasy, z rzędami dubeltowych schodów i pięknymi marmurowemi balustradami. Na oparciach i tarasach poustawiane są wazy z karłowatemi krzewami, lub rosną wprost w gruncie pomarańczowe drzewa i kamelie, okryte kwieciami, a tło stanowią zwykle ciemne cyprysy, laury i inna trwała zieleń. Gdzie niegdzie statua lub wodotrysk stanowią środek obrazku.

Narożniki pałaców, położonych po lewej stronie mają bardzo piękne marmurowe glorjety, rodzaj ślicznych, trwałych altan, dających widok na morze po przez tarasy pałaców, położonych po stronie prawej. Te ostatnie mają zwykle zupełnie płaskie pokrycie z kamienia

lub asfaltu, osłonięte wysoko podniesionym murem, który ku stronie ulicy figuruje jako gzems, bardzo bogatą rzeźbą zdobiony. Na tym płaskim, bardzo przestronnym dachu biegają dzieci właścicieli pałaców bezpiecznie, grają w zabawy, między którymi i ciuciu babka żywo się odbywa.

Niezliczona liczba willi genueńskich wykazuje też pomysłowość architektów tamecznych i wielką umiejętność w obliczaniu efektów doskonałej perspektywy. Cała okolica Genui jest w wąwozach i rozpadlinach skalistych, przedzielonych małutkimi płaskowzgórzami, po których rozsiane są wille z bardzo szczupłym zwykle ogródkiem, na który śliczny front willi jest obrócony, gdy tylna, gładka część przytyka do uliczki i podjazd stanowi. Umiejętne jest sadzenie drzew i krzewów, dające złudzenie głębokich perspektyw na willę, chociaż ta często o pięćdziesiąt kroków od krawędzi skały stoi. Te obrazki, zupełnie scenicznie obliczone jak w teatrach, wpływają korzystnie na efekt harmonijny. Ponieważ drogi publiczne dla powozów ciągną się za miastem głębokimi dolin, cała ozdoba domostw i ogródków jest tak obliczona, aby była z tej strony widoczną. Zwyczaj ogólnie przyjęty w Genui i całej nadmorskiej Liguryi malowania na gładko żywymi farbami ścian domów wiejskich i willi uwydatnia bardzo każdą kolumnadę, oprawę okien i balustrady około dachów, robione zwykle z białego marmuru, co wszystko przy tle ciemno-zielonem olbrzymich cyprysów i pinii a przezieraniu ciekawem złocistych pomarańcz, stanowi bardzo wesołe, jaśniejące krajobrazy, którym niedaleki lazur morza dodaje charakteru wielce poetycznego. Nie dziw, że wystarcza to wszystko Genueńczykom i że spokojne szczęście rodzinne przekładają nad gwar uciech. Praca czynna mieszczaństwa, dorabiającego się fortunę; skromne zachowanie się arystokracji, biorącej udział dyskretny w przedsięwzięciach, gdzie kapitały swe rozumnie rozdziela, nie ryzykując ich masami, wszystko to daje wyjątkowe znaczenie Genui w składzie państwa włoskiego i w najdalszym zakresie zamorskich przedsięwzięć.

Florentczycy, mający zupełnie przeciwny charakter z Genueńczykami, szydą z tych ostatnich i rozpowiadają, że gdy po długim namyśle genueńczyk, siedzący w kawiarni przywoła garsona, daje mu następującą dyspozycję: filiżankę kawy z mlekiem, do tego grzanekę przypiekaną, smarowaną masłem tak, żeby się widziało i nie widziało, que si vede e non si vede. Garson powtarza na głos rozkaz dosłownie kontuarowemu, który, siedząc w krześle, komunikuje go rurką do suteryn, a tam słyhać tubalny głos kuchmistrza i potem dyszkant kuchcików, powtarzających skomplikowane żądanie Genueńczyka, którego niezwykle wydatkowanie wzbudza sensacją wśród zaczytanej kawiarniowej publiki. Słyszałem od Florentczyków kilkakrotnie tę facecję z wybornem udawaniem głosów chłopców usługujących w kawiarni.

Rzeczywiście nie wydatkują genueńczycy na życie, ani nawet na pogrzeby. Nieboszczyka póki nie skrzepnie sadzają do lektyki, któ-

rą nakrywają czarnym aksamitnym dywanem, haftowanym bogato srebrem i złotem w duże arabeski, wzory i lamowania. Dwóch tragarzy bez żadnej asysty, gdzieś go niosą wielce elastycznym krokiem, wołając: „z drogil“ — w ciasnych uliczkach, stanowiących często szereg schodów. Kościoły z niebardzo znacznym wejściem są stawiane z kosztownych marmurów, przeplatanych najczęściej czarny pas z białym. Arkady, dzielące nawy, bywają maurytańskiego kroju, płasko całkiem przesklepiane — jest w tém jakaś zimnota, przy sztywném bogactwie materyału. Genueskie kościoły widziałem najczęściej puste, czasem o zmroku znajdzie się nieboszczyka w wyż opisanéj lektyce postawionego do dalszej dyspozycji kleru. Trafiło się przebywającej z mężem w Genui pani Januarowej Suchodolskiej, żonie naszego malarza historycznego, wracającym od Verneta z Rzymu, że weszła o zmroku w niesporną, jak myślała godzinę, do takiego czarno z białem marmurowego kościoła. Pusto było, rozejrzawszy się, spostrzega, że ksiądz jakiś nakryty szerokiem trójgraniastym kapeluszem zdaje się drzemać w ławce. Zapytuje go więc o godziny nabożeństw, a gdy ten nie odpowiada, pociąga lekko za płaszcz, chcąc zbudzić. Osuwa się ta postać, spada kapelusz i pani Suchodolska widzi z przestraczem trupa starego księdza, którego służba kościelna usadziła w ławce żeby zesztynniał przed przyniesieniem lektyki.

W ogóle Włosi usuwają co prędzej umarłych z domostw, nie lubią wystąpienia pogrzebowych a zmuszeni wspomnieć o zmarłym, zwykle mówią: povero Gino lub Cziczo, to jest Francesko, bo każdy, co schodzi z tak pięknego świata, jest niezmiennie pożałowania godny. Naiwności takich jest wiele.

Do najpiękniejszych przejażdżek konnych w świecie należy okrażenie murów obronnych i fortów Genui, piętrzących się po skałach. Droga niemożliwa dla powozów prowadzi po wysokiej krawędzi, spina się stromo, przeplatana często szeregiem schodów, zajmujących po kilka łokci długości i szerokości, tak, że koń się mieści między jednym a drugim marmurowym stopniem i postępuje po drobnym bruku, zapobiegającym upadkowi. W miejscu „gdzie fort Lanterna” zwany, jest takich kilkaset schodów w prostej linii i właśnie w tém miejscu zwykle się kończy ekskursya, zjeżdżając na dół. Pomimo zapewnień, że koń jest silny w nogach, niebezpieczeństwo przewracania się z nim po tyłu schodach, gdyby się potknął, zwykle alarmuje jeźdźców. Na szczęście są to wyjątkowe konie, pochodzące z Siedmiogrodu, dziwnie pewne w nogach i rozumne a przywykłe do stąpania po skałach. Dostają się do Genui, zaprzężone do krytych bryk pierwotnej struktury, któremi żydzi węgierscy przyjeżdżają corocznie za kupnem cytrat, zwanych rajsłkami jabłkami, których handel genueski głównie dostarcza. Żydzi wracają zwykle z owocami kolejną, po dobrej sprzedaży swych koni, bardzo cenionych w okolicach Genui.

Widok z fortów i różnych załamek fortyfikacyi jest bardzo rozległy, równie na morze, którego brzegi szeroko się rozciągają, jak i do

wnętrza kraju, najeżonego fantastycznemi skałami i przerzniętego wązkiemi dolinami, wijącemi się jak wstęgi zielone wśród czarniawych z czerwonym odbłaskiem—szeregów Apenin. Odbyliśmy tę wycieczkę z oficerem, znającym dzieje oblężenia Genui w r. 1800, mógł więc nam pozycye wojsk pokazywać. Ściśnięta była naówczas Genua od morza przez flotę angielską admirała Keith, a od lądu formalne ataki artylerji i szturmny na odosobnione pozycye francuzkie czyniła armia austriacka marszałków Melasa i Otta. Zakres działań, gdzie Massena broniący Genui miał 25,000 ludzi a przeciwnicy osiemdziesiąt, rozciągał się na kilkomilowém terytoryum, gdyż francuzi czynili silne i dalekie wycieczki, które przy ich ówczesnej furji, powodziły się aż nazbyt świetnie; przyprowadzali bowiem po kilkaset jeńców, z którymi Massena był w największym kłopotcie, bo żywności brakło. Żołnierz francuzki pod koniec oblężenia dostawał tylko po kilkanaście kasztanów na dzień. Dla dużych kroatów i innych żyrných brańców, kazał Massena gotować zupę z trawy skubanęj na opuszczonym bruku, trzymał jeńców na starych okrętach wśród portu i miał w pogotowiu nabite i wycelowane armaty do zatopienia tych pływających więzień w razie buntu. Thiers mówi w opisie oblężenia Genui, że zdrowe a głodne żołdactwo natłoczone na tych okrętach wyło formalnie po trawiasztej zupie, a francuzi nie wiele co sytniejsi odzywali się, czyby nie lepiej pozjadać nowych jeńców póki tłusci.

Wycieczkom francuzów dopomagała konfiguracya dolin i grzbietów, otaczających Genuę, umożliwiająca szparkie ataki na oddzielne pozycye oblegających, za nim pomoc mogła im nadejść. Uporczywa obrona Genui przez Massenę, jakkolwiek zakończona kapitulacyą 4 czerwca 1800 r., zatrzymała generała Melasa i dała czas Napoleonowi do przygotowań, których następstwem było wiekopomne przejście Alp i zwycięstwo pod Marengo, odniesione 14 czerwca tegoż roku.

Wesoło wygląda i najwięcej jest uczęszczany w Genui kościół del Annunziata, na małym placyku, przy Acqua Verde, stawiony w rodzaju kościoła paryzkiego Magdaleny. Zaczęto go przed paruset laty a dano front klasyczny kolumnowy z białego marmuru dopiero po r. 1850. W każdą niedzielę, gdyśmy byli w Genui, szli na mszę rzeško bersagliery z krzyczącą na trąbkach muzyką i z grają biegących po hoku chłopaków. Mieszczanki Genueńskie biorą na święto białe welony, rzucone na wysoki grzebień i różę, kamelię, lub inny kwiat płomienistych kolorów, który przy czarnych włosach i oczach dobrze ubiera. Duże, złote kolczyki, brosze i inne z filigranów złocistych biżuteria dopełnią stroju. Ożywiony jest przystęp kościoła, wspaniałe schody i plac — ulice też miasta roją się od signorin, świętecznie przystrojnych, co w blasku słońca obrazowo wygląda a cerze matowej młodych kobiet nadaje odbłaski złotawe. Tycian i Veroneze uwiecznili wiele takich postaci swym cudownym kolorytem. Nawet niemiec malarz nie opiera się tym wpływom słońca. Twardy zwykle pędzel Dürrera temu uległ, gdy przebywał w Wenecyi, jak świadczy jego freska

w ratuszu Norymbergi. Przedstawia ona wjazd Maksymiliana I-go i kobiety, istne weneccyanki, prowadzące konie wozu tryumfalnego. Wielka sława holendra Vandyka winna też wszystko pobytowi w Genui, gdzie dużo prac swych zostawił, mianowicie portrety w pałacach magnatów genueńskich.

Całe brzegi morskie od Nicei aż do granic Toskanii, mają śliczną, wesołą wystawę. Nowa kolej, prowadząca od Genui do Pizy, przecina mnóstwo dolin czarownych, zawartych w ramionach podnóży Apeninów, które wstępują aż w morze skalistemi przylądkami barwy czarniawej z odblaskami czerwonymi. Kraina ta przymorska, ciągnąca się mil dwadzieścia, zwie się z dawna riviera di Levante, gdy druga połać więcej znana, ciągnąca się ku Nicei, nazywa się riviera di Ponente. Na Levante więcej rzeczek wpada do morza, liczne są więc doliny, wnika-jące w głąb pasma Apeninów, zasiane miasteczkami i willami, wśród których widnieją liczne, dawne pałace i rozległe ogrody genueńskiej arystokracji. Wszystkie te miejscowości są więcej zaciszne aniżeli te, które się widzi na riviera di Ponente, gdyż zatoki i doliny są bardziej wgłębione, mianowicie przepyszna zatoka Specyi, wchodząca przeszło sześć mil w głąb kraju. Przystęp był dotąd trudny, gdyż podróż odbywała się albo powozem po stromych górach i przebywać się musiało niezliczone szeregi skalistych wyniosłości; albo też potrzeba było powierzyć się łodziom żaglowym, obsługującym przybrzeżne miasteczka. Teraz kolej żelazna, łącząca Genuę z Toskanią, przebiega u stóp wybrzeży, przecinając łańcuchy skaliste.

Z dość długich tuneli wydostaje się pociąg na lśniące od słońca doliny, okolone wzgórzami, pokrytymi najefektowniej grupami ładnie stawianych budowli, otoczonych bujną wegetacją. Fale morskie muskają tu płaskie brzegi przystani, gdyż straciły swą imponującą siłę, rozbiwszy się o przylądki, najeżone twardymi skałami. Tam przy cypłach wre i szumi ustawicznie fala potężna, rozbija się o głazy i podnosi w spienionych kaskadach. Około takiego zlewu wód i oporu skał przesuwają się pociągi i znikają w tunelu, aby wynurzyć się z chwilowej ciemności znów wśród innego edenu.

Mnóstwo teraz rodzin angielskich, niemieckich i włoskich, głównie z mroźnej Lombardyi, osiedla się na zimę na riviera di Levante. Kąpiele morskie w Golfie Specyi ściągają latem i na jesieni wiele osób. Hotele i „pensjonaty“ są już dobrze urządzone. Przed pięciu laty przebyłem kilka dni w jedyną taką miejscowości, zwaną Nervi, aby odwiedzić tamże przemieszkających marg. Pallavicini-Trivulci, rodzinę medyolańską, której naczelnik żył jeszcze, ów Giorgio Pallavicini, który z Silvio Pellico i Gonfalonierem był więziony a po latach wielu dożył niepodległości swój ojczyzny. Pallavicini był ostatecznie prodyktatorem w Palermo i Neapolu, urządził te dziedziny, zdobyte przez Garybaldego i oddawał je królowi włoskiemu.

Miejscowość w Nervi jest ładna i zaciszna. Przy wielkim pałacu i ogrodzie genueńczyka margrabiego Gropello, są pawilony, dotyka-

jące uliczki. Jeden taki piętrowy, ładnie stawiony, zajmowali marg. Pallavicini. Dawne remizy po drugiej stronie ogrodu najął jakiś przedsiębiorca i urządził „pensyon“ angielski, z którego płacił Gropellom 30,000 fr. rocznie. Stałem w tym pensyonie. Przebudowane w nieofremną kamienicę dwupiętrową te długie remizy, mieściły table-d’hote na parterze; kilka rodzin angielskich na pierwszym piętrze a na drugim księcia bawarskiego, brata cesarzowej austriackiej, z Matką i siostrą, księżną Braganza. Książę bawarski miał krwotok płucny i nagle go przywiozła rodzina, a że pierwsze piętro było zajęte, kontentowano się drugim, byle się pomieścić tam, gdzie powietrze mogło chorego uratować. Rozległa plantacja pomarańczowych drzew rozciąga się od pensyonu w kierunku spokojnej przystani. Wstęp do parku Gropellów był także w pewnych godzinach dozwolony. Anglicy, przebywający w pensyonie, byli o tyle grzeczni, że pozwolili na oddanie saloniku poobiedniego na wyłączne użycie rodziny bawarskiej, która tamże schodziła na obiad z drugiego piętra. Księżna Genui, matka królowej włoskiej, mieszkała w prywatnym, dość oddalonym domu i jadła z bawarską rodziną. Książę bawarskiego uratował ten pobyt jak mówiono w Nervi. Nasi lekarze nie znają Włoch i zwykle posyłają do miejscowości najgłośniejszych a nie zawsze najważniejszych. W tym przedmiocie obszerniej pisać zamierzam w dalszej charakterystyce Włoch.

Trzęsienie ziemi poruwnowało w r. b. Rivierę di Ponente, niedotykając prawie Genui i rivieri di Levante. Może ono mieć swój dobry wpływ, bo uchroni Włochy od zalewu przez dzisiejszych paryżan. Od kilku lat garstka jokéj klubu paryżkiego i książąt neapolitańskich, „vrais palefreniers“ urządziła w Nicei karnawał, zwany rzymskim, to jest: rzucanie kwiatów, fantastyczne powozy, wszystko to z przesadą i złym smakiem, zwykłym, gdy barbarzyńca naśladuje dzieło delikatnego wdziękku. Za temi kwiatowemi igrzyskami pociągnęła zgraja wzmoczków paryżkich, którym enteprenery urządzali ekstrakugi. „Demonowało“ się to w salach balowych, psując téż znaczenie karnawałowej maski, która we Włoszech jest bardzo przyzwoitą mistyfikacją i tak upowszechnioną, że w Rzymie biega jednocześnie 15,000 masek grupami i bandami w biały dzień, bo to są wyprawy Societ rozmaitych i rodzin, intrygujących w ich domach inne im znajome. „Terremoto“ trzęsło dotąd tylko zbójcką Kalabrią, nastraszyło teraz Niceę i Monaco, zagrozi ono z północy drogę inwanzyi paryżkich debarderów i tak zwanych „louis,“ frymarzczących wdziękami swych towarzyszek. Te męty paryżkie nabiorą wstępu do Nicei po tegorocznym balu popielcowym. Nasi téż turyści lepiej żeby nie wachali „les odeurs de Paris,“ których importowanie już zatruwało wybrzeża Genueńskie, nie na to stworzone, aby były „une succursale“ balów operowych paryżkich, téj giełdy zwiedłych wdzięków.

Ludność całego Apenin przybrzeżnego łańcucha, zwanego dawniej i dziś jeszcze Liguria, co w starożytnym narzeczu znaczyło krainę

górali, jest bardzo pracowita i wytrwała. Wszystkie najbardziej strome pochyłości są osadzone drzewami oliwnymi i rzędami starannie prowadzonego winogrodu. Ponieważ ziemia osuwa się łatwo, podtrzymują ją niezliczone murki tarasowe, ułożone umiejętnie z płaskich głazów. Tarasy są tak wąskie, że zwykle tylko jeden szereg drzew i dwa lub trzy rzędy latorośli winnych na nich się mieszczą. Wiją się takie tarasy wedle załomków, przytulone do groźnych skał i pozyskujące dla uprawy najmniejsze wgłębienia. Trochę cienkiej, wybiegłej trawy zbiera się dla kóz między drzewami oliwnymi a przy winnych latoroślach chodzi się w zimie sałaty, groszek, bób i inne warzywa, podczas odpoczynku winorośli. Latem już nie może być żadnej uprawy dodatkowej, bo winnica wymaga ciągłego przekopywania ziemi, aby grona pozyskiwały z powietrza i rosy wilgoć dostateczną. Tak nieustannie wzruszana ziemia wymyka się szczelinami tarasów, szczególnie w deszczowej porze. Ligury zbierają skrzętnie tę ziemię i noszą ją na ramionach w wysokich koszach po tysiącznych schodach w górę, uszczęśliwieni, jeżeli oprócz utrzymania istniejących tarasów, zdołają w ciągu życia wytworzyć jeszcze jedno wyżej pięterko i wychodować tamże na jałowej skale nowy rząd drzew oliwnych, które torują drogę innym uprawom.

Obliczano z ciekawości kubieczność głazów podtrzymujących tarasy. Ogromne cyfry wynikały z rachunku, przedstawiające nagromadzoną pracę setnych pokoleń niezmordowanych Ligurów, których wytrwałość jest przysłowiowa we Włoszech: „twardy jak Liguro.” Typ mężczyzn jest też odpowiedni, suchy, kościsty z wybitnymi rysami, wzrost zwykle dobry.

Nadmieniam, że w Liguryi cieszą się wielce, jeżeli śnieg pokryje w zimie chwilowo plantacje; przypisują mu bowiem użyźniające własności i zapowiedź dobrego urodzaju.

O istotnym ruchu portu genueńskiego danych dokładnych zebrać trudno, ale można mieć pojęcie o wielkości wywozu z produkcji tych prowincyi, dla których Genua jest jedynym ujściem, to jest z produkcji Piemontu, Lombardyi i prawie całych posiadłości wenecjańskich, obfitujących w zboże i ryż; wina najpokupniejsze czerwone, które się dobrze konserwują; jedwab' najmiejszy i pięknie lśniący; znaczną bardzo chodowlę owiec i najmleczniejsze nie tylko we Włoszech, ale w całej Europie krowy, od których sery zwane parmezanem i gorgonzola w wielkich ilościach są wywożone, tudzież masło do prowincyi południowych i na Malte. O porównawczej mleczności świadczą agronomowie niemieccy Burger i Papst, którzy znali Lombardię. Jest też w Piemontcie wielka uprawa konopi właściwego miejscowego gatunku na liny okrętowe bardzo poszukiwanych. Sprawozdanie z r. 1878 urzędowe włoskie o produkcji rolniczej, przedstawione na wystawie Paryżkiej, podaje na 151,648 cetnarów średnio roczny zbiór włókna konopnego,

w powołanych wyżej prowincjach. Środkowe Włochy, to jest Emilia, produkuje włókno konopne jeszcze silniej, bo 570,347 cetnarów rocznie. Ogólna Włoch produkcyja wynosi 959,177 cetnarów.

Pod uprawą konopi znajduje się we Włoszech rocznie 133,039 hektarów doskonałej ziemi, na którą nie żałują nawozów, uważając tę uprawę za jedną z najkorzystniejszych.

Przez port Genueski Liguria téż wywozi wielką ilość oliwy. Przywóz żelaza, węgla kamiennego, sukna i kortów angielskich, równie jak dywanów, jest ogromny, bo zaspkaja potrzeby najbogatszych okręgów włoskich. Towary kolonialne ze wschodu i cukier trzcinowy z Ameryki, głównie we Włoszech używany, wyładowywane są téż w Genui i rozchodzą się aż pod same mury Wenecyi, której port mało jest teraz uczęszczany. Szwajcaryja, wolna prawie od cel, zaopatruje się téż w towary kolonialne przez Genuę. Do ruchu droższymi artykułami przyczynia się obecność turystów, przybywających z całego świata, liczonych na setki tysięcy, którzy konsumują ogromnie w czasie pobytu w Szwajcaryi i nad jeziorami Lombardyi.

Najcenniejszym produktem Włoch jest jedwab', który prawie wszystek dostarcza część Włoch północna, to jest Lombardia, Wenecyańska i Piemont. Chów jedwabników w innych prowincjach jest mało znaczący. Fabryki Liońskie zakupują największą ilość jedwabiu we Włoszech, gdyż jest mięsisty, bez ostrości w dotknięciu, bardzo równy i mocny. Włoskie fabryki tkają w Medyolanie i Turynie piękne gładkie atłasy i matowe materye z czystego jedwabiu, bardzo trwałe, równie jak fulary. W Genui wyrabiają sławny z piękności aksamit, który noszą największe eleganki. Wyroby wzorzyste umie tylko Liou pięknie wyrabiać. Kupcy nasi mieliby korzyść w kupowaniu we Włoszech materyi gładkich a szczególnie aksamitów genueskich. Pokrycia na futra damskie są szczególniej mocy i utrzymują się świeżo. Można by pominąć niemieckie wyroby i znaleźć równie piękne jak francuzkie a grubsze i z rzetelnego, nie przegrzanego jedwabiu. Atłasy weneckie sprawiedliwą miały u nas sławę, używane jeszcze za Stanisława Augusta a odgrzebywane z najdawniejszych żupanów niepożytych czasem, okazują jak stały był stosunek Polski z Włochami w epoce świetnych strojów polskich.

„L'Italia agraria e forestale“ z r. 1878-go jako obraz produkcyi podaje następujące porównawcze cyfry jedwabiu:

r. 1876	Francya	wyprodukowała	2,396,385 kil.	Włochy	14,537,000
r. 1877	„	„	6,783,000	„	22,455,000

Niżej umieszczone wykazy, zebrane ze źródeł urzędowych włoskich, dadzą miarę zamożności Włoch północnych, obsługiwanych handlowo przez Genuę.

Najdokładniejszy dotąd obraz produkcyi Włoch całych, przedstawia dzieło, ułożone przez komisją ministeryalną, zajmującą się urzędzeniem działu włoskiego na wystawie paryzkiej r. 1878-go, pod tytułem: „Regno d'Italia. L'Italia agraria e forestale illustrate

delle Racolte inviate dalla direzione dell'agricoltura alla esposizione di Parigi.“ Dotyczy ono produkcji rolnój w ogóle i podaje wszędzie cyfry urzędowe, czerpane z aktów ministryum rolnictwa. Co do inwentarzy żywych, produkcji wełny i nabiału, cyfry są wzięte przezemnie z czwartego tomu dzieła urzędowego ministryum rolnictwa, wydanego r. 1879 pod tytułem: „Relazione intorno alle condizioni dell'agricoltura in Italia.“ Cyfry pochodzą ze sprawozdań prefektów, bardzo szczegółowo składanych i służą za podstawę do opodatkowania.

Co do win, rozbiory chemiczne, które przywodzę, mogą posłużyć kupcom naszym, gdyż dają pojęcie pierwiastków składowych, stanowiących głównie o wartości win, w które Francya, trapiąca od filoxery, zaopatruje się teraz bardzo we Włoszech, biorąc ztąd całe pociągi gron wina czarnego w czasie winobrania włoskiego i przez to podnosi wartość gatunków poślednich lub chorych win francuzkich. Biorę cyfry, dotyczące wartości porównawczej win ze sprawozdania urzędowego „Stazione chemico Agraria sperimentale di Roma. Esame chimico comparativo dei vini italiani inviati all'esposizione internazionale di Parigi del 1878,“ obejmującego setki prób win, rozmaitych odmian z nazwiskami miejscowości i wystawców. Wina były badane w stanie naturalnym bez przymieszek i doprowadzone na wystawę staraniem ministryum rolnictwa. Kiedy to będzie rolnictwo nasze miało taką opiekę?

Uprawa pszenicy we Włoszech północnych.

	obsiewa	zbiera	średnio
	h e k t o l i t r ó w		
Piemont	188,438	1,885,235	10
Lombardya	199,036	2,745,720	13,800
Wenecyańskie	226,657	2,537,466	11,200
Liguria	82,257	705,220	8,570
	<hr/> 696,388	<hr/> 7,873,641	

Uprawa kukurydzy we Włoszech północnych.

	obsiewa	zbiera	średnio
	h e k t o l i t r ó w		
Piemont	138,935	2,872,616	20,68
Lombardya	220,713	4,569,298	20,47
Wenecyańskie	258,261	4,470,013	17,31
Liguria	25,511	427,757	16,77
	<hr/> 643,420	<hr/> 12,339,684	

Uprawa ryżu we Włoszech północnych.

	obsiewa	zbiera	średnio
	h e k t o l i t r ó w		
Piemont	73,733	3,278,569	44,46
Lombardia	100,835	4,387,687	43,51
Wenecyańskie	32,460	1,262,435	38,89
	<u>207,028</u>	<u>8,928,691</u>	

Spis urzędowy inwentarzy żywych we Włoszech północnych z r. 1879.

MIEJSCOWOŚĆ	w ogóle bydła rogatego	samych krów dojnych	owiec	kóz
Piemont	515,755	299,761	183,152	83,280
Lombardia	626,058	336,510	138,970	78,833
Wenecyańskie	581,393	280,588	323,802	55,242
Liguria	87,226	63,677	180,965	38,342
ogółem	1,810,432	980,536	826,889	255,597

Spis inwentarzy żywych w całych Włoszech dla uwidocznienia różnic:

MIEJSCOWOŚĆ	bydła rogatego	samych krów dojnych	owiec	kóz
Północne Włochy	1,810,432	980,536	826,889	255,597
Emilia, czyli Parma, Modena i Legacye	558,361	210,898	400,804	22,943
Marchie i Umbria	264,751	95,807	439,905	127,888
Toskania	254,826	87,216	828,789	93,458
pr. Rzymu zwana Lazio urzędownie	33,500	26,000	300,000	14,000
pr. połud. nad Adryatykiem	133,410	68,521	1,221,825	190,801
pr. połud. nad m. Śródziemnym	193,435	80,926	1,143,468	420,175
Sycylia	67,749	28,410	514,552	177,646
Sardynia	172,561	72,064	524,090	221,317
ogółem	3,489,025	1,650,378	6,200,322	1,523,825

Produkcji nabiału w ogóle nie uważam za właściwe obliczać, mimo że wiele komicyów rolniczych bardzo szczegółowo ją poda-

ło, gdyż to wchodzi w zakres specjalnie rolniczych sprawozdań. Mniemam jednak, że właściwem będzie umieszczenie tabelki, która świadczy o znaczeniu handlu serami z zagranicą, i o postępie przerobów mlecznych we Włoszech, mianowicie masła, którego wywóz znakomicie się zwiększył. Serów przywożą Włochy jeszcze więcej aniżeli wywożą; wynika to jednak głównie konsumpcji przez cudzoziemców, przywykłych do swoich serów, które też dla nich sprowadzać trzeba. Włochy nawet bogaci jedzą zwykle sery krajowe.

ROK	S e r y		Masło świeże	Solone	Masło świeże	Solone
	wprowadzono	wywieziono	wprowadzono		wywieziono	
	cetn.	cetn.	cetn	aró w	cetn	aró w
1870	61,351	18,455	4,077	160	8,855	241
1871	56,942	19,632	2,103	180	10,004	35
1872	63,757	19,978	1,352	143	11,475	30
1873	60,108	23,402	3,980	156	9,674	324
1874	69,944	22,243	3,038	252	14,055	1
1875	78,246	19,839	2,036	1,524	12,406	27
1876	71,551	21,572	2,065	407	16,075	7
1877	68,521	21,634	1,220	188	21,490	187
1878	71,486	24,115	1,575	118	22,374	1,329

Włochy północne dostarczają prawie wszystek ser i masło wychodzące za granicę Włoch. Zaopatrują też znakomicie Rzym i Neapol. Ten wywóz odbywa się głównie przez Genuę. Podprefektura z Civitavecchia mówi w swém sprawozdaniu, że u nich liczba krów dojnych jeszcze się zmniejszyła od r. 1870 z powodu, że po zniesieniu granic celnych wewnątrz Włoch, sery i masło przybywają w wielkich ilościach do prowincyi rzymskiej z Lombardyi. Chów bydła się nie zmniejszył, ale po wychowaniu sprzedaje się młode bydło i cielaki do prowincyi sąsiednich. Inne sprawozdanie mówi, że sześciomiesięczne byczki sprzedaje prowincya rzymska w wielkiej liczbie do Toskanii, gdzie wyrastają na woły bardzo piękne i dobre do pracy. Nadmieniam to wszystko jako dowód specjalizowania się rozumnego chowidli bydła we Włoszech.

Wełny owczej otrzymują Włochy ze swych gromad wędrujących po górskich pastwiskach i schodzących na zimę w cieplejsze przymorskie płaszczyny:

wedle obliczeń senatora Alexandra Rossi 10,687,500 kilogramów
według statystyki porównawczej dr. Wittmach 16,500,000 „
„ „ Neumann-Spallart 8,000,000 „

Obliczenie senatora Rossi jest, zdaje się, najbliższe prawdy.

Gdy przyjdzie mi mówić o prowincjach środkowych i południowych Włoch, znajdzie się tam miejsce właściwe do opisu chowidli owiec, tudzież zwyczajów i urzędzeń, które ułatwiają migracyą, wielkich stad i czynią z zajęcia pasterskiego korzystne bardzo przedsięwzięcie. Utrzymuje się przy chowidli owiec liczna ludność góralska,

warta osobnego opisu, wywierająca wpływ znaczny na losy Włoch całych. Jest to jakby naród pierwotny, wśród ludów cywilizowanych, przynoszący im świeży zapas energii przez wybitne osobistości, które wciąż wydaje. Ma też ona jednak swe liczne wady, męczące ustawicznie spokojną pracę mieszkańców dolin.

Przestrzeń pod uprawą wina i produkcja jego we Włoszech północnych.

	ma pod uprawą	zbiór wina	średnio
	h e k t o l i t r ó w		
Piemont	117,302	2,706,193	33,07
Lombardia	140,786	1,895,302	13,46
Wenecyańskie	242,987	2,604,949	10,72
Liguria	44,326	598,340	13,50
	<hr/> 545,401	<hr/> 7,804,784	

W Piemontcie uprawa wina odbywa się jak we Francji. Latorośle są prowadzone nisko przy palikach. Najszynniejsze gatunki są Barolo i Barbera, są to wina czerwone mocne w rodzaju burgundów, cena na miejscu jest od dwóch do czterech franków za butelkę. W Lombardyi jest koło Werony doskonałe wino czerwone słodkie, deserowe, bardzo pachnące, zwane Valpucialla. Koło Asti wyrabiają gatunek szampana — inne wina Lombardyi są wadliwe z powodu, że latorośle są dziko puszczane po drzewach.

Wina czerwone.

Średnia zawartość, wedle rozbioru dokonanego przez stacyą chemiczną rolną rządową w Rzymie r. 1878.

	liczba win analizowanych	gęstość	alkohol	acydy	garbnik	pozostałości suche po od- parowaniu	popiół
Wenecyańskie	27	0,9930	12,21	6,728	1,91765	16,922	1,9517
Lombardia	22	0,9955	12,85	6,749	2,22878	26,118	2,4521
Piemont	70	0,9913	12,66	7,103	2,32393	22,032	1,80715
Liguria	4	—	13,50	6,900	—	34,687	3,1335
Toskania	29	0,99407	11,69	6,199	2,35859	18,858	2,4048
Sycylia	22	1,00054	14,33	6,412	3,11310	39,550	4,6172
Sardynia	4	0,99430	15,17	6,870	2,60975	26,625	4,3850

Z win czerwonych Piemontckich następujące wyróżniają wedle tegoż rozbioru.

	gęstość	alkohol	acydy	garbnik	pozostałości suche po od- parowaniu	popiół
Barolo	0,9912	14,0	7,65	1,2933	19,1	1,548
Barbera	0,9949	13,3	8,83	1,8920	25,2	2,430
Nebiolo	0,9937	15,1	4,39	2,3258	27,7	1,780
Grignolino	0,9925	14,8	5,95	—	24,0	1,100
Gattinava	0,9916	15,5	6,95	2,3022	11,5	1,812

Piemont otrzymał na wystawie paryzkiej r. 1878 za wina czerwone dwa medale złote, mianowicie: p. Tissone z prowincyi Torino za Barolo z r. 1873 i hr. Carlo di Trinita z pr. Cuneo za Nebiolo z r. 1865. Z Toskanii baron Ricasoli otrzymał złoty medal za Chianti z r. 1862; wytrzymało więc lat szesnaście. Przed ulepszeniami, wprowadzonymi przez barona Ricasole w uprawie win toskańskich, psuły się one po roku i nie mogły być przedmiotem handlu zagranicznego.

Wina białe.

Średnia zawartość wina białego, wedle rozbioru dokonanego przez stacyą chemiczną rolną rządową w Rzymie r. 1878-go przedstawia się w tym stosunku:

	liczba win analizowanych	gęstość	alkohol	acydy	garbnik	pozostałość sucha po od- parowaniu	popiół
Wenecyańskie	10	0,99223	12,38	5,987	—	16,4125	1,7960
Lombardzkie	2	0,99050	14,50	5,625	—	16,150	1,69
Piemonckie	1	0,9946	16,50	5,400	—	31,200	2,0800
Ligurskie	1	—	12,00	7,020	—	21,000	2,0120
Toskańskie	3	0,99266	13,50	6,236	—	16,833	2,0133
Sycylijskie	9	0,99822	17,00	5,921	—	34,1625	3,8666
Sardyńskie	5	0,99142	17,84	5	—	21,500	2,644

W tém Marsala:

	gęstość	alkohol	acydy	garbnik	pozostałość sucha po od- parowaniu	popiół
naturalna	0,9934	14,9	5,40	—	24,6	5,580
przygotowana do wy- syłki z r. 1841		20,0	4,22	—	—	4,100
z roku 1815		22,3	6,90	—	51,8	6,700

Sycylia otrzymała za wina mocne w r. 1878 na wystawie paryzkiej 6 medali złotych, 13 srebrnych i 13 brązowych.

Drzewa oliwne oraz ich wydajność

	zbiera oliwy		średnio
	h e k t o l i t r ó w		
Lombardya	4,591	6,318	1,38
Wenecyańskie	3,536	9,321	2,64
Liguria	84,931	343,264	4,04
Toskania	119,278	285,006	2,39
	<hr/> 212,336	<hr/> 643,909	

Oliwę toskańską uważają za najlepszą po niej zajmuje pierwsze miejsce oliwa z Liguryi.

PRZYGODY STACHA.

POWIEŚĆ.

Józefa Ignacego Kraszewskiego *).

Hrabia Henryk Obdorski miał mnogich, ale po większej części dalekich krewnych w Warszawie. Wszyscy oni teraz mogli mu być potrzebni, gdyby do starania się o pannę przyszło. Nie można ich było zaniedbywać.

Na obiedzie proszonym u hr. Saturnina, Obdorski, znalazł się w bardzo szczupłym kółku, a z panny nic wyrozumieć nie mógł. Przyjmowała go bardzo grzecznie, lecz z nadzwyczajnym chłodem, z obrachowaną obojętnością. Parę razy miał zrzęczość rozmawiać z nią sam na sam, próbował dać zwrot taki rozmowie, aby mogła być wstępem do sentymentalnych preludjów, — ale mu się to zupełnie nie powiodło.

Dumnie, chłodno, niezmięszana, nieporuszona panna Marcelina natychmiast dwuznaczne wyrazy sprowadzała na takie światło, iż musiały przybrać znaczenie obojętne, aby nie skompromitować hrabiego.

Wprawdzie nie zajęła jawnie nieprzyjaznego stanowiska i nie dała odprawy początkującemu kochankowi, ale co najmniej kazała mu się domyślać, iż go dobrze poznać pragnie, nim dopuści poufalsze zbliżenie się do siebie.

Obdorski poddany został nieprzyjemnemu choć grzecznemu egzaminowi. Duma jego była nim dotknięta. Zdawało mu się z tego, co major mówił, za co ręczył, że będzie tu wielce pożądanym, że konkury pójdą łatwo, gładko i prędko. Tymczasem, choć hrabia ojciec był w istocie uprzejmym i niemal nadskakującym, panna się drożyła.

*) Ciąg dalszy — patrz zeszyt za m. luty r. b.

Hr. Henryk zaś właśnie—i z powodu zawikłanych coraz bardziej interesów, i niebędąc już tak młodym, aby wiele na przyszłość rachował — potrzebował *fair, e une fin*. Rodzina mu to powtarzała, i on sam miał to przekonanie,

Ożenienie z hr. Marceliną było ze wszech miar świetnym... Myśli tej chwycił się chciwie—a spotkawszy się z przeszkodami u progu, zżymał się i gniewał,

O Korczakach i sprawie tej, w której Obdorscy bardzo brzydką grali rolę, całkiem zapomniał. — Ten upiór, nagle stający mu na drodze, wywołał gniew okrutny; — ale musiał go stłumić w sobie.

Na Drohostaja wiele rachować nie mogąc, bo umysłową jego nieudolność znał dobrze, Obdorski musiał się obejrzyć za innymi pomocnikami.

Miał ich tu w wyższych sferach znaleźć wielu—bo miał wielkie w arystokratycznym świecie zachowanie, nikomu jednak zawczasem zwierzać się nie chciał, oprócz jednej cioci Sewery von Stolzenfels.

Ciocia Sewera mieszkała od lat wielu w Warszawie i była starą panną. Nazwisko, które wśród szlachty inflanckiej niegdyś było głośne i miało kolligacye świetne w całym kraju — dozwalało pannie Sewerze na stopie równości stawać obok najpierwszych imion i rodzin.

Dbała też niezmiernie baronówna o utrzymanie się na stopie pańskiej, chociaż bardzo szczupłe fundusze utrudniały stosunki. Nieśłychane skąpstwo i wielka umiejętność zakrywania tego, czego nie chciała dać widzieć, a popisywanie się z tém co ją mogło podnieść w oczach ludzi — dozwalały pannie Sewerze w najfałszywszej pozycji pozostawać lata długie nieskompromitowaną.

Życie jej było pasmem jedném kłamstw, udawania, komedyi—i choć pewnie osób wiele domyślało się tej gry — nikt jej w niej nie przeszkadzał.

Poczawszy od prania i odświeżania rękawiczek, aż do przerabiania starych sukien na modne — od zachowywania surowych postów dla oszczędności — i wciskania się do cudzych ekwipażów, — każdego dnia, każdej godziny niemal baronówna musiała pracować na to, aby udawać zamożną, elegantkę—trochę ekscentryczną, ale zupełnie niezależną istotę. Tymczasem w najwyższych kołach musiano jej dopomagać ofiarami, pożyczkami,—i zamykać oczy na to, gdy loterye na cel dobroczynny wymyślała.

Któżby śmiał posądzić baronównę o niedostatek, widząc na niej piękne starożytne klejnoty, których drogie kamienie dawno szkłam zastąpione zostały.

Pomimo tego fałszywego i drażliwego stanowiska, ciocia Sewera, rudawa, zręczna, domyślna, dowcipna, śmiała aż do zuchwalstwa—w świecie wielkim grała pewną rolę, miała znaczenie i mogła wiele. Posługiwano się nią, a język jej ostry kazał się obawiać.

W salonie od razu wpadała w oczy. Niewielkiego wzrostu, średniej tuszy,—wiecznie w ruchu cała, albo przynajmniej oczyma i rękami

mi—ubierała się trochę dziwacznie, pstro, czasem jaskrawo, niebardzo smacznie, lecz z wielką oryginalnością. Twarzyczka jej blada, wyschła, żółta, pomimo wieku nie była brzydką, a wyraz dowcipny nadawał jej fizioznomią odrębną. Mówiła żywo, rzucała słówkami zręcznie, mięszała się do rozmów śmiało—i wszystkich praw, jakie jej dawało nazwisko, wiek, położenie używała i nadużywała chętnie. Milczącą, zadumaną, beczynną nikt jej pono nie widział.

Ciocia Sewera, chociaż kanoniczką nie była — mieszkała u Kanoniczek. — Jak się tu dostać i utrzymać potrafiła, nie mogąc płacić, chyba bardzo mało—było jej tajemnicą. Miała tu wcale ładnych kilka pokoików i meble, noszące na sobie cechę starożytną. Mnóstwo portretów, miniatur, pamiątek, rozwieszonych w saloniku, przypominało wielką prozapią Stolzenfelsów i ich mnogie spokrewnienia.

Kolligacye te sięgały w istocie bardzo szeroko, daleko, wysoko, a nie było najdalszego kuzyna i kuzynki, z którychby baronówna nie umiała korzyści wyciągnąć. Pisywała do wszystkich i postugiwała się nimi, nie dawała im zapomnieć o sobie.

Dla Obdorskiego, którego bardzo lubiła ciocia Sewera, była ona tu jakby zestaną umyślnie i najlepszą w świecie protektorką.

Tego samego dnia, gdy był na obiedzie u hr. Saturnina, hr. Henryk poszedł nad wieczór rzucić bilet u Kanoniczek, chociaż był pewnym, że jej nie zastanie, bo wieczory rzadko u siebie spędzała. Tym czasem ciocia chora była na fluksyą, a zobaczywszy bilet Henryczka, wysłała służącą za nim, aby go przywołała.

W progu z obwiązaną materacykiem twarzą, przyjęła go w negliżu baronówna, poruszona i uradowana, bo ten niby siostrzeniec od dziecka jej był faworytem. Miała słabość do niego. Znajdowała go nieporównanie dystyngowanym.

— Henryś! Co za siurpryza! Z kądże ty tu się wziąłeś! — zawołała, podając mu obie rączki pulchne, małe, ale nie zgrabne i krótkie, z paluszkami jak klocki.

— Przypadek... mnie tu przyprowadził, odparł oglądając się Obdorski...

— Na długo?

— Nie wiem!

— Siadajże, mów! Jeśli ci mogę być w czém użyteczną...

Zbliżyła się (mrok już był), przypatrując Henrykowi.

— Wyglądasz dobrze—ale...

— Nie odmłodziłem!—rozśmiał się hrabia.

— No—i nie zestarzałeś—przerwała baronówna.

Hrabia wziął trochę włosów na skroni w palce i szepnął:

— Przerzucają się już srebrne!

— Al co to znaczy!—rozśmiała się Sewera.

Obdorski był z cicią zawsze w takim stosunku, że ani ona dla niego, ani on dla niej nie miał tajemnic. Nie potrzebował więc przygotowań żadnych, aby jej powiedzieć prawdę całą otwarcie.

— Drohostaj podał mi myśl zbliżenia się do hr. Saturnina,— rzekł— a, choć otwarcie mi się nie przyznaje, sądzę, że nie stało się to bez wiadomości i woli hrabiego. Przybyłem na oględziny hr. Marcelliny...

Baronówna aż podskoczyła na siedzeniu.

— Byłeś już u nich?

— Dwa razy.

— Dwa razy!— wykrzyknęła panna, bijąc w ręce, i dopiero teraz przychodzisz do mnie! Niewdzięczny! Ale cóż ty dobrego zrobisz bezemnie, jak można było...

— Ciociu, nie mogłem, dopiero dziś chwilkę mam wolną.

— Mówże, jak cię przyjęto?— niecierpliwie zaczęła baronówna. Skrzywił się hrabia.

— Hrabianka jest jak lód— rzekł— ojciec uprzejmy...

Zadumała się stara panna.

— Wszystko to się nie liczy— rzekła— potrzeba, jeżeli masz się starać na seryo, lepij się rozpatrzyć, rozpytać, uczynić jakieś przygotowanie. Wy mężczyźni sami rady sobie dać nie możecie. Na to potrzeba kobiety i to tak ruchawej, tak znającej terrain, po którym chodzimy, jak ja... Bezemnie, Henrysiu— nic.

Podniosła śmiejące się oczki, otoczone zmarszczkami.

— Dla tego téż tu przyszedłem...

— Marcelina — zaczęła niezmiernie prędko sypiąc słowami baronówna — jest partyą, dla ciebie doskonałą. Bogata— ojciec łagodny,— majątek procesem, który nieochybnie wygrają, pomnoży się jeszcze, piękna, majestatyczna, rozumna, z taktem. Nie wiem, czegoby więcj pragnąć i życzyć ci można...

— Ale — dodała po małym przestanku Sewera — jeżeli przez ojca ją chcesz zdobyć — to się omylisz. Ani ojcu, ani nikomu, oprócz własnej fantazy powodować się nie daje...

— Zimna jak lód!

Baronówna się rozśmiała.

— Mylisz się— odparła, ale chłodem się odziewa, właśnie pewna jestem, że bez romansu, zakochania, miłości, za mąż nie pójdzie i dla tego romansu gotowa nawet mezaliansu się dopuścić!

— Potrzeba się zakochać.

Siostrzeniec trochę chciał się posprzeczać z baronówną, ale mówić mu nie dała, stojąc przy swoim. Była pewną tego, co mówiła...

— Gdybyś był się mnie zawczasu radził, rzekła.— Znajomość pierwszą byłabym w zupełnie innych warunkach przygotowała. Szkoda! Masz już grzech pierworodny — bo panna wie, że ją z tobą swatają i właśnie dla tego wstręt powziąć gotowa.

Aby go zwyciężyć musisz do najostateczniejszych uciec się środków.

Westchnął pan Henryk.

— Gotówem, rzekł. Interesa moje wymagają nieodzownie oże

nienia bogatego, nic lepszego nastreczyć się nie może. Chociażby z trudnością to przyjść miało...

Panna Sewera znowu głęboko się zamyśliła.

— Najgorszem jest to, dodał w końcu hr. Henryk, że w domu ich znalazłem w progu—nieprzyjaciela!

Zakrzyknęła baronówna — lecz gdy siostrzeniec szepnął z cicha nazwisko Korczaka, zmarszczyła się i zasmuciła. Znała tę smutną historią i—choć nie dopuszczała winy w Obdorskich—nie miłą wiele była dla niej...

— Cóż tam ten Korczak mógł robić!—spytała. W towarzystwach nie bywa nigdzie, nie należy do nas... O ile wiem zubożeli zupełnie... Z kąd że się tam znalazł?

— Drohostaj tłumaczy to tём, że służy w biurze, w którym proces hrabiego jest właśnie na stole—rzekł Henryk...

— Niezważałbym wcale na niego i mógłbym pominąć — gdyby panna Marcelina, wcale nie obowiązana do zajmowania się kancelistą, nie okazywała mu szczególnych względów.

Baronówna zerwała się z siedzenia.

— Jakże wygląda?—zapytała niespokojnie.

Obdorskiemu trudno było odpowiedzieć na to pytanie. Zamyślił się nad definicyą i skrzywił.

— Wygląda jak przystojny kancelista...—rzekł—jak pierwszy lepszy młody chłopak z ulicy.—Świeży, rumiany, twarz nic nie mówiąca...

— Maniery?—spytała panna...

— Nieśmiały...

Panna wzgardliwie ramionami rzuciła.

— Nie wiem, czy tego rodzaju chłopak może się podobać Marcelinie, która jest ze wszech miar dystygowana—rzekła—ale takie panny, dochodzące lat trzydziestu—czasem miłości szukają nawet tam, gdzie zaglądaćby nie powinny...

— Zresztą — dodała, — zdaje mi się, że obawa twoja z powodu Korczaka, jest po prostu przywidzeniem. Nie zdaję mi się, żeby mógł być niebezpiecznym.

A teraz, mój Henryku, musimy plan kampanii obmyśleć. Jestem na twoje usługi...

— A ja pod rozkazy cioci się poddaję—pokornie dodał hrabia...

Zapomniawszy o fluksyi tak dalece, że nawet materacyk odjęła, baronówna zadumana poczęła się przechadzać po saloniku. Henryk czekał, aby się odezwała...

— Tak—po namyśle, zatrzymując się przed nim — poczęła baronówna — tak potrzeba ci tu w Warszawie, w naszych kołach urządzić przyjęcie świetne... Oddawaj wizyty, ja się postaram o obiady... Puścimy zaraz wieści o nadzwyczajnych sukcesach... Trzeba, aby cię chwymano... Musimy obudzić zazdrość... Gotowam nawet szepnąć, że się o ciebie starają u X. i u Z. że masz na widoku ożenienie... Nie narzucaj się zbytnio Saturninowi, ale go nie negliżuj. Czasu po-

trzeba będzie dużo, bo pierwszy krok postawiłeś niezręcznie. Ale wszystko się to naprawi. Z panną bądź zimno, dopiero później nagle trzeba się będzie zakochać. W jaki sposób—kiedy, pod jakim wrażeniem to twojej domyślności zostawiam...

Naradzim się...

Baronówna była w swoim żywiole, hrabia śmiejąc się ręce jej całował.

Obojgu twarze się rozjaśniły i Obdorski myślał już, spełniwszy obowiązek, pójść się gdzieś zabawić, bo mężkie towarzystwo i karty lubił bardzo, gdy po małym wahanu przysiadł znowu i pochylił się ku cioci.

— Ciocia zna tę sprawę z Korczakami?—szepnął...

Z odrazą potwierdziła baronówna, poruszeniem głowy, jakby wspomnienia o tém co rychlej pozbyć się chciała.

— List ojca i mój są w rękach tego jegomości!—dodał znacząco...

Panna Sewera ręce zacisnęła, nic nie mówiąc.

— Jeżeli w istocie ma jakie projekta, a ja mu stanę na przeszkodzie—rzekł hrabia—może ten dokument okazać...

— Ale bo też ojciec i ty—mój Henrysiu, przerwała ciotka, nie wchodzę w to, jakęście postąpili—nie sądzę, ale zakończyliście sprawę w sposób najdziecinniejszy, najdziwniejszy, niesłychany—dając w ręce nieprzyjacielowi dokument, świadczący przeciwko sobie...

— Niemogliśmy postąpić inaczej, odparł, wzdychając ciężko Obdorski. Sprawa byłaby poszła przed sądy i niewątpliwie bylibyśmy uznani winnymi. Korczak zgodził się ją skończyć tylko pod tym warunkiem, dając słowo, iż dokumentu nie użyje chyba w obronie czi własnej.

— O wszystkiém tém wołałabym nie mówić, zapomnieć!—zawołała baronówna.—Stało się.—Zdaje mi się, że od Korczaka nie macie się czego obawiać, ale rzecz jest w najwyższym stopniu nieprzyjemna...

Westchnęła.—A teraz, rzekła — mów, byłeś u hr. A.? — Byłeś u księcia?—Byłeś na Krakowskim?

Cały szereg imion i dowodów arystokratycznych wyliczyła żywo panna Sewera. Hrabia słuchał smutny.

— Nie byłem nigdzie jeszcze, rzekł, bo się wprzód chciałem naradzić z ciocią, gdzie i kiedy mam być.

— Naprzód więc u naszej królowej—poczęła baronówna.—Tam postaram się, aby cię na obiad proszono, potem u hr. ... potem u X...

Postaram się, aby przybycie twoje i przyjęcie miało rozgłos i postawiło cię jak potrzeba w opinii hrab. Saturnina... Co rano powinienś po dziesiątej zdawać mi raport z czynności — i przychodzić na radę. Mogę mieć coś do powiedzenia, do wskazania.

Hrabia wstał, schylając się do pocałowania ręki...

— Nie zrobię kroku bez cioci—rzekł.

— W takim razie ja ręczę za to, że dokażemy... co tylko jest w ludzkiej mocy...

— Korczak nie straszny—mój drogi, ale popełniony błąd ma to do siebie, że się mści wiecznie groźbą, będąc zawieszony nad głową. Lepiej nic nie robić, jak krok fałszywy...

Pan Salezy młodszym się następnego ranka wydawał, tak był rad, że mu się nastreżczała zrećność stawania w obronie niewinności, zajęcia się losem sympatycznego człowieka.

Szedł ulicą garbus, podśpiewując, staranniej ubrany niż zwykle, pokręcając wąsika, który mu nadawał minę wojskową.

Wprawdzie garb protestował: jako żywo! — ale wąs i wstążeczka przy surducie od krzyża, otrzymanego za zasiadanie w statystycznym komitecie, mogły na chwilę złudzić i dozwolić go brać za ex-wojskowego. Nadawał sobie ruchy i postawę militarną, o ile kalcetwo dozwalało. Wąsik wypomadowany jeżył mu się do góry, głowę prostował, a laską tak w powietrzu robił jakby mu karabin przypominała.

Cały teraz był Korczakiem zajęty.

Przed wielu latami, zaraz po ukończeniu zatargu z Obdorskimi, ciekawy pan Salezy pod pozorem jakimś udał się w Lubelskie i starał zbliżyć do starego Korczaka. Powiodło mu się poznać go, widział naówczas i żonę, tę prostą kobiecinę, o której tyle mówiono—przypominał sobie, że się naówczas dosyć mu podobała i że usprawiedliwił ożenienie z nią. Od tej pory o stariej Korczakowej nie wiedział wcale nawet czy żyła, a tak mało ją pamiętał, że poznać byłby nie mógł. Przypuszczał nie słysząc o niej, że umrzeć musiała.

O tém wszystkiem, co się tyczyło pana Stanisława, chciał się bliżej dowiedzieć, aby w danym razie być mu pomocą skuteczną. Rzeczy jednak tak stały... niewyraźnie, mglisto się zarysowując, że nie mógł jeszcze wiedzieć, czy interwencya jego będzie potrzebną...

Domyślał się śłatwo, że hrabia przybywał w myśli starania się o pannę Marcelinę — nie mógł przypuścić, ażeby skromny biuralista podniósł oczy tak wysoko i śmiał z nim rywalizować.

Dnia tego z rana postanowił odwiedzić pannę Marcelinę i jeżeli się udało, coś z niej wyrozumieć i wyciągnąć. Nie potrzebował ażeby się przed nim zdradziła, chlubił się taką znajomością ludzi, iż spodziewał się z jednego niczego odgadnąć jój sentymenta.

Hrabianka ze swą niemą twarzyczką, czasem razem z ojcem, niekiedy sama przyjmowała znajomych. P. Salezy poszedł.

Oprócz hrabiego Obdorskiego, który po obiedzie składał *visite de digestion*, nie znalazł nikogo...

Panna siedziała sztywna, kartki książki, trzymanej w ręku, przerzucając nerwowo... hr. Henryk siedział opodal z zanadto jasnym obliczem, aby w duszy nie trzeba się było domyślać uczuć wcale przeciwnych. Do zbytku się wydał wesołym i młodym.

Rozmowa, gdy Salezy wszedł, nie zdawała się ożywioną do zbytku. Hrabiego Saturnina nie było.

Gość opowiadał coś o obiedzie u „krołowój“ (tak zwano jedną z pań, która towarzystwu ton dawała) — i nazywał ją dosyć niezręcznie—kuzynką.

Panna Marcelina słuchała nieporuszona tém wcale.

P. Salezy dorzucił do chłodnej téj zamiany słów parę tych dowcipów, które gospodynię widocznie z jéj apatyi wyprowadziły. Obdorski także zdawał się je odczuwać i oceniać, chcąc się p. Salezemu przypodobać... W tém „przypadkiem“—ukazała się we drzwiach baronówna Sewera.

Łatwo się było domyśleć, iż przypadek był umówionym... Wpadła con brio, śmiejąc się, biegnąc, potrącając sprzęty, poczynając paplać od przogu i okazując serdeczność wielką pannie Marcelinie.

— Kochana, droga hrabianko, tak byłam stęskuiona za tobą,— wołała,—ale moja chroniczna fluksya długo mi wyjść nie dozwalała z domu. Skazaną byłam na czytanie, które mnie roznerwowało i powiększyło chorobę. Co oni dziś piszą...

Wczoraj dopiero królowa mnie wyciągnęła po raz pierwszy, dając obiad dla kuzynka (wskazała Obdorskiego). Nie spodziewałam się go tu zastać...

Przysiadła na kanapie obok panny Marceliny i śmiejąc się, coś bardzo poufałego szeptała jéj do ucha. Nieszczęśliwa ofiara przyjmowała czułości cierpliwie, grzecznie lecz lodowato.

Zwróciła się baronówna do Obdorskiego.

— Nie pojmuję tego człowieka, który swobodnym będąc, nie mając nic do czynienia na wsi, tak rzadko do nas przyjeżdża... Nasze towarzystwo całe tysiiąc razy o niewdzięcznika pyta.

— A! jestem nieskończenie wdzięczny, — rozśmiał się hrabia— lecz na wsi po jakimś czasie napada pewne lenistwo...

— To prawda! dobrze je zowiesz—prawiła panna Sewera, —ale człowiek, jak ty, ma pewne obowiązki względem towarzystwa... i—powinieneś o tém pamiętać, takie gnuśne zadomowienie niezmiernie prędko starym czyni człowieka.

Wszelkimi sposobami starała się baronówna rozmowę między hr. Marceliną a kuzynkiem swym zawiązać, ułatwić, ożywić—wszystko to było napróżno. Hrabianka się uśmiechała, odpowiadała półsłówkami, nie okazywała najmniejszego zajęcia ani gośćmi ani treścią ich rozpraw, do których p. Salezy mieszał się tylko dla tego, by pokryć—intencją badania co się tu działo.

Wiedział już doskonale, że panna, cudem chyba mogła się zająć Obdorskim, taką mu okazywała nie obojętność, ale wstręt niemal.

Czy panna Sewera równie się poznała na tém, niewiadomo, ale dotrzymała placu długo, była wesołą i w końcu, zabierając kuzy-
na pod jakimś pozorem, pożegnała hrabiankę.

Salezcy pozostał umyślnie.

Po wyjściu gości, z twarzy zaszępionej panny Marceliny jakby obłok zaciemniający ją—zsunął się.

— Obdorskiego pani dawniej nie znała?—zapytał garbus?

— Tak jakbym go nie widziała nigdy, bo wcale sobie przypominieć nie mogę, czyśmy się gdzie w życiu spotkali, — odparła hrabianka.

— Nie śmiem spytać, jak się podobał —rzekł Salezy. — W naszym towarzystwie, u królowej, i po innych domach ma dosyć powodzenia... Znajdują go dystyngowanym?

Panna słuchała go zimno.

— Przyzwoitym jest w salonie,—rzekła — więcej nic powiedzieć nie umiem.

— Pani trudną jest widzę—odparł Salezy.

— Ja? bynajmniej, — powoli poczęła Marcelina — ale znajduję, że ten typ nasz salonowy tak jednostajny jest, tak ma formę umówioną, zawsze też samą, że w końcu nudzi i męczy. Pragnie się czegoś, bodaj mniej przyzwoitego, a odmiennego.

— Wymagającą pani jesteś,—przerwał Salezy,—ażeby się urobić na typ ten przyjęty, potrzeba tylko trochę giętkości i zręczności, oryginalnym zaś być każdy potrafi.

— Ja wolę już ekscentrycznych trochę...—dodała hrabianka.

— Tak, w miarę, bo i ekscentryczność zbytnia w salonie wygodną nie jest...

— Ale znamionuje życie!—westchnęła hrabianka, — a nasze towarzystwo ma go tak mało...

— Przecież baronównie Sewerze nie może pani zarzucić, aby oryginalną nie była,—spytał Salezy.

— Tak, lecz spotykałam podobne stare panny w angielskich powieściach—niestety! — uśmiechnęła się hrabianka.

Na tak rozpoczętą ledwie rozmowę, wpadł ze swoich pokojów, z widocznym pośpiechem, hr. Saturnin, który spodziewał się pewnie tu jeszcze znaleźć Obdorskiego, i rzuciwszy okiem niespokojnym po salonie, chmurny witać się zaczął z panem Salezym.

— Hrabia Henryk był tu!—spytał.

— Zabrała go tylko co baronówna,—rzekł Salezy.

Usiedli.

— Żałuję, że go nie zastałem, — dodał hrabia. —Przyznam się, że podobał mi się bardzo, jest mi sympatyczny.

Spojrzał na córkę, która oczy spuściwszy milczała, a Salezy rzekł.

— Właśnie tylko cośmy mówili o nim! Saturnin się zwrócił chciwie ku niemu.

— Nieprawdaz? korzystnie się wyróżnia od naszej teraźniejszej młodzieży,—zapytał.

— Ale—bo, naprawdę nie można go już do niej zaliczyć—rzekł

z przekąsem garbus—jest w wieku drugiej młodości chyba... pierwsza dawno przeszła.

— Przepraszam cię, — ujął się żywo gospodarz — na mężczyznę jest młody... a tak zakonserwowany...

— Kochany hrabio, — śmiał się Salezy, — konserwy nigdy świeżym owocom nie dorównują. Ja konserw nie tykam.

— Złośliwy jesteś.

— Pomawiają mnie o to z powodu mojego garbu, — rzekł Salezy, — ale Bogu ducha winienem.

Panna Marcelina wesoło się śmiać zaczęła.

— Cóżecie o Obdorskim mówili? — wtrącił hrabia.

— Chwaliliśmy go zgodnie z panną Marceliną, iż jest doskonałym typem „przeciętnego“ (wyras nowy) salonowego człowieka, — rzekł Salezy. — Panna Marcelina wprawdzie woli coś oryginalniejszego.

Hrabianka się nieznacznie zarumieniła.

— Ale proszę pana Salezego, nie obmawiać mnie przed papą — rzekła. — Znaduję hrabiego bardzo przyzwoitym... bardzo dystyngowanym, więc odemnie wymagać nie można, po dwóch czy trzech wizytach.

— Mnie, nie taję tego, to się podobał swym taktem i manierami, — począł gospodarz. — O wszystkiém mówić może, wykształcenia ma dosyć, powierzchowność piękna.

Wszyscy milczeli, ale garbus się uśmiechał i wąsa męczył, patrząc na hrabiego z kolei i na pannę Marcelinę.

Po chwili milczenia Salezy dorzucił:

— Uczyniłem zdawna to postrzeżenie, iż mężczyźni, którzy się nam podobają, zwykle nie mają szczęścia u kobiet, ale ten Henryk jest wyjątkiem, bo słyzałem o wielkich jego sukcesach...

Hr. Saturnin zmarszczył się.

— Dotąd prowadził życie bardzo... na ustroniu... — wtrącił.

— Nie zawsze, — sprzeciwił się garbus. — On i jego ojciec wprawdzie przez czas jakiś stronili od ludzi i zamknęli się byli na wsi...

— Z jakiego powodu? — spytał hrabia mospokojnie, a p. Marcelina bacznie słucała zaczęła.

— Drażliwa to jakaś była sprawa, — rzekł garbus, — której ja nie dobrze ją znając, poruszać nie mogę... Mieli proces z Korczakiem, który się skończył układem, ale dla Obdorskich był nieprzyjemnym i zraził ich od ludzi.

P. Salezy ostrożnie tak rzuciwszy dwuznaczne słowo, nieprze-partém milczeniem się obwarował od pytań dalszych i zmienił przedmiot rozmowy, dając poznać, iż więcej o tém mówić nie może.

Hrabia ani Marcelina pytać go już nie śmieli, lecz gdy wstał, aby się pożegnać, Saturnin ujął go pod rękę i zaprowadził z sobą do drugiego pokoju.

— Proszę cię, ci Obdorscy, — rzekł, — zaciekaWiłeś mnie... Co to było między nimi a... Korczakami? Jakiż to Korczak?

— Korczak? ojciec tego biuralisty, którego tu u ciebie widziałem—odparł Salezy.—Sprawy dobrze nie znam... nie wiem...

— Ba! ty nie znasz! ty nie wiesz! mów to komu chcesz, ale nie mnie—zawołał hrabia.—Powiedzieć mi nie chcesz...

— Nie mogę—rzekł zimno Salezy.

Saturnin nie nalegał.

Radbym jednak dowiedzieć się bliżej o wszystkiém, co się Obdorskich tyczy,—dodał po chwili—bo—mam podejrzenie, iż Henryk myśli o Marcelinie. Rozumiesz!

— Domyślałem się tego, zimno odezwał się Salezy, i—sądzę, że Marcelina wcale nie będzie temu rada.

— Dla czego?

— Kobiety są nieodgadnione — rzekł garbus. — Przyszedłem właśnie, gdy Henryk był tu z wizytą, przyjmowała go nadzwyczaj zimno...

— Potrzeba znać Marcelinę—oparł się hrabia,—ona jest z temperamentu i natury chłodną i rozważną—to nic nie dowodzi...

— A tybyś go przyjął za zięcia? — zapytał nagle p. Salezy.

Zmieśzał się, nie chcąc zdradzić hrabia—poruszył ramionami.

— Ja córce nikogo narzucać nie myślę, — rzekł — ale, wolałbym Obdorskiego niż wielu innych... Za męż ją wydać potrzeba, kawalerowie po myśli są nie łatwi do znalezienia...

Poruszył ramionami.

— Zabiłeś mi klina tą sprawą tajemniczą z Korczakami — odezwał się po namyśle—ale—kiedy o nich mówimy, toś przecie musiał znać i tego Korczaka, ojca. Zubożeli zupełnie.

— Niestety!—westchnął Salezy, — a byli to ludzie bardzo, bardzo zacni. Powszechny szacunek ich otaczał...

— Syn służy tu w biurze—wtrącił hrabia — zdaje się, że ma przed sobą karierę urzędniczą otwartą, ale to zawsze dla majątnego niegdyś ziemianina tylko pis aller.

Garbus nic nie odpowiedział.

Urwała się rozmowa i pan Salezy, pożegnawszy gospodarza, wyszedł.. Czy miał sobie do wyrzucenia, że napomknął o sprawie Obdorskich z Korczakami, — lub uczynił to z rozmysłem? — nie wiemy, ale wyszedł z domu hrabiego, wyrabiając laską jakby karabinem, co zawsze było oznaką zadowolenia z siebie.

Pocziwy garbus, gdy chciał się gdzie wcisnąć — w interesie swoich pamiętników — umiał bardzo zręcznie wynaleźć pozór jakiś, który ciekawość jego mógł wytkłomaczyć i inne dać znaczenie natręctwu.

Na teraz potrzeba mu było bliżej poznać pana Stanisława, przekonać się, czy matka jego zmarła, czy żyła gdzie na ustroni, zbadać, czy w istocie Korczak miał jakie zamiary i t. p.

P. Stanisław mało u kogo bywał, a z p. Salezym znał się tylko spotykając go po domach, do których uczęszczał — trzeba mu było zajrzeć do niego. Oddać mu wizytę, starszemu — nie wypadało, byłoby to uderzającym. Zmyślił więc na wszelki wypadek niebywały interes swojej siostry, który miał być sądzonym w biurze Korczaka, — a wybrał umyślnie taką chwilę, w której wiedział, że go nie zastanie.

Rachował na sługi, od których umiał zręcznie zawsze wydobyć, co mu było potrzeba. Następnego dnia rano zadzwoniono do mieszkania pana Stanisława, gdy on w biurze się znajdował.

Właśnie w tej chwili stara Handzia z matką Korczakową, w ciemnym przedpokoju, po powrocie z targu stały na naradzie. Jejmość była, jak zwykle w białym czepeczku, prostej sukni i chustce stariej, wytartej. Handzia poszła zobaczyć kto dzwonił, ale zaledwie drzwi uchyliła, gdy Salezy prawie gwałtem się do środka wcisnął, i począł pytać o pana Stanisława.

Matka której nikt nie znał, i którą z powierzchowności za służącą też wziąć było można, nie widziała potrzeby chowania się przed przybyłym. Salezego raz i to bardzo dawno widziała, nie przypominała go sobie wcale. Stała więc czekając czego zechce, gdy garbus, zdjawszy kapelusz, otarłszy czoło, począł pytać o p. Stanisława.

— Nie ma go w domu, jest w biurze! odparła staruszka.

Salezy, mając pamięć doskonałą, choć po ciemku zestarzałej Korczakowej nie mógł poznać, przypominał ją sobie po głosie. Zbliżył się nieco, i rzuciwszy okiem na nią, domyślił się kto była.

— Mam pilny interes, — rzekł — o którymbym go mógł zastać? — zapytał.

— Jeżeli pilno to najlepiej w biurze szukać — rzekła matka.

Handzia, widząc się wyręczoną w rozmowie, weszła do kuchni, zostawując jejmość z gościem.

— Nie, w biurze ja się z nim rozmówić nie będę mógł — odparł Salezy — chciałbym go znaleźć w domu.

To mówiąc co raz przybliżał się do staruszki, która bardzo tą napastliwością była zaniepokojona, i poczęła się cofać ku otwartym drzwiom swojego pokoju.

— Pilny mam i ważny interes, — dodał Salezy — a pani tu...?!

Zmieszła się mocno Korczakowa, i nim dokończył zapytania, spieszyła z odpowiedzią.

— Jestem w usługach p. Stanisława!

Garbus nadto był przebiegłym, aby kłamstwa nie dorozumiał się. Im więcej się przypatrywał stariej, tém pewniejszym był, że ma do czynienia z matką Korczaka.

Uśmiechnął się.

— Ale, pani dobrodziejko — zawołał — chyba żartujesz sobie ze sługi swego... Jak to? przecież ja byłem na wsi u p. Antoniego i — pani sobie możesz mnie przypomnieć po garbie!

Korczakowa przelekła, zmięszana, ręką sobie twarz zastoniła — nie śmiała słowa powiedzieć, cofnęła się we drzwi swój izdebki cała drżąca.

Salezy szedł za nią.

— Ja należałem i należę do przyjaciół, niechże pani mi dozwoli — przypomnieć się...

Widać było z całego obejścia się staruszki, iż Salezy odgadł — nie cofnął się więc, bo mu to było na rękę.

— Panie dobrodzieju! łaskawy panie — bojaźliwie i błagająco odezwała się staruszka — na miłość Boga, proszę... niechże mnie pan nie zdradzi...

— Nigdy w świecie! zawołał garbus.

Staruszka z sieni wsunęła się do swojego pokoiku ubogiego, Salezy szedł za nią.

— Widzisz pan — przebąknęła ze łzami stara. — Ja to dla Stasia robię, że się i nie pokazuję i siedzę w kąteczku i... wolę być sługą niż matką. Miałby ze mną ambaras... pan to zrozumie... Ja niepotrzebuję nic... prosta jestem kobieta... on ma stosunki...

Garbus wszedł już był i rozglądał się po ubogiem mieszkaniu.

— Że pani to czynisz dla syna, — rzekł, — temu się nie dziwię, ale że syn pozwala na to — nie rozumiem...

— Ja go tak prosiłam... — przerwała staruszka...

— No i tak dobrze zachowuje się tajemnica, rozśmiał się garbus, że ludzie nawet nie wiedzą czy pani na świecie jesteś jeszcze lub nie... ale to się nie godzi...

— Dla czego! — przerwała Korczakowa — mnie z tém dobrze!

— Być może — dodał garbus, — ale tajemnica się zawsze i dla wszystkich, jak pani widzisz, uchować nie może; a ludzie potem posądzą poczciwego Stanisława, że jest złym synem i matki się własnej zapiera!

— Co pan mówisz! — wykrzyknęła przerażona stara... — Na Stasia mógłby kto taką potwarz rzucić! ależ to najlepsze dziecko w świecie...

— Spodziewałem się tego po nim — rzekł Salezy — ale tymczasem gotowi ludzie go osądzić surowo... a pani będziesz temu winną...

Zasmuciła się i zmięszała staruszka, nie wiedziała co odpowiedzieć.

— Ja też — dodała po namyśle — myślę się z miasta wynieść zupełnie — to tak będzie jakbym umarła.

Podniosła zażawione oczy na garbusa, który słuchał jęz z zajęciem.

— Pan mnie powinienś zrozumieć, — rzekła. — Przypominam sobie teraz, że nieboszczyk mój mąż mówił o panu, iż jesteś bardzo rozumny... więc wejdiesz w moje pobudki... Synowi pomocą nie mogą być w niczem, a zawadą wielką. Co począć z taką prostaczką, której

możeby się wstydzić potrzebował? Bezemnie on może aspirować wysoko. Pan go zna? prawda? młody, przystojny, do rzeczy, imię poczciwe, — a ja — jego matka... widzi pan, powtarzam, taka sobie prostaczka...

Garbus schwycony za serce, uśmiechał się, a płakać miał ochotę.

— Szanowna pani, rzekł zniżając głowę, masz zbyt złe wyobrażenie o tym świecie naszym, któremu się pokazywać nie chcesz... Wierz mi i na nim poznać się umięją na ludziach...

I razem dodał wesoło garbus — starając się przedłużyć rozmowę.

— Cóż, pan Stanisław, ma jakie projekta?

Zarumieniła się Korczakowa...

— Nie wiem o żadnych naprawdę, — odparła po cichu.

— Gdzież bywa? — ciągnął dalej Salezy.

— A! w niewielu domach, bo i czasu nadto ma mało — mówiła jejmość, powoli nabierając ochoty do rozmowy.

— Spotkałem go u hrabiego Saturnina niedawno — wtrącił Salezy.

Staruszka spuściła oczy.

— Zdawało mi się, że panna bardzo dla niego była grzeczną...

— Posłyszawszy to zarumieniona staruszka, uśmiechnęła się.

— Doprawdy?

— Istotnie — potwierdził garbus. — Złożyło się tak, iż właśnie tego wieczora prezentował się hrabia Obdorski... no, i panna Marcelina przyjęła go daleko zimniej.

Na wspomnienie o hrabi stara zacisnęła usta.

— Pani sobie tych Obdorskich musisz przypominać — ciągnął dalej garbus, bo mieli interes z nieboszczykiem jej mężem.

Milczała staruszka.

— Panu Stanisławowi, gdyby mu ten Obdorski przeszkadzał — mruknął na próbę Salezy, — łatwoby go odpędzić, bo wiem, jaki dokument musi mieć w ręku. .

Korczakowa zbladła... i musiała się schwytać za poręcz krzesła, aby nie upaść.

— Al! panie — zawołała głosem stłumionym — czyżby mój syn nawet w najgorszym razie mógł popełnić taką nikczemność? Dokument ten służyć miał dla nas, gdybyśmy się oczyścić potrzebowali — a my tego nie potrzebujemy, drugich zaś gubić nim! al! pani!

Salezemu aż się twarz rozjaśniła, skłonił głowę przed staruszką.

— Bardzo pięknie! — odezwał się — bardzo pięknie...

Raz już się wcisnąwszy, garbus nie wahał się być natrętnym. Oglądał się po pokoiku.

— Pani bardzo skromnie mieszka! — rzekł.

— Bo mnie — bo ja — bo, widzi pan, — poczęła Korczakowa, — ja do tego nawykłam, mnie z tém dobrze, ale Staś... Staś.

Ruszyła się żywo z miejsca.

— Ja panu pokażę mieszkanie—dodała żywo,—jemu nie zbywa na niczém... To mówiąc i oglądając się na Salezego, wprowadziła go do saloniku, do gabinetu i nawet do sypialni.

— Bardzo przyzwoite i wygodne mieszkanie — odezwał się garbus, ale mam do zarzucenia zawsze, że Staś pani pozwala siedzieć w tój ciupie, gdy on..

— On nie pozwala—ja tak chciałam, to moja wola, a ja przecie jestem matką — gorąco poczęła Korczakowa. On codzień na to narzeka...

— Ma słuszność—odparł Salezy... rozumiem, że mu to robi przykrość... Będę pomagał do tego, aby się pani nie dał chować, taić z sobą i dawać powodów do potwarzy. Dla p. Stanisława potrzeba, aby matka jego zajęła w domu stanowisko sobie należne.

Stara zbliżyła się do garbusa i oburącz go pochwyciła za rękę.

— Błagam pana! zlituj się! nie mieszaj się do tego, bo ucieknę ztąd. Nie chcę być zawadą Stasiowi... nie mogę, zameczyłabym się tą myślą...

Widząc niepokój staruszki garbus już nie nalegał — dowiedział się czego chciał — i myślał o odwróceniu rad, że mu się tak wyśmienicie udało.

Pożegnali się u drzwi w sieni, a Korczakowa jeszcze go tu zaklinała, aby ją nie zdradził. Odwiedziny te tak biedną poruszyły, że gdy w chwilę potem weszła Handzia, dopytując o obiad, jejność jej nic odpowiedzieć nie umiała. Płakała...

Był to dzień, w którym nie miała spocząć na chwilę. Zaledwie siadła, modląc się dla uspokojenia — gdy zadzwoniono... Stanisław nigdy nie powracał o tój godzinie, goście u nich nie bywali. Handzia, przestraszona prawie biegła do drzwi, a staruszka nie odważyła się wyjrzeć, zrażona spotkaniem z garbusem.

Wesołe głosy w przedpokoju — dodały jój otuchy, a do izdebki wszedł nie młody mężczyzna w kurtce, z miną wesołą, raźnie witając.

— Niech będzie pochwalony.

Krępy, niewielki, odziany ubogo, wyglądał więcej na wieśniaka niż na mieszkańca wielkiego miasta.

Był to stary sługa Korczaków, Tomasz, który, po zubożeniu ich, naprzód jako strzelec znalazł miejsce w okolicach Warszawy, potem założył mały handelek zwierzyną i ptactwem.

Przywiązany do Stasia, którego na rękach nosił, nie było tygodnia, żeby się do swego panicza nie dowiadywał, a bardzo rzadko przychodził z próżnymi rękami, a teraz cietrzewia oddał Handzi.

Spostrzegł zaraz, że sędzina musiała płakać, bo oczy miała zaczerwienione.

— A! dobrodziejko!—zawołał—co u państwa? czy, uchowaj Boże, co złego.

— Nie — mój Tomasz, to tak sobie — odparła Korczakowa—wiesz, człowiek stary, jak zacznie myśleć, trudno, aby się nie rozplakał. Staś zdrow, ja też jako tako... Nie widziałeś się z Michałem?

— Nie—rzekł Tomasz, ale gdy tu był ostatni raz, zajęchał do mnie...

— Mówił ci co?—niespokojnie spytała stara...

Tomasz głową potwierdził.

— Mówił, ale to się na nic nie zdało, co dobrodziejka myśli—rzekł sługa.

Utaić się nie może, iż matka żyje, a ludzie pana Stanisława brzydko posądzą, że się jej zapiera...

Z ust życzliwego sługi usłyszawszy toż samo, co jej wprzód już mówił garbus — zamyśliła się staruszka... Zachwiała się w postanowieniu, obawiając się, aby zamiast ulgę przynieść synowi, nie uczynić mu krzywdy i przykrości...

Tomasz, rozpytawszy o wszystko i ani słowa nie powiedziawszy o cietrzewiu, pożegnał się i odszedł...

Wkrótce potem powrócił pan Stanisław z biura, a matka mu oznajmiła o garbasie, unikając przyznania się do dłuższej z nim rozmowy. Korczak, który miał pewien szacunek dla p. Salezego, powiedział sobie, iż sam go wyszuka, bo życzył usłużyć mu...

Wieczorem—matka spodziewała się na herbatę syna, ale w godzinie zwykłej nie przyszedł i nie zjawił się aż dosyć późno, ale za to nucać już od progu i w bardzo wesołym usposobieniu.

Niespokojna zawsze o jedynaka, Korczakowa, zaledwie się powracającego domyśliła, wybiegła naprzeciw niego.

— Co się z tobą stało! gdzie byłeś! zawołała, całując go w głowę, gdy się jej schylił do rąk. Już byłam niespokojna.

— Spotkała mnie niespodzianka, zawołał wesoło Stanisław. Wychodziłem z biura, gdym się spotkał z panem Salezym. Korzystałem z tego, aby go spytać, czém mu służyć mogę. To, o czém się chciałem dowiedzieć odemnie, jest taką drobnostką, iż nie pojmuję, jak się chciałem fatygować z tém i szukać mnie...

Poszliśmy dalej rozmawiając...

No—i z téj gawędki wyszło, żeśmy przed samym domem hrab. Saturnina spotkali pannę Marcelinę, a garbus tak manewrował, iż obu nas zaprosiła na herbatę.

Wymawiałem się moim vice mundurem — ale to nie pomogło, — musiałem iść... Garbus mnie nie puścił...

Matce oczy się zaśmiały.

— Poczciwy!—szepnęła... i cóż?

— A! wieczór upłynął doskonale—mówił dalej Stanisław. Nie było oprócz nas nikogo... Złożyło się tak, iż hrabia wiedziony na pokusę przez Salezego, przeczytał nam parę aktów komedyi, co mi dało zręczność uczynienia kilku uwag... może trafnych—a dobrze przyjętych. Panna Marcelina była w humorze doskonałym... Mówiłem i z nią wiele...

Staś ruszył ramionami.

— Gdy chce — ciągnął dalej — umie ona być uprzejmą, wesołą,

niewymuszoną. Ja widywałem ją dotąd w salonie, przy liczniejszém towarzystwie zawsze dosyć sztywną, zimną i dumną. Dziś, wyjątkowo była uprzejmą, wesołą, naturalną...

— Bo ci się chciała podobać!—szepnęła matka...

Stanisław śmiać się począł.

— Matusiu—nie mówcie tego — i nie dopuszczajcie, aby mi się głowa zawróciła... Śmieszniemy było nawet pomyśleć o hrabiance... Po cóż się ludzić...

— Dla czego ty się tak mało cenisz?—szepnęła stara...

— Bo na świecie tak właśnie mnie ludzie cenią, jak ja siebie, matuniu—rzekł Staś. Najgorzej jest przeceniać siebie...

Panna Marcelina jest bardzo miłą i piękną.—Zdaleka ją czcił nikt nie broni, ale... marzyć o czémś więcej—śmieszniemy było...

Obdorski już tam sieci zarzucił i niezawodnie... panna w nie wpadnie...

Korczakowa zarumieniła się przytem imieniu, przypomniawszy rozmowę ranną z Salezym, nie odpowiedziała długo.

— Szkodaby jej było dla Obdorskiego — szepnęła w końcu... Są plamy niezmazane...

Stanisław się poruszył żywo.

— Ludzie zapomnieli—dodał wstając...

Po krótkiej rozmowie—ponieważ późno już było—Stanisław dał dobranoc matce, a sam z książką poszedł do sypialni.

Ale czytać nie mógł, chociaż bardzo rozumnie się tłumaczył matce i wypierał się wszelkiego marzenia o pannie Marcelinie — w sercu miał niepokój. Nie śmiałby nigdy być zakochać się w hrabiance, to prawda—lecz małe dowody sympaty, życzliwości, półsłówka, wejrzenia, zaczynały na niego działać upajająco.

Wypierał się tego sam przed sobą, ale marzył, myślał, wdychał, serce mu biło i uczucie się rodziło jakieś, które mu przynosiło z sobą rozkosz niewypowiedzianą. Korczak dotąd kochać się nie miał czasu, niekiedy poczynało się w nim coś nakształt — ohoty do kochania, zawsze potem jakieś nieprzewidziane przeszkody urosnąć mu nie dopuściły... Doszedł tego wieku, który rzadko mężczyzna osiąga, nie przebywszy parę miłosnych przesileń... Zdawało mu się, że i tym razem skończy się to bez następstw żadnych, zostawując po sobie tylko mgliste wspomnienie.

Pan Stanisław nie myślał wcale o ożenieniu, o którym dla niego marzyła matka. Widział zbyt jasno położenie swoje i nie łudził się wcale. Nie miał za sobą nic oprócz powierzchowności dobrze wychowanego człowieka i pięknego imienia — a przeciw sobie ubóstwo. Stanowisko podrzędne, nie świetne wcale i brak tych stosunków, które na świecie ważą wiele. Kolligacye mnogie łączyły go z rodzinami możnemi, ale ani ojciec, ani on nie chcieli się posługiwać niemi, widząc, że ich nie szukano, a unikano raczej. Poczciwa duma nie dozwalała im się narzucać nikomu... Sięgając myślą w przyszłość,

Korczak widział przed sobą dosłużenie się w urzędzie lepszego bytu—nic więcej. Nie mógł teraz żadnych planów układać dopóki był biu-ralistą, mającym kilka tysięcy złotych pensyi i niespełna drugie tyle procentu od uratowanych resztek ojcowskiego mienia.

Wszystko to razem składało fundusz dostateczny na życie prawie wygodne dla matki i dla niego, ale—nic więcej.

Rachując się z sercem swém teraz, Staś nie był z niego rad—panna Marcelina zbyt wielkie i z każdym dniem silniejsze czyniła na nim wrażenie. Przyszedł do tego wniosku, iż rozum kazał jój unikać—ale los, dziwny skład okoliczności, jakby na przekorę, popędzał go, ułatwiał... rozważał. Gniewał się na siebie...

(c d. n.)

PROJEKTA POMNIKÓW
ADAMA MICKIEWICZA,

NAGRODZONE NA OSTATNIM KONKURSIE W KRAKOWIE.

PRZEZ

Y.

Po raz już czwarty patrzymy na usiłowania artystów polskich, pragnących stworzyć dla nieśmiertelnj sławy wieszczu pomnik, godny jego geniuszu i jego zasług; a cały naród oczekuje z niecierpliwością chwili, w której jego uczucia hołdu i czci dla największego poety narodowego przyobleką się w poważną szatę spiżu i kamienia!

Czy to zbyt długie — już prawie niecierpliwiące się czekanie, pomyślny uwieńczył rezultat, nie śmiemy na razie stanowczo przesądzać; — ale tyle pewna, że te długie zachody nastreczyły społeczeństwu polskiemu sposobność wypowiedzenia swych zapatrywań na to, jakim chcemy mieć pomnik Mickiewicza i czego wskutek tego żądamy od artystów. Z drugiej strony zaprzeczyć nie można, że siły rzeźbiarzy polskich rozwinęły się w tém współzawodnictwie, że rozszerzył się ich pogląd estetyczny na tak rzadkie, bo tak majestatyczne zadanie. Pisma codzienne powiadomiły już ogół o sumienném i skrupulatném postępowaniu sądującego areopagu, dla tego możemy się ograniczyć na opisie wynagrodzonych projektów, przy dołączeniu kilku uwag krytycznych, które bodaj dorzuciły nieco światła na przygotowujące się z takim mozolem i trudem dzieło estetyczne, obchodzące w wysokim stopniu całe społeczeństwo polskie.

1). Projekt nr. XI „Bez godła” — artystów pp. Cypryana Godebskiego i Bittnera:

Na ośmiobocznej podstawie utworzonej z dziesięciu wazkich stopni wznosi się monumentalna budowa pomnika. Spód tworzy cokół czworoboczny, z którego węgłów występują prostokątne narożniki,

z siedzącymi na nich postaciami, symbolizującymi główne poemata Adama a mianowicie: Konrada Wallenroda, Grażynę, Dziadych (Iirnik) i Pana Tadeusza (Książd Robak). Wolną przestrzeń frontową zapełnia płaskorzeźba z przedstawieniem wykłádu w College de France — reszta stron, wolna od rzeźb, opatrzona równéj wielkości framugami. Przejściowy człon, od cokołu do wyniosłego postumentu, dekorowany z przodu tablicą w stylu odrodzenia z paszczą lwa u góry a naroźniki przybrane podwójnymi wolutami, i festonami kwiatów i liścia z ręcznie nader rzuconymi. Postument, stanowiący bezpośrednią podstawę koronującej monument grupy, nosi pośrodku na wspiętym pegazie geniusza — inne boki posiadają zagłębienia z ornamentyką, odpowiednią stylowi pomnika. Na rogach piękne słupy renesansowe — podpierające swemi głowicami zdobny fryz, nad którym zwierzchnia płyta, przybrana festonami z postacią Adama Mickiewicza i wieńczącą go „Ojczyzną.” Całość to imponująca swą monumentalnością i przeprowadzeniem logiczném części składowych architektonicznych, jako téż przedstawień figuralnych, w których przebija się polot poetyczny pomysłu artysty. W sylwecie kreśli się pomnik liniami, może mniej trafnie w proporcjach, lecz że całość powiązana rozumnie, jednoczą się i one tworzą piękną, imponującą okazałością budowę.

Opisawszy ten ogólny szkic pomnika, zastanówmy się nieco nad jego szczegółami.

Postać poety siedząca swobodnie, — zwrócona w trzech czwartych ku widzowi, na kolanach trzyma ¹⁾ rozwartą księgę, na której się opiera ręką prawą ²⁾, podtrzymującą równocześnie wpatrzoną w niebo zadumaną głowę. Poza to naturalna—bez wymuszenia. (Ruch ręki właściwy zamysleniu, gdy dwa palce wysuwają się naprzód i przylegają do twarzy — reszta zgięta przytrzymuje szczękę.) Prawa noga spoczywa na księdze, lewa nieco opuszczona i w tył cofnięta, przez co artysta wydobywa piękne linije w układzie płaszcza, a postaci nadaje naturalność i wlewa w nią życie. — Zdaje się, iż natchnienie chciałoby porwać mistrza ku gwiazdom i przestworom, w które wzrok zatapia. Ubranie stanowi surdut zapięty pod szyję, — a na ramiona narzucony płaszcz opada w liniach poważnych i kryje z przodu kolana, z tyłu spada ku ziemi. Przez to zaaranżowanie draperyjne unikał artysta potrzeby fotelu, wywiązując się z zadania bardzo szczęśliwie. Postać Mickiewicza jest najwięcej wykończoną ze wszystkich figur pomnika, rysy wieszczą oddane w sile wieku, z okresu, gdy geniusz jego tworzył najtrwalszy pomnik sławy poety: „Pana Tadeusza”!

Po za wieszczem i nad nim widnieje allegoryczna postać kobieca „Ojczyzny”, w tunice greckiej i w draperyi, zarzuconej lekko przez ramię, — o jasnej, pięknej, wyrazistej twarzy z dyademem na czole, — spoglądając na głowę poety, wyciąga obnażone ramię, by uwieńczyć „Mistrza” laurowym wieńcem zasługi, — lewą zaś przytrzymuje fałdy

¹⁾ Lewą ręką. ²⁾ łokciem.

osuwającej się draperyi. Nastroj linii rysujących „Ojczyznę” jest klasycznym.

Obydwie postacie razem wzięte tworzą wysoce szlachetną grupę, rysującą się w sylwecie z wdziękiem i powagą,—a co najważniejsza, że trafnie pomyślaną, przy głębokiej rozwadze w układzie i z całym poetycznym zrozumieniem zadania. Kreacyą tę poety uważamy za dotąd najszcześniejszą ze wszystkich, które się przed naszymi oczyma w przeciągu lat kilku przesunęły ¹⁾).

Postument kamienny, opatrzony napisem: „Adamowi Mickiewiczowi,” przyozdobiony został zgrabnemi, choć troszeczkę za wątłymi kolumnkami i architektonicznymi detailami, jest jak cały pomnik w stylu odrodzenia wymaganym punktem 3-im progr. konkursu. Dekoracya ta nadaje górnej części bardzo wiele lekkości. Na frontonie postumentu umieścili projektodawcy na tle złożonym, zamkniętym od góry łukiem, haut relief następujący:

Geniusz, w postaci nagiego młodzieńca siedzi na pegazie i patrząc ku zenitowi z wyciągniętą pionowo ręką z pochodnią światła, — drugą lekko spiera na szyi rozhukanego, wzlatującego w wyżyny poezyi pegaza. Piękna to młodzieńcza postać o wydatnych muskułach, silna i pełna wdzięku, — całym korpusem podana nieco wstecz, zwrócona ku widzowi w ten sposób, iż obie nogi zsuwają się na front. Powiewna draperya, przerzucona przez biodra, widoczna po za skrzydlatym, pysznie zmodelowanym rumakiem, — dodaje akcentu w polocie. W rzeźbę tę wlał artysta tyle potęgi i nadał jój zarazem taką lotność, iż stanowi niemal najpiękniejszą część pomnika, budząc zarazem echo przypomnienia młodzieńczej siły „Mistrza słowa” gdy stworzył: „Ode do młodości”.

O ile artysta rzeźbiarz w figuralnych przedstawieniach górnej części pomnika ujawnia niezwykle bogato obdarzoną naturę artystyczną, o tyle w dolnej części nie dostrzegamy już téj głębi uczucia, ni piękności rysunku. Płaskorzeźba (bas relief), przedstawiająca wykład Adama w College de France, jest wprost nieudałą; — uderzający brak urozmaicenia w liniach kompozycji! Widzimy jakby pod sznur wzięte

1). Jakkolwiek grupa ta pod względem estetycznym jest piękną, byłaby według naszego zdania, także i odpowiednią, gdyby pomnik miał specjalnie przedstawiać chwilę wieńczenia wieszczą przez naród, który majestatyczna postać Ojczyzny zastępuje. Że jednak sam pomnik już tę ideę wieńczenia poety narodowego wyraża i w sobie zamyka, wyłącznie przedstawienie i tak wyraziste uwytatnienie tego jednego momentu, może w ogólnym majestacie pomnika Mickiewicza oddziałać niekorzystnie na ogół widzów z tego względu, że ten akt wieńczenia mógłby odwracać oko widzów od postaci samego wieszca, która w pomniku dominować powinna. Nie chcemy przecie stawiać pomnika naszym uczuciom, przejętym uwielbieniem dla epoki uświetnionej przez dzieła poety, trwalsze od wszelkich pomników, ale pragniemy wzniesić pomnik dla Mickiewicza, jako poety narodowego. *Red.*

cztery szeregi z obydwu stron siedzących słuchaczy, pośrodku zaś z katedry, jakby z prostokątnej skrzyni, wygląda nieszczęśliwie pojęty Mickiewicz. Wszędzie oko kaleczy się tu ostrością kątów i daremnie szuka, gdzieby spocząć mogło. — Ta płaskorzeźba jest niemożliwą i musiałaby być w razie wykonania pomnika według tego projektu, zastąpioną inną.

Przychodzimy wreszcie do figur ustawionych na narożnikach. Trzeba przyznać, iż zdradzają one niezwykły talent; każda dla siebie tworzy piękny pomysł, natchniony poezją linii, i jednoczą się z całością pomnika, — ale, niestety, jest bowiem i tu „ale,“ o którym przemilczeć nie można, — to jest, iż figury owe nie są typowemi, nie mają charakteru postaci, jakie artysta stworzyć zamierzał. W prawdzie zauważyć musimy, iż jest to dopiero szkic; — ponieważ jednak punkt piąty programu konkursu wyraźnie wymaga starannego wykończenia modeli, przeto przysłuży nam prawo wytknięcia tego braku, jako błędu. Wczytując się w pomnikowe dzieła poety, inaczej pojmujemy postacie wymienione przez nas u wstępu. Przedstawiając „Dziady,“ odtworzył artysta: górala młodego, trzymającego na kolanach lirę, — jest to niewłaściwość, uderzająca natychmiast w oczy. Inne trzy postacie: Grażyna, Konrad Wallenrod i Książdz Robak tchną takim brakiem typu i zrozumienia kreacyi, jakby piękne utwory fantastyczne rzucone były tamże tylko ze względu potrzeby zapełnienia miejsca. Na pozostawienie ich takimi, jakimi je widzimy na pomniku, godzić się nie podobna. Również uderza na projekcie wszelki brak emblematów, co w połączeniu z ostatnimi uwagami, skłania nas do zarzutu ¹⁾, że artysta nie dość jasno wyraził, iż pomnik ten stawia dla wieszca naród, z którego łona wyszedł ten mistrz słowa i uczucia. Pomnik w tym stanie, jak podaje projekt, nosiłby wybitne piętno kosmopolityzmu. Nadmieniamy prócz tego, iż stopnie w liczbie dziesięciu u szerokiej platformy pomnika, są stosunkowo do wielkości całej budowy stanowczo za drobne, — trzeba by je zatem zdwoić, ażeby widz odnosił wrażenie mocnej i trwałej podstawy.

2). Drugim nagrodzonym projektem jest model nr. XVIII p. Rygięra, opatrzony godłem „Maryar“.

Autor czy też jakiś w serdecznej zażyłości zostający wielbiciel jego talentu i przedłożonego projektu tak go opisuje na karcie, daniej przy projekcie:

„Obszar rynku przeznaczonego na umieszczenie pomnika, olbrzymie budowle, jak kościół Panny Maryi, Sukiennice, wieża ratuszowa, tamże się znajdujące, wreszcie potęga geniuszu wieszca składają się na utworzenie projektu „Maryar,“ o liniach potężnych i zdecydowanych, o całości prostej a zrozumiałej od pierwszego rzutu oka.

„Na kilku gradusach na podniesieniu roustique umieszczamy cztery olbrzymie płaskorzeźby, z których przednia przedstawia „Ode

¹⁾ Zarzutu tego nie podzielamy. Zob. niżej str. 435, uw. 1.

do młodości”, jako szczyt natchnienia poetyckiego, trzy inne ilustrują: „Pana Tadeusza”, więc prawa od widza wyobraża kłótnię, gdy tu najlepiej można scharakteryzować wszystkie główne typy jak: Sopliców, Hrabiego, Telimenę, Gerwazego, Protazego, Wojskiego, a nawet Zosię i Podkomorzego; lewa „Zaścianek“, bo tu mamy wszystkie te ciekawe postacie Maćków i Bartków, Kropiciela, Konewkę, Brzytwkę, Sczyrzyka a nawet Jankła, wymykającego się, aby ostrzedz Sopliców o grożącym im najeździe; tylna płaskorzeźba przedstawia „Polowanie,“ nadające się na (?) przedstawienia we właściwym charakterze postaci Księdza Robaka, którego dotąd nam brakowało.

„W narożnikach między powyższemi płaskorzeźbami umieszczamy siedzące figury: Konrada Wallenroda, Grażynę, Więźnia z 3-iej części Dziadów i Zosię. Wszystko uwieńcza girlanda z herbami trzech dzielnic Polski, co oznacza, iż cały naród wznosi pomnik, o czém wreszcie świadczy napis, wyrity na skromnym granitowym piedestale. Postać wieszca natchniona, ale spokojna i naturalna, okryta zarzuconym bez pretensyi płaszczem o szerokich fałdach, wiąże całość harmonijnie i artystycznie. Podobizna z biustu Davida d'Angera z lat młodości.”

Jest to objaśnienie bardzo pochlebne, lecz nie można mu przyznać słuszności, jeżeli się nie patrzy na projekt przez pryzmat przyjaźni, lub własnej zarozumiałości, ale obojętnego na osobiste względy widza, szukającego tylko piękna i myśli.

Sama postać Adama Mickiewicza stojąca, z lekko wysuniętą naprzód nogą, zwróconą nieco bokiem ku widzowi, postać o młodej, zamurzonej twarzy, z silnie uwydatnionym marszem na czole, spogląda na dół. — Zarzucony płaszcz przytrzymuje lub raczej przyciska prawą ręką do serca, lewą zaś zdaje się oddawać skrypta. Powaga linii i ich piękność nie wynagradzają braku zrozumienia postaci poety. — Patrząc zaś z tyłu, mniej korzystnie rysuje się kontur, bo artysta wpadł na nieszczęśliwy pomysł pelerynki, z wywiniętymi w górę sterzącymi końcami. Dla harmonijnego poważnego nastroju mógł artysta śmiało sobie darować romantyzm liniijny. W wykrojone węgły u cokołu wsunął artysta-rzeźbiarz na narożnych podstawkach wspomniane w opisie figury (Konr., Graż., Więźnia i Zosię), w ten sposób, iż wszystkie, aby nie upaść przytrzymują się łokciami na gziemsię i na jedną modłę mają rozstawione nogi, którą to pozę prawie nieprzyzwoitą nazwać trzeba. W umiarowej, symetrycznie rozczłonkowanej budowie pomnika, — znać wykształcony na dobrych wzorach talent artysty, a szlachetność linii rysunku nakazywała sprawiedliwie odznaczyć go drugą z rzędu nagrodą. Z drugiej jednak strony brak dziwny naturalności w ruchach i pozach figur; patrzymy bowiem na nie, jakbyśmy je widzieli na deskach scenicznych. Mają one w sobie więcej zimnej teatralności aniżeli prawdziwego uczucia; z wyjątkiem Konrada Wallenroda, dostrzegamy ten niedostatek we wszystkich przedstawieniach figuralnych, zaczawszy od postaci Mickiewicza, a skończywszy na płaskorzeźbach.

Skromna lecz gustowna dekoracya pomnika, prostota i związek organiczny linii stanowią w całości istotną jego zaletę.

3) O ostatnim nagrodzonym projekcie, nr. XV pod godłem „Kruk“ p. W. Gadomskiego, niewiele nowego powiedziećby się dało, boć motywa w jego niniejszej pracy, są w znacznej części powtórzeniem tego, cośmy widzieli przed rokiem przy projekcie według rysunku mistrza Matejki.

Na podwyższeniu o kilku stopniach wznosi się budowa o skromnych architektonicznych liniach z przewagą w kierunku pionowym, nieco w proporcjach postumentu do cokołu chybionych. W dolnej części z frontu tablica ma napis —inne boki mieszczą w zagłębieniach płaskorzeźby. W górnej części z frontu niejasna grupa „Ody do młodości“ a inne trzy boki ozdobione figurami Dniestru, Niemna i Wisły z muszlami u ich stóp. Wreszcie na szczycie Mickiewicz w średnim wieku, w postawie stojącej, w obcisłym tużurku i z przewieszonym osuwającym się z ramion płaszczem. Prawa ręka spuszczonea przytrzymuje płaszcz, lewa przy piersiach książkę. Lewa noga wysunięta cokolwiek naprzód. Układ draperyi poprawny. Jest to stereotypowa postać, widna na większej części pomników niemieckich poetów, — utwór, który odzwierciedla wpływy przeważne obcych wzorów, ale nie daje miary o oryginalności i samoistnem skomponowaniu artysty. Wypieszczone a znane figury Dniestru, Niemna i Wisły stanowią nader wdzięczną część pomnika i każda figura dla siebie jest tak powabną, wystudowaną, tyle w niej wdzięku, iż godna odtworzenia w trwałym marmurze. Jednak te piękne postacie, jakkolwiek wiążą się ruchem (?), nie zrastają się z momentem, nie jednoczą się z nim w całość. Nie jasną, jak wspomnieliśmy, jest grupa frontowa, złożona z dwóch osób — z jakiejś bezpłciowej, z deklamatorskim ruchem istoty, w długą ręką na piersiach, a prawą kurczowo wygiętą. Obok siedzi słuchająca piękna, młoda niewiasta. Na stopniach rzucony wieniec laurowy ze wstęgami dopełnia ubogą dekoracyą pomnika.

Na tém kończymy krótki rozbiór nagrodzonych projektów. Najwięcej bezsprzecznie wysokięj wartości zalet ma projekt pp. Godebskiego i Bittnera nr. 11, niektóre uchybienia, któreśmy zaznaczyli można by z łatwością usunąć a braki dopełnić. W obec tego, iż pomnik stanąć ma na rynku krakowskim, monumentalność jego, bogactwo budowy architektonicznęj, zdaje się być pewną, a przecie konieczną rękocią przeciw obawie, aby nie zniknął wśród tych wielkich budowli, które go otaczać mają. Projekt, zdaje nam się także być wykonalnym i pod względem kosztu, stosownie do sumy, jaką komitet rozporządza, bo powątpiewające o tém głosy pochodzą, zdaje się z pobudek nie milknących przy współzawodnictwie dzieł ludzkich, a nie rachujących się z tém, że przecie i projektodawcy zanim zabrali się do pracy, niewątpliwie musieli liczyć się z warunkiem podanym w punkcie 4-tym konkursu, że mając wzgląd na kosztorys, nie tylko wśród roboty mody-

fikowali swój projekt, ale go jeszcze przed wykonaniem na rynku w Krakowie w drobniejszych szczegółach modyfikować mogą ¹⁾.

¹⁾ Kwestye te najdokładniej objaśnia pismo samego p. Godebskiego, które tu z gazety „Słowo” załączamy:

„Do komitetu ściślejszego budowy pomnika dla Mickiewicza w Krakowie. Przybywszy przed kilku dniami do kraju, spotkałem się w różnych organach prasy z tak dziwacznymi zdaniami i komentarzami, dotyczącymi mego projektu pomnika Mickiewicza, nagrodzonego na konkursie pierwszą nagrodą, iż widzę się zmuszonym trudzić Szanowny komitet tém pismém, by niektóre twierdzenia dzienników sprostować, a inne wyjaśnić. Przedewszystkiem tedy, zarówno styl ogólny projektu, jak i znaczenie użytych w nim figur i grup alegorycznych nie zostały należyście zrozumiane i wytłómaczone.

Przez zastosowanie w projekcie stylu epoki renesansowej pragnąłem uwydatnić, iż od Mickiewicza datuje się epoka odrodzenia w poezyi polskiej, co w żaden inny sposób wyrażoném być nie mogło.

Grupa na przedzie piedestału, z Apollina i Pegaza złożona, wydała mi się najodpowiedniejszém godłem dla pomnika poety. Postać niewieścia, wieńcząca siedzącego wieszca, przedstawia ziemię rodzinną; z jój to rąk hołd najwyższy piewcy odbierać przystało i nikt chyba twierdzić nie zechce, aby wywyższenie jój, jój jednej tylko, nad osobę wieszca, ujmę temuż przynieść mogło. Dla spotęgowania wrażenia, postać ta z bronzu otrzymała ma szatę złocistą, której odbłask opromieniałby, jakby aureolą, figurę wieszca. Na czterech rogach piedestału unyśliłem rozmieścić cztery najwybitniejsze postacie poezyi mickiewiczowskiej: Konrada, Grażynę, Robaka i Lirnika wioskowego: wybór tych postaci zresztą mógłby uleść zmianie. Na bokach wreszcie piedestału pragnąłem w płaskorzeźbach przedstawić działalność profesorską Mickiewicza, która obznajmiła z piśmiennictwem polskiem cały świat uczyłwilizowany. W gronie słuchaczów mają się tu znaleźć portretowane największe znakomitości Francji: Quinet, Michelet i wielu innych.

Co się tyczy wykonalności mego projektu, to wbrew twierdzeniom dzienników, nie zupełnie nie staje jój na przeszkodzie.

Wymiary projektowanego monumentu zostały w prasie mylnie przedstawione. Całkowita wysokość jego wynosi nie 18 metrów, jak chce mieć jedno z pism krakowskich, ale tylko 10,5 metra, z czego 7,5 metra przypada na piedestał, a 3 metry na figury grupy głównej. Tym sposobem figury to przedstawione zostaną w wielkości zupełnie dostatecznej, gdyż dwa razy naturalną przechodzącą, a jednocześnie rozmiary pomnika nie przekroczą miary, wskazanej przez miejsce i otoczenie, w jakim tonże ma być umieszczony. Dla tém lepszego przystosowania pomnika do miary, o którą chodzi, proponowałbym niewielką zmianę architektoniczną w projekcie, a mianowicie w połączeniu dwóch kondygnacji piedestału, przez co cokolwiek spodni mniejby naprzód występował; nie byłoby wówczas potrzeba konsoli w projekcie umieszczonych, które mogłyby być zastąpione przez palmy i wieńce brązowe. Sądzę iż zmiana ta uczyniłaby profil pomnika wysmuklejszym i bardziej harmonijnym. Pomnik cały wykonanyby został z granitu belgijskiego, odznacza-

Wzgląd ten tłómaczy téż brak płaskorzeźb w trzech pustych framugach dolnej części projektu p. Godebskiego.

Sąd konkursowy na wniosek hr. Engestroema orzekł, aby także i owe wolne framugi zapełniały płaskorzeźby,—dodamy ze swéj strony, że gdyby nawet na razie funduszu na ten cel brakło, możnaby potrzebną kwotę dopełnić w ciągu następnych lat drogą składek, a płaskorzeźby i później w stojący już pomnik wstawić. Genialnego projektu, któryby był ilustracją genialnego poety ²⁾ daremnie czekać będziemy, projekt pp. G. i B. jest pięknym w całym znaczeniu tego słowa;—gdy usuną się usterki, nie zrobi wstydu polskiej sztuce, ale będzie jéj cenną ozdobą:

„Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha,
Obejmie okiem wszystkie promienie jéj ducha?“

Kraków 31 stycznia 1888.

jącego się wielką trwałością i przystępną ceną, a ztąd powszechnie na budowy pomnikowe używanego. Dla urozmaicenia zaś i kontrastu, proponowałbym cztery kolumny w rogach wierzchniego cokołu z marmuru czerwonego, na co tém śmielój zdecydowaćby się można, iż kolumny te zakryte są gżemsem wystającym. Figury, płaskorzeźby i ozdoby rzeźbiarskie zostałyby wykonane z bronzu.

Koszt wykonania mego projektu urosł na szpaltach dzienników do bajecznych rozmiarów; aby położyć koniec legendom, krążącym w tym względzie, mam zaszczyt oświadczyć, iż, nie szukając dla siebie zysku w sprawie całej społeczeństwo nasze tak żywo obchodzącej, ale pragnąc tylko, aby nieśmiertelny wieszcz godnym siebie pomnikiem został uczczony, gotów jestem podjąć się wykonania mego projektu za sumę, nie przenoszącą środków, jakie komitet ma do rozporządzenia.

Z uszanowaniem,

Cypryan Godebski.

Warszawa, d. 16-go lutego 1888 r.

¹⁾ Wszystkie dawniejsze gorszące wystąpienia publicystyczne w téj sprawie, płynęły, jak się zdaje, z tego nieporozumienia, że żądano od rzeźby tego, czego ona dać nie może, żądano ilustracji dzieł poety, gdy twardy marmur pozwalał co najwięcej na pochwylenie ważniejszych momentów z życia wieszczka.

Red.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Z belletrystyki.

- 1) Walerya Marrené. „Nowelle i Obrazki.“ Warszawa, 1887 r.
- 2) Marya Konopnicka. „Cztery Nowele.“ Warszawa, 1888 r.
- 3) Eliza Orzeszkowa. „Panna Antonina“... „W zimowy wieczór...“ (dwa tomy). Warszawa, 1888 roku.

Uwzięli się nowelliści, aby nas nieustannie przerażać ponuremi obrazami. Co weźmiesz w rękę jaki zbiorek, to same skargi i jęki. Według nich ten świat, jest jak ów przybytek, nad którym ręka pierwszego wieszca chrześcijaństwa wyrzyła napis: „Odrzućcie wszelką nadzieję, wy, co tu wchodzicie.“ Nowelliści na swoich dziełach wypisują taką przestrożę dla nowonarodzonych. Ale może oni nie myślą o całym świecie, tylko ograniczają się pewnym miejscem i pewnym czasem: swoim, najbliższym. A! to może i mają słuszość zawodzić takie lamenty. W każdym razie, jako publicyści, jako dostarczyciele obroku duchowego, źle oni czynią, według opinii przeciętnego konsumenta obroku; a przynajmniej czynią odwrotnie, naprzykład, od scen tearalnych, które także są publicystami. Te wołają, o! i bardzo,— dostarczać produkcji uciesznych aż do swawoli, wesołych aż do pustoty, pustych aż do bezmyślności, i dobrze im się z tém dzieje. Przeciętny konsument powiada sobie: Tak to rozumiem: co mi tam po tych dramatach i tragediach, których mam do syta w domu i koło domu, ja za moje pieniądze chcę się rozerwawć, zabawić, zapomnieć; ope-retka, farsa... to mi rzecz, paniel— Trzęsą się też ławy na pohulan-kach scenicznych, pustoszeją na tragediach.

Nie zważają jednak na te signa temporis nowelliści, i oto na-przykład pani Walerya Marrené mieści tragedję na dnie każdej swojej,

nowelli lub obrazka, których tu zebrała dziewięć. Pani Marrené jest modernistką w całym znaczeniu. Odkąd przestała trudnić się romanizmem, obchodzi ją tylko to, co ją najbliżej otacza, czego dotknąć może pięciu zmysłami, a choćby i z pewnym uszczerbkiem tego kompletu: dla niej istnieje tylko to, co istnieje dziś. Mieszka stale od lat kilkunastu w Warszawie; zatem Warszawa, to najwłaściwsze pole do realistycznych obserwacji; a cisną się jęj one tłumnie. Salonu właściwie u niej w tym zbiorze nie ma; ale ulica, ogród publiczny, sala sądowa, tramwaj, przystań wioślarska,—wszystko słowem, nawet, Boże odpuść, kościół. Wszędzie ona tam coś uszczknie, z tego, co przeszedłszy przez zmysły, osiadło na jęj uwadze (mówiąc językiem Condillaca), i obserwacjami wziętemi ot tak wprost z życia, dzieli się z czytelnikiem, który widział lub słyszał stokroć toż samo, co i ona, tylko nie umiał tak odczuć, i do takiej podnieść potęgi ażeby wrażenie osobiste stało się, przy uzewnętrznieniu, interesującym dla drugich.

Ale myłiby się, ktoby sądził, że pani Marrené notuje swoje wrażenia bezinteresownie, tak tylko, ażeby to była sztuka dla sztuki, w moc jedynie tego, że jęj się tam jakiś wzorek podobał. Bynajmniej. Każdy niemal jęj obrazek jest tendencją, czasami nawet złośliwą, bo dąży ona do zamącenia spokoju pojedynczym spokojnym obywatelom a nawet instytucjom. Głównie zajmują autorkę dole sieroce, przyrodzone usposobienia złowrogie, wichry losu nieprzyjazne a nieuniknione.

Tu mała dziewczynina, „Czarna Maryś,“ sierota, pozbawiona wszelkiej opieki, poprzez grubą powłokę nieukszałcenia dająca oznaki wielkiego serca, popędów szlachetnych i estetycznych, bezwiednie staje się złodziejką, przez przywiązanie do wytresowanego już w rzemiośle chłopaka, który tego od niej wymagał. Zamknięta w więzieniu, wychodzi ztamtąd gotową do wszelkiego ładajctwa. Dla czegoż zatem tak mało ochron w Warszawie; dlaczego wreszcie, jeżeli dziecka nie można ochronić przed upadkiem kryminalnym, nie istnieje zakład poprawczy dla dziewcząt, jakim cieszą się chłopcy, zakład, któryby kształcił, zamiast więzienia, które demoralizuje? Taki jest sens moralny tego opowiadania. Ale cóż poradzić z takim znowu chłopcem jak ów „Stasiek,“ przedmiot innego opowiadania, chłopiec także w gruncie dobry i opieki rodzicielskiej niepozbawiony, ale natura krnąbrna, ambitna a wszelkiemu przymusowi wstrętna? Przed nauką i pracą regularną ucieka z domu, zaciąga się pod chorągiew roznosicieli gazet, i ginie pod kołami tramwaja. Z tego nie wyciągnie innego sensu nad fatalizm natury, przez zbieg życiowych wypadków, a jak tu, przez słabość matki i szorstką obojętność ojczyma, ułatwiający katastrofę prędzej czy później. Czyż nie fatalizmem natury również tłómaczyć można psychologią „Dzikiego Tomka,“ wychowauca wsi, który wzięt sobie za prawidło życia żyć jak wróbel, z cudzego dobytku, byle wręcznie i ogłędnie, bez narażenia się na tę głupią odpowiedzialność w obec ustaw ludzkich, wymyślających jakieś prawa własności. Ale to już inna historia. Tu nie stopniowy rozwój skłonności od dziecka,

przedstawia się w opowiadaniu: tu „dziki“ Tomek występuje jako już złoczyńca gotowy, w wieku dojrzałym, osadzony w kryminale i sądzony za grabież, połączoną z morderstwem. Interes opowiadania polega jakoby na pewnego rodzaju walce Nemezy psychologicznej z Nemezą prawodawczą, o wyniku nader dramatycznym. Niewinności podsądnego broni młody adwokat, bez przekonania, a raczej z moralnym przekonaniem, że broni sprawę złej, przynajmniej nader wątpliwą. Ale to pierwszy jego debiut, pierwszy popis krasomówczy w obec sędziów, publiki, kolegów i... pani jego serca. Od tego pierwszego wystąpienia zależy jego przyszłość prawnicza i uczuciowa: a wreszcie to obowiązek jego powołania, obowiązek wzniosły w każdym razie, boć to obrona bezbronnego, przeciw któremu społeczeństwo wymierzyło cały arsenał kodeksu. Zbiera więc siły, ustawia baterie, i argumentem braku dowodów zwycięża... ale po to tylko, ażeby go w rok później uniewiniony i ocalony Tomek, ubiegający się w dalszym ciągu za grabieżą, niepoznanego zamordował nocą w ciemnym lesie, w chwili, gdy jego obrońca spieszył do otwierającego mu się już raju, po rękę upragnionej Ewy. Konkluzji tego dramatu nie wypowiada autorka, ale, jeśli wyłączymy prosty przypadek, konkluzja ta przychodzi sama z siebie. Nic innego to być nie może, tylko sceptyczny dylemat. W moralnym sensie opowiadania, adwokat ponosi jakoby doraźną karę za swą świadomie fałszywą obronę; świadomie, — powiadamy, — gdyż sam przy rozstaniu daje Tomkowi przestrożę: — „a pamiętaj, więcój nie zabijaj!“ — Lecz, wezwany na obrońcę z prawa i urzędu, miałże jeszcze przyczynić się do potępienia klienta, albo miękko za nim przemawiać? Jakażby wtedy farsą była instytucja obrońców? A więc był on w porządku. Za cóż tedy poniósł karę? Za łatwowierność chyba i niedołążność sędziów, którzy nie chcieli, czy nie umieli jego baterie zdemontować. Ale w takim razie, to ślusarz zawinił, a kowala powieszono, jak to często dzieje się na świecie, i o czém pani Marrené nie zapomina w swym nowelistycznym pesymizmie.

I nietylko niedole te, wynikające już to z fatalizmu natury, już też z położeń socyalnych, w kręgu ludowym postrzega autorka: niemniej od ludu cierpi tak zwana inteligencja. Przypadek zainteresowuje ją do konduktora tramwajowego (*Z wędrówek po mieście*), którego jakiś pasażer, świeżo przybyły ze wsi, poznawszy, nazwał „sąsiadem.“ Odtąd autorka, często snadź używająca tego rodzaju lokomocyi, bacznie przygląda się wykolejonemu, któremu, za rubla dziennie, niewolno usiąść, niewolno mieć pomiędzy dziewiątą zrana a jedenastą w nocy żadnych interesów osobistych; przypatruje się jego udręczeniom na wiadomość o chorobie dziecka; a zwłaszcza, i co najsmutniejsza, widzi jego przejście od prawości do szachrajstwa biletami, przejście wywołane złem uposażeniem. Pomimo całej sympatyi dla tego wykolejonego, który przedstawia się nam w nimbie niedoli, jako ofiara niezłomnego programu siły wyższej, a następnie jako ofiara wyzysku obcych kapitalistów przyznać musim, że trafiła autorka na charakter bardzo wąt-

pliwiej mocy. „Nos vertus sont si faibles...” powiedział La Bruyère; ale z tém wszystkim, zakończenie to, pod adresem zarządu tramwajowego, nie trafia do celu i odejmuje sympatyę wyzyskiwanemu bez żadnej ujmę dla prawa ekonomicznego, które kieruje się popytem i podażą, nie zaś względami na różnicę osobistych potrzeb i stosunków pracownika. Inna rzecz, jeżeli pracodawca kieruje się względem niego pobudkami niemoralnymi, jak ów pucotowaty zwierzchnik instytucji finansowej w opowiadaniu „Mięśnie i nerwy,” który, chcąc się pozbyć zdolnego urzędnika dla pięknych oczu żony jego niezdolnego kolegi, zabija go pracą, wysilającą i do spełnienia niemożliwą. Śmierć urzędnika na posterunku, z głową schyloną nad papierami, osierozenie żony i dzieci, wygląda tu nieco teatralnie, i pod żadnym wreszcie względem cały ten przebieg uogólnieniu podlegać nie może; lecz, choćby tylko stosował się wyjątkowo, już ma za sobą prawdę: wszak protekcyę, faworyzowania, przeciążanie jednych robotą na korzyść drugich, oszczędność w wynagradzaniu, nie są rzeczami niebywałemi wśród monopolu różnych instytucji. A że opowiadanie napisane jest obrazowo i z sercem, to i tendencya prościej do serca idzie. Gdyby też nie koloryt sensacyjny, opowiadanie „W wieczór zimowy” byłoby tylko prostém powtórzeniem odwiecznie znanej historii o młodej, uczciwej szwaczce, która, folgując uczuciu miłości, upada, a opuszczona i pogrążona w nędzy, nie mogąc poradzić sobie z niemowlęciem, podrzuca je w „wieczór zimowy” bogaczom, sama zaś z boleści i zimna marznie pod ich progami.

Bądź co bądź, we wszystkim, cośmy tu treściwie przerzucili, tkwi jakaś mniej więcej kwestya społeczna, jedna z takich, które nas codzienie oblegają dokoła, które w innej wprowadzie formie, wyczytujemy na łamach pism codziennych pod rubryką kronik miejscowych, wypadków bieżących, i tym podobne. O to zbliżenie do chwili bieżącej, do miejsca, a słowem do dzisiaj, usilnie stara się autorka; jęj opowiadania pełne są nawet zewnętrznych cech tój dzisiejszości miejskiej, tak jakby się przy swych obserwacyach nosiła z przyrządem fotograficznym. Ta wierność odbicia, przyznać trzeba, ma pewien swój powab. Za jakie pół wieku, kiedy fizyognomia miasta i jego obyczaje ulegną zmianie, kartki te, o ile nie spłowieją, stanowiąc mogą interesującą przypomnienie chwili dla przyszłych czytelników.

Ale prócz tego, w zbiorze tym jest jeszcze kilka obrazków bez tój barwy lokalnej i bez tendencyi, osnutych na tle psychologii bezwzględnej, w których rolę główną odgrywa uczucie erotyczne. Mało przedstawiają interesu „Odnowione rany,” na widok człowieka, który świadomie czy nieświadomie odwrócił od opowiadającego serce kobiety i szczęście jego zrujnował, a sam teraz równie zrujnowany, minione swe szczęście oplakuje na cmentarzu. „Nie miała szczęścia” i ta młoda dziewczica, której miłość nie mogła starczyć za wszystko ambitnemu młodzieńcowi, rwącemu się do wysokich zadań życia. Najzabawniejszym jest „Mój przyjaciel Jacenty,” rzeźbiarz, który od dzieciństwa

wierny jedynéj miłości, ale onieśmielony swą brzydota fizyczną, nie śmie wyraźnie upomnieć się o szczęście, jego zaś ideał „o wążkiem czole“ a tém samém i o wążkiej inteligencji, nie domyśla się celu jego zabiegów, choć serce za nim przemawiało zawsze; tak iż pomiędzy tą nieśmiałością i niedomyślnością, szczęście obojga przesliznęło się gdzieś i upadło na zawsze. Rzecz przeprowadzona dowcipnie.

Jeszcze jedna jest cecha łącząca te utwory ze społeczeństwem. Od lat kilku, nietylko obrazy malarskie o szerokich i wykończonych rozmiarach interesują ogół, ale zrobił się jakiś modny ruch ku szkicom i drobnym okazom. Kto tylko umie władać ołówkiem lub pędzlem, pospiesza złożyć owoc swych natchnień na wystawie. Jak gdyby pod tym samym podmuchem i pani Marrené, społeczna par excellence, stosując się do upodobań chwili, myśli swe dokroiła do tego kierunku, i złożyła na wystawie literackiej. Są to tedy same roboty szkicowe, z których najlepiej analizą uczuć i inteligencji małej bohaterki; tak, jak ze sfery erotycznej najwydatniejszym jest „Mój przyjaciel Jacenty.“ Ta szkicowa treściwość nie doprowadza jednak do suchości opowiadania, które toczy się w zwrotach, posiadających zalety literackie, i nie pozwala czytelnikowi zasypiać. Sposób, w jaki autorka rzecz swą prowadzi, pomimo treściwości, wybornie odbija myśli przewodnie. Styl jej nie jest bynajmniej miniaturowym (miniatury teraz nie są w modzie), nie jest poetycznym, ale szkicowym i realistycznym, nawet w najbardziej wykończonych drobiazgach. Kiedy kto jednak hołduje realizmowi, powinien być baczniejszym w stylu, mającym ją odbijać. Tymczasem pani Marrené opisuje altanę, ocienioną dzikiem winem (str. 176), „którego upajające wonie...“ Upaja wprawdzie, ile wiemy, wino ucywilizowane, ale żeby dzikie upajało wonią, o tém nie wiedzieliśmy dotąd. Jej pan naczelnik, „nosił brodę i wasy starannie wygolone;“ tak jakby można było nosić to czego niéma. Ale są to tylko zapewne lapsus calami, tak jak kilka innych, nad któremi rozwodzić się nie będziemy.

Inne powietrze powiewa z „Czterech Nowel“ pani Maryi Konopnickiej. Autorka staje również przeważnie na gruncie realistycznym, ale niemocną jest zapobiedz porywom ducha, który treściom, podejmowanym z życia nawet najbardziej powszedniego, nadaje poetyczne połyski. Stosuje się to nietylko do krajobrazów, nietylko do zjawisk natury, gdzie poezja wprawdzie nie ujęta w rymy płynie z bezwarunkową swobodą, ale nawet charaktery ludzkie, przy całej ostrożności obiektywnej, wdzierają się w ten pryzmat, który wszędzie towarzyszy wzrokowi poetów. Te krople poczui, sączące się poprzez organizm utworów, nadają pewien urok nowellom autorki, a z drugiej strony prawdziwość poetycznych szczegółów, służących za osaczenie przedmiotów, budzi pewną ufność w rzeczywistość treści; z tém wszystkiém

jednak połączenie to nie zawsze zaspakaja umysł skrupulatnego czytelnika, który, pod względem istotnego ducha utworu, czasami zadaje sobie pytanie: jestże to kompozycja wprost z życia zaobserwowana, przedstawiająca pewną sumę jego objawów rzeczywistych a więc nadająca się do typowego uogólnienia, czy też tylko na wyjątku oparta lub wprost w umyśle poetycznym wymarzona i tylko pozorami rzeczywistości okryta?

Wątpliwość tę budzi w nas mianowicie pierwsza zaraz nowela, „Michał Duniak“ przedstawiająca romans młodej wieśniaczki z żydem. Ze wszystkiego co nam daje autorka możemy mieć przekonanie, że zna ona wybornie życie wiejskie, kreśli bowiem i tu nawet jego świetną charakterystykę tak w rzeczach jak w osobach; musi zatem wiedzieć i o tém, że taki romans jest albo czemś nader wyjątkowem, albo zgoła niemożliwem; jeśli zaś zdarzają się wypadki, to tylko w stosunku do płci odwrotnym. Im jakaś grupa społeczna bliższą jest stanu i warunków prostej plemiennosci, tém więcej odwraca się od plemienia obcego, tak jak zwierzę odpycha gatunek obcy. Wśród naszych wiosek znajduje się mnóstwo osad niemieckich, a czy słyszano kiedy o jakichś pomiędzy obu plemionami związkach, których początkiem i źródłem byłoby serce? A przecież to byłoby jeszcze możliwszém, mniej wyjątkowem. Wyobraźmy sobie, na przykład, na obrazie malarskim przedstawiony romans dziewczyny wiejskiej z młodym żydkiem... Byłoby to coś potwornego,—nie ze względów estetycznych, nawet psychologicznych,—ale wprost ze względów faktycznych i obyczajowych. Czyż mniej potworném wydać to ma się nam w obrazie literackim niż malarskim? Jeżeli mniej, to chyba dla tego iż nie uderza nas w mig, doraźnie i bezpośrednio jak obraz malarski; w gruncie wrazenie jest toż samo. Autorka nie spostrzegła tój potwornosci, bo patrzyła tylko na ludzi abstrakcyjnie, i ci ludzie zasłonili jój obyczaj konkretny z całą jego niezłomną surowością, a tym sposobem uogólniła w środkowisku społeczném to, co możliwém byłoby tylko na pustyni. Możemyz poprzestać na okolicznościach powołanych dla uprawdopodobnienia faktu? Kasia nie mieszkała na pustyni, ani nie była sierotą; a jakkolwiek stary Paweł Duniak ojcowską opieką nie może jój zastąpić matki, wszelakoż to jeszcze racya niedostateczna do usunięcia jój z pod wpływu społecznego. Autorka więc, dla wzmocnienia tój racyi, nadaje jój oczy urocze, rozumie się, w przekonaniu zabobonnych sąsiadek; skutkiem czego ogół, ze strachu, odwraca się od niój, gdy Kasia jest jeszcze dzieckiem; wyosabnia ją, i pozostawia pod wpływem sympatyj małego Uriela, syna sąsiadującego z Duniakiem, farbierza. Sympatya ta rośnie z czasem, i, co trudniej zrozumieć ze strony ojca, pod jego okiem przechodzi w namiętny erotyzm, którego skutki są dla obojga fatalne, a co rzecz nabardziej tragiczna, przechodzą na drugie pokolenie.

Przyjście na świat dziecka, owocu miłości nielegalnej i potwornej, rozpacz obu ojców, przymusowe ożenienie Uriela, śmierć Kasi, to dopiero niejako prolog do wypadków, stanowiących, według naszego

mniemania, przodującą myśl autorki. Jakoż stary Duniak, oddaje potajemnie nowonarodzonego na wychowanie odległej kobiecie wiejskiej, a sam gdzieś przepada. Syn Kasi i Uriela wychowuje się w religii katolickiej; takim w dziecięcym wieku odkrywa go żonaty już ojciec i pod jakimś pozorem bierze do siebie. Niebawem ojcowstwo to staje się powszechnie wiadomem, zwraca na się srogą uwagę kahału, który wydaje wyrok taki, że Michałek Duniak musi albo zostać żydem, albo umrzeć, boć to zgroza w obec prawowierności Zakonu ażeby syn żyda miał chodzić po świecie ze znakiem krzyża. Odtąd, co poczęło się w fikcyi, przechodzi w najprawdziwszą rzeczywistość. Fanatyzm żydowski, nie mogąc złamać woli ojca, który przez pamięć dla ukochanej i miłość dla dziecka, odmawiał wydania go pod kierunek judaizmu, podstępnie zamordowuje Michałka.

Teraz dopiero gotowiliśmy upewnić, że autorka myśli zasadniczej nie wysnuła z głowy, ani też faktu naocznie nie widziała. Ale czytała ona głośną przed dwoma laty sprawę żydów Ritterów w Galicyi, gdzie stary Ritter, ojciec rodziny, pozostając w związkach erotycznych ze swą służącą chrześcianką, dziewczyskiem ohydny, pod naciskiem zapewne kahału (który dyskretnie został na uboczu), a z pomocą domowników, zmuszonym był uprzedzić skutki swych związków przez utopienie współniczki, a wszystko to dla ocalenia przyszłej istoty ludzkiej przed chrześcijaństwem. Dwa razy sąd przysięgłych skazywał podsądnych na śmierć; i tylko sąd najwyższy wiedeński w swęj sprawiedliwości wyroku tego nie uznał. Pozostał jednak fakt, w sumieniu ogółu nie ulegający żadnej wątpliwości. I ten to fakt znalazł odbicie w niniejszej noweli, *mutatis mutandis*. Autorka prostą rozpustę zamieniła na miłość, bohaterom nadała uczucia delikatne i piękne, błąd wytkómaczyła młodością i odosobnieniem: słowem, zepsuła prawdę na korzyść poezyi, a nawet i zepsucia tego uniknąćby mogła przez przeniesienie stosunków miłosnych w sferę kultury wyższej, gdzie cechy i instynkta plemienne słabną pod wpływem czynników cywilizacyjnych. Pod ręką p. Konopnickiej prosty wypadek kryminalistyczny wystąpił w barwie dramatu, któremu niebrak siły w uczuciach zarówno jak grozy w sytuacjach, zwłaszcza przy spisku kahalnym na życie Michałka; obok tego zaś cały ton opowiadania stosuje się do miejsca i świata, w którym autorka postawiła swój przedmiot. Bogactwo motywów sprowadziło brak harmonii w budowie, która za ciężka jest i za rozległa na nowellę, za szczupła i za mało wyzyskana jak na powieść.

Oszczędność motywów psychicznych w nowelli „Ultimus” zastąpiła autorka malowniczością scen. Jak Kraszewski „Kołek w płocie,” tak ona tu znikczemniałego żórawia assymiluje do młodego chłopca szlacheckiego rodu, który folgując namiętności, nikczemnieje, łącząc się z bandą opryszków i koniokradów, skutkiem czego pada ofiarą lekkomyślności, matkę zarazem o śmierć przyprawiając. W gruncie tej opowieści tkwi także dramat: jest to bowiem skutek zemsty odepchniętego niegdyś konkurenta matki, który stanąwszy na czele bandy, za-

przysiągł sobie zniszczyć jój dziecko. Śliczny koloryt obozu cygańskiego rzuca blask poetyczny na ten obraz o charakterze ponurym.

Lecz cóż bardziej rozdzierającego duszę nad tę społeczną epopeję nieszczęścia jaką autorka kreśli w nowelli zatytułowanej „Pod prawem.“ Są to dzieje młodej dziewczyny, służącej w Warszawie, która, nie chcąc wydać kochanka z kradzieży, jakiej się dopuścił, sama niejako przyjmuje występki jego na siebie, a obarczona pozorami, ulega karze trzyletniego więzienia. Bohaterska Hanka cierpi tedy podwójnie; ale czemże jest ów zawód w miłości, w porównaniu z losem, jaki jój gotuje „prawo“ po wyjściu z więzienia. Skazana na pobyt w mieście powiatowem, zniszczona, odarta, rozpoczyna to życie nędzy i upokorzenia, jakie jest prawie zawsze i do końca, udziałem istot oznaczonych piętnem hańbiącym. Każdy pod tém prawem zdaje się mieć prawo zelżyć taką istotę, odtrącić, sponiewierać, rzucić w twarz wyrazem „złodziejka;“ a już co najmniej czuje się upoważnionym niedowierzać, serce i drzwi przed nią zamykać. Nikt nie zajrzał do duszy Hanki, nie dostrzegł tam czystości niepokalanéj, i więć bohaterstwa przypisywał charakterowi. Nie będziemy za autorką kreślić wszystkich wypadków jakim ulega ta nieszczęśliwa, wszystkich bezprawi jakich staje się ofiarą, wszystkich pokus na jakie wystawia ją nędza i powierzchnowość, wszystkich bezceństw jakich się małoduszni względem niej dopuszczają, aż niezłomna w cierpieniu i cnocie, dzięki najfałszywszym pozorom i intrygom znowu utracą wolność ale już na całe życie.

I znowu musimy powiedzieć że mieści się w tém wszystkiém dużo przesady, że bohaterstwo Hanki jest bardzo wyjątkowe, że zawiele na jedną głowę zwalono, przez co i tendencya tego obrazu przenosi niejako cel, do którego zmierzała; ale grunt myśli jest zanadto prawdziwym, i dla tego cały ten szereg wypadków, jako wynik źle urządzonego stosunku społecznego, posiada wszystkie cechy prawdopodobieństwa, témbardziej iż autorka, pisząc to, trzymała bacznie rękę na pulsie społecznym i wszystkie jego drgnienia oddała z zadziwiającą wiernością. Tysiąc dramatów kiełkuje w tém opowiadaniu, a każdy z nich dostatecznym byłby do zbitcia istoty ludzkiej z drogi dla niej właściwej i zbawiennéj. Czy kiedy drogi te wyrównają się u nas? Czy losy takich, jak ten tu opisany, przejdą kiedy do historii? Nie od reformy więzień i kazuistyki kryminalnéj zależy to tylko, ale od wszystkich zadań podstawowych, a mianowicie od wychowania tych, którzy nigdy wychowywanemi nie byli i nie są. I dola Hanki nie byłaby taką, gdyby na jój drodze nie stanął „złodziej;“ a następnie zachwycony jój wdziękami a mściwy za jój obojętność „sekretarz.“ Trudno to bezbronnemu ostać się między potworami.

Wśród tych okropności jakich celem stają się te trzy utwory, miłą dystrakcyę sprawia nam prawdziwa na ten raz nowella „Wojciech Zapala;“ — nie, i to nie nowella, to poemat w prozie, którego bohaterem jest stary wiarus napoleoński, obecnie gajowy. Zestarzały, od ran na zdrowiu zapadający, biedny, jedném słowem nędzarz bez przy-

szłości, wyniósł on z życia jeden skarb, który mu towarzyszyć będzie do śmierci: to zapał dla swojego wodza, którego on widzi nieustannie gdzieś za obłokami, wspomnienie, które wiecznie go czyni młodym i starość jego entuzjazmuje jak pieśń poety. Zapał ten przelewa on w serce swego małego wychowanka, który trapi go ustawicznie aby mu pokazał tę postać mistyczną, tego uwielbionego „cesarza.“ Staremu trudno wśród puszczy o konterfekt, ale pragnie zadowolnić gorąco żądę małego prozelity. Nosi się z myślą, i nie mając pojęcia o snycerstwie, drżącą ręką z prostego dębczaka wyrzyna podobiznę bożyszcza. Oto jest nowe streszczenie „ody do młodości,” cud zapału i serca przepełnionego wiarą w ideał. Co za śliczna myśl! A jak to wykonane, jakaż artystyczna cyzelura tego klejnocika literackiego. Myśl podniosła a umieszczona w ognisku naiwności i prostoty, która swemi środkami tak ograniczonymi a pełnemi szczeroty oddaje ją w zupełności, łąkę i uśmiech zarazem wywołując. Poemat swój kończy autorka apostrofą:— „O! wieku, co blaski swoje rzucasz w cienie i chłody dni naszych, i zapalasz ogień w biednej chłopskiej piersi, i dajesz chwilę szczęścia czarnej chłopskiej chacie, i uczysz pacholeta bose iść po ścierniskach życia ku ideałowi — o, wieku!”...

Jak to! czyżby p. Konopnicka nie była zadowoloną ze swojego wieku, tak apoteozowanego przez jęj współwyznawców, z wieku nauki, postępu, niepodległości sumień, z wieku krytyki i trzeźwego na rzeczy poglądu? Prawda, że ten wiek nie darowałby jęj takiego „Wojciecha Zapały,” idioty, który czci fałszywe bóstwo ściągnięte z piedestału przez najświeższą krytykę, i drugim idiotom zawraca głowę. My jednak jesteśmy wyrozumiali na ten atawizm poetycki, który przodka swojego odnajduje w Mickiewiczu.

Nietyle pomysłami, ile od innych znanych nam nowellistów wyróżnia się p. Konopnicka oryginalną obrazowością, dramatycznym scenizowaniem, a przedewszystkiem dykcją, która wszędzie u nięj stanowi jakby kwieciste, poetyczne podścielisko dla myśli mającej się uzeńtrznąć w utworze.

Do tęg wystawy szkiców i obrazków przybywają dwa tomy pani Elizy Orzeszkowej, mieszczące treści rozmaite, od rozbiórów psychologicznych aż do anegdoty. Zaczyna już snadź brakować nazw figurycznych dla szkatulek z biżuteryami, bo wydanie tych dwóch tomów, zdobnych illustrowaną okładką, nie wskazuje nawet powierzchownie łączności jednego tomu z drugim, a każdy tom, naśladowując edytorstwo paryżkie, markuje się tytułem jednego z pomieszczonych w nim utworów. Nie możemy więc nawet czytelnikom należycie zatytułować tęg osobliwęg edycyi, zaopatrzonęg firmą autorską jedną z najpoważniejszych.

Ale jak w pracowni wydatniejszego malarza, obok dzieł celujących, stojących na stalugach lub rozwieszonych na ścianie, znajdują się do kącikach utwory, do których on sam nie przywiguje wielkięg wartości

i na które też zwiedzający pracownię ledwie rzuca okiem, tak podobne wrażenie czyni nam i zbiór niniejszy. Zdaje się iż autorka na jakieś nalegania natrętne, chętnie czy niechętnie ogołociła całą swą pracownię, nie tylko z drobiazgów cennych, ale nawet takich, które dotąd bez ujmy dla swjej niepospolitej firmy trzymała w tece. Mogę się mylić co do faktu, wypowiadam tylko wrażenie.

Rodzaj talentu powieściowego pani Orzeszkowej dotąd zwykły był poszukiwać tematów i sytuacji dramatycznych; był to zapewne popęd naturalny, a więc prawowity: zyskiwał też i powodzenie, które i my niejednokrotnie mieliśmy sposobność poświadczyć. Jakoż i w niniejszym zbiorze, ilekroć myśl jej uderzy o skałę dramatyczną, jakaś tam zawsze mniej więcej świetlana wybuchnie iskierka. Ale p. Orzeszkowa daje się powodować dzisiejszej doktrynie, która wynosi opisy i rozbiory faktów życiowych odbywane na zimno, w tém sobie pewien tryumf zakładając, ażeby dekoracya nie przeszkadzała pracy anatomicznej nad człowiekiem samym. W takiej snadź myśli wprowadza autorka w świat „Pannę Antoninę“ podstarzałą nauczycielkę domową, która namordowawszy się w życiu spędzonym sucho, zimno, wśród rozczarowań i niedostatku, kończy je samotnie w szpitalu. Jest to bez wątpienia historia, ryczałtem wzięwszy wielce prawdziwa, tylko niedość rozumiemy cel jej opowiedzenia, po bardzo wielu innych opowiedzeniach. „Panna Antonina“ nie posiada nic właściwego, chyba to, że „gdyby miała dwanaście córek, wszystkieby wy kierowała na profesorów uniwersytetu,“—zwrotka, którą powtarza przez cały ciąg swych lat ostatnich, albo to, że w braku innej lektury, studjuje traktaty strategiczne, i nawet uczennicę z tą umiejętnością oświadczenia. W jej fizyognomii czysto ludzkiej niema wreszcie żadnego rysu znamiennego; pozostaje tylko guwernantka dobrotliwa, niepraktyczna i nieco dziwaczna. I toby jeszcze zainteresować mogło, lecz pod warunkiem owej formy serdeczno-humorystycznej, jaką wyłącza swe tego rodzaju charakterystyki Prus; lecz tego samego o formie „Panny Antoniny“ powiedzieć nie można; forma to nudna. Określnik taki niema wprawdzie wartości w estetyce; my go też bierzemy tu nie w znaczeniu czynnika, lecz w znaczeniu skutku: skutek ten zaś wynika ztąd, że nagromadzone szczegóły opowiadania są blade i bez żadnego urozmaicenia ugrupowane, powtarzające się rozciągliwie i bezbarwnie.— To powtarzanie szczegółów bardziej jeszcze daje się uczuć w „Romanowej,“ gdzie urwis syn peryodycznie upija się, trzeźwieje, powraca do statku i tak aż do skutku; lecz tu nad rozwlekłością, nad brakiem inwencji, panuje wiernie pochwycone uczucie matki, prostej chłopki; która kochając iście po macierzyńsku, męczennica miłości, wdowa opuszczona, żyje w ciągłej fluktuacji pomiędzy cierpieniem i otuchą, i nigdy wiary nie traci w tego syna, który, nie mogąc zapanować nad narowem, staje się jej życia torturą. Chociaż zatem brak i tu urozmaicenia jak w treści tak zwłaszcza w formie, jednakże z całości opowiadania występuje w swjej sympatycznej prostocie prawdziwa postać matki bolejącej, przed któ-

rażą pomimo jej łachmanów, mimowolnie uchyla się czoło. „Panna Antonina“ nie mogła w nas rozegrzać współczucia; jest to życie skwaszone:— „Romanowa,“ jest to życie bohaterskie które za serce chwyta odrazu. Autorka tu wstąpiła na jeden szczebel dramatu, i zaraz też koło niej rozgrzewa się atmosfera artystyczna, która miałaby jeszcze więcej napiętości, gdyby opowiadanie było bardziej zwartém.

Trafną, dowcipną i w beletrystyce zgoła nieużytą jest obserwacja kryjąca się pod ironicznym tytułem „Dobra pani.“ Tytuł ten stosuje się do młodej i bogatej wdowy o sercu nadzwyczaj promieniejącém i egzaltowaném; potrzeba miłości jest jego naturą, cho robą, cechującą się tém, że serce nieustannie żądne karmi, wymaga zarazem urozmiaienia przedmiotów. Jak się dowiadujemy w ciągu osnowy, po śmierci męża, wdowa porwała w ognisko uczuć nasamprzód młodą dziewczynę z folwarku, by ją, zagrzaszwszy przy swém sercu, wyprowadzić na wyżyny świata; ale niebawem przeszkodził temu przedsięwzięciu jakiś światowy elegancki gach, notabene żonaty; potem ksiądz; tak iż owa ukochana dziewczyna folwarczna, przed tym nowym napływem, z salonu musiała przejść na stały pobyt do kredensu, by tam schnąć, starzeć za młodu, i pod figurą uległej, oddanej pokojówki żywić ku „dobrej pani“ niewygasłą nienawiść za złamanie życia fałszywą obietnicą. Miejsce jej w sercu i salonie zastąpił pinczer; ale i ten obecnie skazany został do kredensu przed sierotką z Nadwiśla, którą pani, zachwycpna jej powierzchownością, wydziera ubogim krewnym dla zrobienia z niej wielkiej damy. Karesom i uniesieniom niema końca, tylko że kiedy Helusia wchodzi już na dobre w tryb życia wielkoświatowego i cała jej psychiczność do tego się układa, z kolei ustąpić musi miejsca artyście włochowi, i zejść za pinczerem do kredensu, a następnie wrócić do opuszczonej chaty krewnych, by tam stanowić niesforny ton w akordzie ubóstwa, pracy, zdrowia i wesołości. Niezwykłą zaletą obrazka jest ten obiektywny ton ironii, jakiego autorka używa dla odkrycia wnętrza najbrutalniejszego z egoizmów, który dla dogodzenia sobie igra z najdroższą rzeczą człowieka, z uczuciem; każe się kochać, a potem bezlitośnie odtrąca, i wydzierając z miejsc właściwych istoty ludzkie, rzuca je bezwładne i bezbronne na rozdroża. Pomimo szczupłości rozmiaru, figura „Dobrej pani“ Eweliny Krzyckiej, rozrzucającej bluźniercze uczucia i przekłete dobrodziejstwa, występuje oświetlona żywo, a ze swém internowaniem istot przez się zużytych wygląda jak swojego rodzaju Sinobrody.

I oto jest zawartość pierwszego tomu, zostającego pod wezwaniem „Panny Antoniny.“ Drugi tom rozpoczyna perła, nie, coś droższego i piękniejszego,—łza obywatelki nad dolą reprezentowaną przez biedną dziewczynę, która chcąc być użyteczną społeczeństwu i uczciwie pracować na kawałek chleba, pozwala sobie uczyć dzieci „A, B, C,“ Nie możemy tu bliżej określać téj zgrozy, jaką w mocach piekielnych obudza czyn tak wielce karygodny, ani prostować umyślnéj omyłki etnograficznej autorki, ale możemy ją zapewnić żeśmy z bijącym ser-

cém towarzyszyli jój bohaterce—o! prawdziwój bohaterce do sali sądowej, i szczerze wdzięczni jesteśmy za tę malowniczą kartkę z kroniki społecznej.—Zkąd autorce przychodzą do głowy takie okropne tematy, jak owo odkrycie uczynione przez młodego prawnika w nowelli „Przy dochodzeniu śledczém?” Jest to demokrata, żywo i mściwie odczuwający całą bolesną przeszłość ludu, co tém chlubniej go przedstawia, że sam pochodzi bezpośrednio z rodu uciskających. W liście zaczętym do przyjaciela wyjawia się on ze swemi uczuciami, zaprzysięga sobie być mścicielem legalnym krzywd choćby do dziesiątego pokolenia, synom i córkom dawnych ciemiężców okazywać nienawiść i wżgardę: cóżby dał za to, gdyby mógł stopę postawić na głowie jednego z takich, dla których ma w duszy jedno tylko gorące i nieskończone przekleństwo! Jako sędzia śledczy ma on do czynienia ze starym chłopem posądzonym o kradzież; a z toku śledztwa okazuje się że ten chłop, dzięki dawnemu panu, doprowadzony został do utraty mienia i zdrowia, na starość do nędzy i żebractwa, skutkiem czego obecnie zaplątał się bezmyślnie w sprawę kradzieży. Naiwnej opowieści tego nędzarza słucha sędzia z wzrastającym oburzeniem, i kiedy głowa jego razem z sercem pracują nad sposobem pomszczenia tej jednej z miliona krzywd, dowiaduje się w końcu że tym panem włości, tym sprawcą krzywdy, był jego rodzony ojciec. Jakże on teraz pogodzi swoje postanowienie z tém niespodziewaném odkryciem? Nam się zdaje, że nic prostszego: dobrzy synowie a ludzie prawi, zazwyczaj, w miarę środków spłacają długi ojców choćby nie poparte rewersem; tylko się to odbywa bez przekleństw dla przeszłości które w niej nic już nie zmieni, ani nie poprawią: nienawiść i pogarda, to żywioły destrukcyjne, a w zastowaniu do widm bezsensowne.

Pytaliśmy się siebie co znaczy w zbiorze taki szkic ulotny, jak „Tadeusz,” — dzieciak wiejski, który towarzysząc matce w ogrodzie dworskim przy pielieniu, zapędza się opodal za kwiatkami i owadami, i tonie w strumieniu. Pomimo wdzięku, z jakim mniej lub więcej opisaną być może taka pogoń naiwna, beztroskliwa, u kresu której znajduje się śmierć, jeszcze to nam nie tłómaczy powodu do nakreślenia jednego z tysiąca zdarzeń. W poezji formalnej, rozumiemy. Tam ma to zawsze znaczenie życiowych kontrastów, niespodzianek, i taka arabeska mogłaby przez samą formę ozdobić jedną stronicę albumu. Ale my wiemy aż nadto dobrze, iż pani Orzeszkowa nie zwykła pisać dla formy, lubować się sztuką dla sztuki; ona tam wszędzie na dnie umocowuje jakąś ideę tendencyjną: taką widzieliśmy ją zawsze. I tu nie obeszło się bez idei, choć nibyto pobieżnie potrąconej. Ten mały Tadeuszek jest nietylko rozkoszą swoich rodziców, ale ich opatrnością, zakładem spokoju i domowego szczęścia: jedynak, który przyjęciem swém na świat przyczynił się do ustatkowania ojca. Matka oprócz miłości żywi dla niego wdzięczność. Uczy go czci Boga; na chwilę jeszcze przed katastrofą, przechodząc z niem obok figury Najświętszej Panny, zatrzymuje się by dziecku położyć znak Krzyża świę-

tego i polecić je opiece nieba. Figura ta panuje z wyniosłości nad całym prosektem, pod jej osłoną Tadeuszek zrywał kwiatki, najpiękniejsze za każdym razem przeznaczając „dla Bozi;“ i jeszcze po katastrofie „w niszy kapliczki, korona świętego posagu jaśniała i promieniała,“ obojętna na tyle niedoli. Al więc jest to oskarżenie tej Opatrzności zaziemskiej o nieczułość dla ziemi, jest to naigrawanie się z naiwnych głupców, którzy w przywidzeniu czerpią swoją siłę i nadzieję, bo oto... Nie obchodzą nas przekonania pani Orzeszkowej. Może ona sobie „marzyć“ że kędyś „istnieje mgławica jakaś ogromna i niezgłębiona, złożona z dusz,“ i t. d. (tom I, str. 56), i tym sposobem dawać pewną miarę swego pojęcia nieśmiertelności. Ale insynuacje tego rodzaju, przenoszone z warsztatów myślicielskich do książek popularnych, to rzucanie petard ateistycznych wśród ogółu mocno wierzącego, uważam po prostu za manię, nie mającą innego celu nad schlebianie stronnicztwu i zaświadczenie z nim solidarności. Bo i jakież skutek praktyczny takiej insynuacji? Współwyznawcy i bez niej śmieją się z Opatrzności, wierzący oburzają się na to. Jest to zatem piąte koło u woza. Gdyby zaś podobna insynuacja miała istotnie zamierzony wpływ wywierać na tych ostatnich, byłaby występna, odbierając jedyny środek (może nie zawsze skuteczny) ograniczający od zdziczenia maluczkich (dziś zwłaszcza), wywołujący skrupuły sumień, świetne restytucje przywłaszczeń, tworzący związek serc, rąk i wido-ków. Co pani Orzeszkowa ma dzisiaj do ofiarowania bezpośrednio dla zastąpienia tego środka, który stara się swemi insynuacjami osłabić? Ta kobieta, która niedaleko od miejsca zamieszkania p. Orzeszkowej, przed miesiącem na stacy Radziwiliszki, w interesie swjej chuci miłosnej, wyrzuciła dziecko z wagonu i sięgała po drugie, z pewnością nie wierzyła w opatrzność i nie miała Boga w sercu. Spełniła insynuację. A taka matka Tadeuszka, przeboleje, zgodzi się z wolą Bożą i pozostanie całe życie kobietą uczciwą.

Dobraliśmy się do *raison d'être* tej noweli, która bez owjej ukrytej myśli miałyby znaczenie bardzo umiarkowane; ale następna zaraz p. t. „Gedali,“ prócz formy, w naszych oczach nie posiada żadnego. Moznaby jej dać tytuł: z wielkiej chmury mały deszcz; bo żyd handlarz, oskubujący cudzy groch, już ma być pociągnięty do odpowiedzialności sądowej, kiedy skutkiem dawniej znajomości z właścicielem folwarku doznaje wielkiej względności i u niego i u całej rodziny, a nawet zyskuje sposobność do małego wyzyskania kieszeni domowników przy sprzedaży im towarów. Kilka trafnych rysów z charakterystyki szlachecko-zaściankowej, myśl przejednawcza,—oto cała zaleta anegdoty, przydatnej chyba na jakiś powieściowy epizod, a tu użytej tylko za okazję do wypowiedzenia kilku pouczających przypowiastek talmudycznych.

Alie utworów zamykający tom opowieści „W zimowy wieczór,“ to prawie dramat Dramatycznie przynajmniej poczyną autorka wprowadzając na scenę człowieka, który o zmroku tajemniczo przedziera się przez wąwozy, wzgórze i zarośla, zatrzymuje się przed kaplicą, potrąca o jakies

dawne wspomnienia widocznie z lepszych dlań czasów, kiedy oko jego jaśniało wesołością a sumienie było czyste. Dąży on do wsi i wchodzi do chaty, w której liczna rodzina z patriarchą na czele, zgromadzona około ogniska wesoło gotuje się do wieczornej biesiady i komunikuje sobie świeże wieści o zbiegłym rozbójniku Bąku. Gość dziwny z fizyognomii, nikomu nieznanym, doznaje ludzkiego przyjęcia i zawiązuje się urywana rozmowa, skierowana do tego, ażeby dowiedziano się w chacie z kim mają do czynienia. W tej chacie brak jednej osoby: najstarszego syna. Dzielny to był i serdeczny chłopak, a krwi niezmiernie gorącej. Za burdę, której pobudka była szlachetną, wtrącony do więzienia, po trzech latach innym powraca do chaty. Swoi go nie poznają. Wzbogacony trzechletnią edukacją towarzyszków, zdziczały, niesforny, sielskiemu obyczajowi obcy, niebawem pod twardem słowem ojca opuszcza chatę, idzie po manowcach życia, częstokroć z chęcią zwrócenia się na drogę prawą, ale powstrzymywany ręką sprawiedliwości, zbyt konsekwentnie przeprowadzającej groźę kodeksową, siłą mięśni szuka schronienia przed prawem na drodze bezprawia. Dziś już i grabieże i morderstwa zaciężyły na jego sumieniu, po przez zdziczałą naturę przebija się atoli jakiś połysk dawnego światła, jakiś żal za przeszłością czystą, ale już zapóźno—na jego głowę nałożona cena. To ten straszliwy Bąk, przestach okolicy, to ten syn zbiegły z ucziwej chaty. Jakież muszą być wrażenia jego duszy, kiedy powróciwszy dziś obcy, rozgląda się w tém szczęściu i spokoju wszystkich swoich, którzy go teraz tém mniej poznają! Tu brzmią śmiechy i żarty, rozlegają się wieczornice, a tam za drzwiami tej chaty czeka na niego wieczna włóczęga, głód i zimno, albo więzienie do skonania. Z całą oszczędnością efektów, ze stopniowaniem wrzuseń, maluje tę bolesną scenę „Zimowego wieczoru“ autorka barwami w których plastyka szczegółów realnych dostatecznie się uwydatnia i zniewala prawdą. Jeden tylko ojciec poznaje zbiega, który wobec podejrzeń gromady ma się już ku odwrotowi, ale w wezbraniu serca rzuca się do nóg staremu i całując oblewa je łzami. „Idź i więcej nie grzesz:“ mówi doń rozetławiony ojciec, wsuwając mu w rękę jakąś zapomogę. Oprócz alluzji do skutków więzienia, w czém p. Orzeszkowa spotyka się z panią Marrané (Czarna Maryś) i p. Konopnicką (Pod prawem), niema tu innej tendencji, ale jest obraz przedstawiający dosadnie i przejmująco wielką chwilę życiową, chwilę pełną grozy, na którą składały się całe lata wypadków, kierunków, okoliczności pochłaniających człowieka w części zależnych od jego woli, w części miotających nim jak wiatr pomiata piórkiem: i oto chwila taka, jak owoc dojrzały pod wszystkimi zmianami powietrzni, jak kula, której materiał wybuchowy dotyka długo tłącego się zarzewia, nadbiega: piorun pada i roztrzaskuje się pod stopami przechodnia.

Przejrzeliśmy tedy zbiory trzech autorek najgłośniejszych imion i przyznać musimy że wszystkie one podobne są do siebie w jednym mianowicie kierunku: wszystkie przeważnie interesują się krajem,

a jego sprawy stoją na głównym planie ich myśli, wszystkie znają i odczuwają jego potrzeby, a radeby coś w nich załatać. Jeżeli jest to następstwo upodobanego dzisiaj realizmu w sztuce, nie mamy nic przeciw takiemu realizmowi, choćbyśmy nawet spierali się z nim częściowo. Są tam wszelako znaczne różnice rezultatów literackich, co zależy od temperamentu pisarskiego i stopnia talentu, który przecież nie wyczerpuje się cały w tych kartkach. Największą summe sporządzeń praktycznych, ale też i najchłodniej skreślonych, dała nam p. Marrené, najwięcej wzruszeń otrzymaliśmy od p. Konopnickiej, myśli od p. Orzeszkowej.

Ale to cośmy przejrzeni tutaj, stanowi zaledwie cząstkę tój powodzi nowellistycznej, jaką sprowadził początek tego roku lub koniec przeszłego, przy zwykłym ruchu księgarskim noworocznym. Za nami i z tej chwili i z lat poprzednich zostaje bardzo wiele, nie licząc robót świeżo rozrzuconych po felietonach. Co ma znaczyć ten objaw gorączki nowellistycznej, objaw bardzo niedawny a tak napięty? Widocznie doznaje on protekcyi ogółu, skoro wydawcy, niewolnicy gustów bieżących, ubiegają się o tego rodzaju produkcyę, a nawet kilkakrotnie ogłaszali na nie konkursy. Pragnąłbym odgadnąć przyczynę tego faktu.

Literacka forma nowelli, jak wszystko, przyszła do nas z zachodu, ale tam było co innego. Heyse, Ouida, koryfeusze rodzaju, nie za co innego uważają nowellę, jak tylko za miniaturę powieści, odpowiednią osnowie i niczego innego nie żądają od niej tylko zadość uczynieniu warunkom artystycznym w oddaniu pewnych wzruszeń serca lub wyobraźni; do czego innego służyć im nowella niema potrzeby. My nie ograniczyliśmy się na tém powołaniu. Przeistaczamy nowellę według siebie, według swych poglądów i potrzeb, co świadczy o pewnej niewygasłej sile żywotniej umysłu, który niezdolny wprawdzie do inicjatywy, ale assimilując coś zkadınad, jeszcze rzecz obcą przerabia i przetrawia w sobie. Owóz do artystycznego żywiołu nowelli w znacznej części przyczepiamy żywioł utylitarny, a dodatek ten wynika z naturalnej przyczyny warunków otaczających. Każdy z nas ma coś do powiedzenia od siebie, co uważa za pożyteczne dla swój społeczności; tyle jest do powiedzenia, a tak mało miejsca, gdzieby głos w materjach wszechstronniejszego znaczenia zabierać można. Gdzieindziej kędy miejsc jest podostatkiem, a przecież wychodzą jeszcze osobne traktaty, broszury, memoriały, pamflety. Nasi pisarze wiedzą dobrze, iż wszelkie poważnie, rozciągle i systematycznie traktowane przedmioty nie są w upodobaniach ogółu, który w czytaniu poszukuje dziewięciu dziesiątych rozrywki, ażeby przełknąć jedną dziesiątą trudu. Odepchnął zdaje się książkę stanowczo, kazał sobie podawać czasopisma, ile być może lekkie, a z obrazkami. Chcąc tedy zabrać głos poważny, trzeba się się streszczać w jakim artykuliku, dziś napisanym, jutro przeczytanym, pojutrze zapomnianym, który wreszcie, choćby mieścił złote słowa, przez wydawniczo-koleżeńską życzliwość zostanie pokryty milczeniem o ile nie nadaje się do łatwój szykany.

Szukamy więc środków podzielenia się myślami, skradamy się, podszuwamy pod różne formy przystępne, bodaj pod kroniki tygodniowe i na drodze napotykamy nowellę. Ztąd prawdopodobnie, ten ruch tak nagle powstały i rozgałęziony; ztąd ta dwoistość charakteru formy, często przeciążanej tendencją i użytecznością, obok strony niezależnej i czysto artystycznej. Ztąd też i ta uderzająca różnica wartości pod względem sztuki. Kto jakkolwiek trzyma pióro w ręku, zdaje mu się, że bez wielkiego zachodu wybrnie ze swą myślą w utworze szczupłego rozmiaru i wymagającym mniej warunków: chociaż myli co do tego ostatniego szczegółu, gdyż bądź co bądź nowella jest dziełem sztuki, a trwałych dzieł sztuki dokonywają tylko mistrze urodzeni.

Lecz nawet ten fakt, gdybyśmy mu przyznali udział w objawie, jeszcze nie wyczerpuje wszystkiego. Jakkolwiek nowellę nazywamy dziełem sztuki, jest ona tylko gracikiem artystycznym, produktem rąk drobnych i tchu nierozległego, w porównaniu z powieścią lub dramatem. W sztuce i rozmiar materialny ma swoje znaczenie i nikt nigdy wysokiego ideału artystycznego nie zawrze w oprawie pierścionka. Im obszerniejszy rozmiar dzieła a dobrze wypełniony, tém jawniej okazuje się twórcy, tém doskonałej uwydatnia zewnętrznie wszystkie zalety a mniej zakrywa wady wykonania. Więc to rozpadnięcie się złotych natchnień narodowych na drobne srebrniki, miałożby oznaczać osłabienie twórczego tchu w narodzie, który nie zdobył się jeszcze na wielki dramat społeczny? Miałażby literatura piękna dać się pod tym względem wyprzedzić malarstwu, które niedawno jeszcze tak ubogie i drobne, zolbrzymiało w ciągu lat trzydziestu, gdy piśmiennictwo już zmordowane pragnęłoby wypocząć?

Kazimierz Kaszewski.

Faust. Tragedya Goethego. Przełożył Ludwik Jenike. Warszawa, 1887.

„Tempora mutantur et nos mutamur in illis” — powtarzał świat od kilku stuleci i pod wpływem pierwszej części owęj sentencji wytworzył sobie pojęcie oderwane czasu, tój jakby moralnej atmosfery, która, przenikając, wszystkie molekuly ducha ludzkiego, poddaje mu na podobieństwo hipnotyzera uczucia, wyobrażenia, pojęcia i zasady, stanowiące o moralnej wartości jednostek. Ten duch czasu, jakby strychnicem, sprowadza wszystko i wszystkich do pewnego poziomu, zmuszając każdą jednostkę przykrawać się do miary ogółu, kroczyć owczym pędem za innymi, bez względu, czy na to pozwala godność człowieka, lub czy na końcu drogi, w upadku, nie czeka ostateczne rozbitcie. Ileżto czynów niekczemych świat nie usprawiedliwił tym duchem czasu, ile mu nie poświęcił swych zasad, hołdując najnie-dorzeczniejszym teoryom!...

Że podobna atmosfera umysłowa i moralna bywa każdej epoce właściwą, o tém wątpić nie można; tylko wytwarza ją nie czas, ubiegający w wieczność chwil jednostajną przemianą; lecz własne nasze popędy i uczucia, którym pozwalamy rozwijać się w trujące zielska, lub kwiaty. Wszak już Goethe wyrzekł i to właśnie w utworze, o którego przekładzie mamy mówić obecnie: „Was ihr den Geist der Zeiten heisst, das ist im Grund der Herren eigner Geist, in dem die Zeiten sich bespiegeln”—a pomimo to, wciąż o duchu czasu prawimy i na karb jego wszystkie niedorzeczności własne i cudze składamy.

Ten rzekomy duch czasu, mający według wyobrażeń wielu jakiś byt rzeczywisty, przedmiotowy, najwyraźniej swoje pochodzenie w sferze ideałów ujawnia. Chcesz się przekonać, co warta pewna epoka, to przedewszystkiem pytaj, jakiego pokarmu należący do niej ludzie dla swego ducha szukają. Ci, co niegdyś znajdowali odzwierciedlenie swych uczuć w Pucelle d'Orleans Voltair'a i plugawych Węgierskiego utworach, lub, jak niedawnymi czasy w bachanaliach offenbachowskich, przedrzeźniających ideały starożytnego świata, lub wprowadzających mgły społecznego życia na scenę, byli sami, zaprawdę, wielce plugawego ducha i miątkiego, a poziomego umysłu. Nie duch czasu, lecz ich własne popędy, którym nie narzucali hamulca, dokoła nich zacządzoną atmosferę stworzyły.

Przecież i dzieła rzeczywistój, poetycznej wartości w pewnych epokach, dają miarę ogólnego duchowego nastroju.

Jeżeli jaka literatura na rozwój u nas romantyzmu wpłynęła, to bez zaprzeczenia niemiecka, której wysoką wartość i powszechno-dziejowe znaczenie wykazał pierwszy K. Brodziński. A jednak, choć wpływ dwóch jej koryfuszów w równym niemal stopniu na twory Mickiewicza, zwłaszcza z pierwszej epoki jego twórczości oddziaływał, to przecież podmiotowy, idealny w swoich dążeniach i pojmowaniu zadań ludzkości Schiller, więcej przypadał naówczas ogółowi do serca, niż obiektywny Goethe, zawsze trzeźwo zapatrujący się na życie. Schillera uwielbiano i tłómaczono przez cały ciąg romantycznego okresu; o Goethem mówiono wprawdzie, jako o wielkim artyście, ale zawsze z pewnym przekąsem. Refleksyjny charakter jego utworów, olimpijski spokój, z jakim na współczesne wypadki polityczne z wyżyn sztuki poglądał; zresztą jego ścisłe, na różnych polach naukowe badania, tak sprzeczne z przyjętymi ówczesnie u nas wyobrażeniami o naturze poetyckiego geniuszu, który cały zasób twórczości miał czerpać jedynie z nadziemskich natchnień, wynoszących go nad powszednią rzeczywistość i wszelkiej pracy mozoły—wszystko to zrażało ogół do wielkiego myśliciela-poety, w którym widziano zimnego tylko sztukmistrza, może właśnie dla tego, iż najpowszedniejszą rzeczywistość umiał do ideału podnosić.

Poczynając jednak od czwartego dziesiątka bieżącego stulecia, zaczyna się pod tym względem pewna zmiana ujawniać. Założona w r. 1841 „Biblioteka Warszawska”, pragnąc, jako organ poważnego

ruchu umysłowego, nawiązać pierwszą nić sympatyczną pomiędzy ogółem a utworami Goethego, zamieściła zaraz w drugim poszycie (m. Luty) dwa wyjątki z przekładów jednego z arcydzieł poety, w którym ten, na tle średniowiecznej legendy, odtworzył wszystkie wątpliwości i bóle nowożytnego człowieka, całe to wewnętrzne szamotanie się i rozdarcie, wynikłe wskutek zerwania równowagi pomiędzy jego duchową a cielesną istotą, wszystkie zresztą upadki i błędy w pogoni za ideałami prawdy, dobra i piękna, wszystkie nędze żywota, urągające podniosłym jego dążeniom. Mówimy tu o „Fauście”, na którego przekład złożyli się dwaj pisarze: Józef E. Paszkowski, znany tłumacz Shakespear'a i A. J. Szabrański, ówczesny redaktor Biblioteki. Pierwszy z nich dał część monologu „Fausta”, poczynającego się od odejścia famulusa Wagnera, do śpiewu aniołów włącznie, scenę w ogrodzie Marty i modlitwę Małgorzaty przed obrazem Boga Rodzicy; drugi „Sen z sobotki“ (sic!) czyli złote wesele Oberona i Tytaniji, scenę napisaną prozą pomiędzy Faustem a Mefistofeilesem, oraz scenę w więzieniu. Czy przekłady te, dość zresztą blade, wywarły na ówczesnych czytelników wrażenie i obudziły jakie zajęcie do samego utworu? nie wiemy; nie ulga wszakże wątpliwości, iż redakcja do ich ogłoszenia przystępowała z naprzód obmyślanym planem; w poprzednim bowiem poszycie zamieściła rzecz: „O dramacie fantastycznym“ Jerzego Sanda, w której autorka Lelii wypowiedziała swe krytyczno-filozoficzne poglądy na znaczenie Fausta, Manfreda i Dziadów, jako najwznioślesze kreacje w nowożytniej, europejskiej literaturze. Artykuł ten, podany w tłumaczeniu Szabrańskiego, przemilcza o Mickiewiczu z przyczyn dających się łatwo zrozumieć; ułożony jednak zrećnię, wyjaśnia trafnie istotę geniuszu Goethego. Że i w czasie późniejszym redakcja nie przestaje działać w raz obranym kierunku, widzimy to z prześlicznego przekładu „Hermana i Doroty” dokonanego heksametrem przez Ant. Czajkowskiego, który „Biblioteka” ogłosiła w t. IV., zeszyte V, z r. 1844. W epilogu do czytelnika tłumacz wyraża nadzieję, iż w obec utworów bez harmonii i ruchu, a które tysiącami się lęgną, tak piękny, jaki daje w swym przekładzie obrazek, powinien przyczynić się do podniesienia smaku i do traktowania, w równie artystycznym stopniu, czysto swojskich przedmiotów, zachęcić. Wprawdzie wskazanych przez tłumacza tematów nikt ze współczesnych nie podjął; hasło jednak przez Bibliotekę rzucone znalazło odzew w profesorsze Alfonsie Walickim, który około tego czasu przekładu całego Fausta dokonał. Co ważniejsza, że i nakładca się znalazł. Jakoż przedsiębiorcza i niezmordowanie czynna firma Zawadzkich, chcąc również do poważnych utworów wszechświatowej literatury w czytelnikach zamitowanie obudzić, zamierzyła cały ich szereg wydawać i w tym celu w rodzaju próby, wypuściła w świat dwa tomy, pod ogólnym tytułem: „Arcydzieła dramatyczne”, (Wilno, 1844—1845), a obejmujące: „Króla Jana“, Shakespear'a, w tłumaczeniu J. Korzeniowskiego, oraz

„Edypa króla“, Sofoklesa i „Fausta“ Goethego, część I., oba w Walickiego przekładzie.

Pod względem zewnętrznym było to wydanie nec plus ultra poprawne, jak w ogóle wszystkie wydania, wychodzące z tej firmy. Na białym, welinowym papierze, odbite drukiem czystym, wyraźnym i w swoim kształcie typowym, należało ówczas do tak zwanych edycji ozdobnych, zwłaszcza, iż do Fausta dodano kilkanaście stalorytów wyobrażających szkicowo różne z niego sceny, podług rysunków Corneliusa i do niektórych ustępów muzykę księcia Antoniego Radziwiłła.

Że jednak do podobnej biesiady duchowej tamtoczesne społeczeństwo nie było jeszcze należycie przygotowane, widzimy ztąd, iż pomimo że Walicki i drugą część „Fausta“ przełożył, dalsza jednak publikacja owych arcydzieł dramatycznych na zawsze przez wydawców przerwana została.

Pomimo tej nieudanej próby nie przestają się pojawiać w pewnych odstępach czasu drobne przekłady z Goethego.

W r. 1846 Ant. Czajkowski ogłasza tłumaczenie dramatu jednoaktowego „Die Geschwister,“ pod zmienionym tytułem „Brat i siostra“ (Wilno), o którym jednak krytyka ze względu na wybór przedmiotu odzywa się dosyć niechętnie. Wreszcie rok 1848 jeszcze jedną próbą przekładu Fausta literaturę naszą wzbogaca. Tym razem zadanie podjął rzeczywisty, wyższej miary poeta. Był nim Włodzimierz Wolski, dla którego pracy „Biblioteka Warszawska“ swoje łamy otwiera, Wolski właściwie dał kilka tylko, nie powiązanych z sobą ustępów; więc część monologu Fausta, poczynając od miejsca, gdy ten księgę Nostradama otwiera; następnie, po zniknięciu Ducha, apostrofę do czary, z opuszczeniem ostatniego chóru młodzieńców i aniołów; śpiew Gretchen przy kołowrotku: „Tak mi spokój pierzeł“, scenę w lesie i jaskini, modlitwę Gretchen i śpiew Mefistofelesa: „Co robisz tu u jego drzwi?“ Czy owe ustępy były z obszerniejszej, już dokonanej pracy wyjęte, czy też w tym tylko zakresie, w jakim wiedzimy, przełożone pod natchnieniem szczęśliwej chwili? odpowiedzi dać nie możemy. To pewna, że przekładu wcale nieźle dokonał. Wprawdzie możnaby mu zarzucić zbyt częste użycie rymów męskich, którymi Goethe tylko od czasu do czasu się wyrażenia podnosi; zapalna jednak, wybuchowa natura poety i na tym przekładzie w nich zaznaczyła swe piętno. Jeżeli jednak owe rymy jednozgłoskowe rażą nas w monologu Fausta, to natomiast w ustępach lirycznej natury, jak w śpiewie Małgorzaty, są one bardzo na miejscu. Co zaś najważniejsza, że obok wiernego oddania myśli w najdelikatniejszych jej odcieniach, Wolski zachowuje wszędzie miarę wiersza oryginalowi właściwą. Zestawienie z nim choćby krótkiego ustępu z apostrofy do czary, da nam pojęcie o zaletach przekładu.

Nun komm' herab, krystalne reino A więc, wyjdź czysta czaro kryszta-
 [Sohale] [Iowa,
 Hervor aus deinom alten Futterale, Z pokrowca, który cię tak dawno chował

An die ich viele Jahre nicht gedacht!	Lat tyle ciebie nie widziałem już!
Du glänzttest bei der Vater Freuden-	Przy ucztach przodków świetnie lśniłaś,
	[feste, Poważnych gości weseliłaś,
Erheitertest die ernstesten Gäste,	Do dłoni z dłoni, krążąc wzdłuż.
Wenn einer dich dem andern zuge-	Ta sztuczna rzeźba, którą kryształ lśni,
	[bracht Co trzeba było wierszem ją tłómaczyć,
Der vielen Bilder künstlich reiche	I do dna pijąc, próżnię twą zobaczyć,
	[Pracht Nie jedną noc młodości przypomina mi!
Der Trinkers Pflicht, sie reimweis zu	Nie oddam teraz już cię sąsiadowi,
	[erklären, Swobodny dowcip już się nie odnowi.
Auf einen Zug die Höhlung auszu-	
	[leeren
Erionert mich an manche Jugendnacht;	
Ich werde jetzt dich keinem Nachbar	
	[reichen
Ich werde meinem Witz an deiner	
	[Kunst nicht zeigen.

Jak widzimy, jest to tłómaczenie prawie dosłowne.

I znowu w dalszym ciągu w r. 1851, w Wadowicach wyszły „Ballady i pieśni“ w przekładzie A. Garczyńskiego. W r. 1854 Ludwik Kondratowicz tłómaczy „Króla olszyn,” „Piosnkę rybaków,” „Piosnkę dziewczyny“ i inne drobne poezye; w następnym zaś: „Ziemski padoł artysty“ i „Ubóstwienie artysty.“ Jednocześnie z nim też same dramaciki przyswaja literaturze Bolesław-Wiktor i pod tytułem: „Wędrówka ziemskiego artysty i Apoteoza artysty“ drukuje w „Bibliotece Warszawskiej“ (r. 1855, t. III).

W r. 1857 w tymże czasopiśmie (t. II i III), ukazał się nowy przekład części pierwszej „Fausta,” dokonany przez Z. Z. z obszerną przedmową, która do chwili pojawienia się artykułu p. Walerego Gadomskiego w „Ateneum“ (r. 1887) była jednym z najgruntowniejszych o tym utworze studyów, jakie nasza literatura posiada. Dziś już wiadomo, że owym zamaskowanym tłómaczem był pan Aleksander Krajewski. Z przypisku do przedmowy (str. 663) dowiadujemy się, iż przekład ten powstał jednocześnie z tłómaczeniem „Fausta“ A. Walickiego. P. Krajewski skromnie jednak wyznaje, że rozmyślnie powstrzymywał się z wydaniem swojej pracy, sądząc, „iż dla naszego uboższego piśmiennictwa zanadto możeby było dwóch publikacji w jednym i tym samym przedmiocie i że dopiero gdy już nikt podejrzewać go nie mógł o rywalizacyą z Walickim, wystąpił z swym tłómaczeniem w przekonaniu, iż przedmiot nowy i nie bardzo łatwy, nie wyczerpuje się zwykle od jednego razu.“ Że istotnie nowe to tłómaczenie, nie było wcale zbyt cennym. może się każdy przekonać, kto te dwa przekłady porówna. Walicki ma zasługę, że pierwszy zaznajomił ogół z „Faustem,” dając część jego pierwszą w całości, ale pomimo wielu zalet jest prozaiczny i ciężki, tymczasem przekład p.

Krajewskiego, obok wierności w oddaniu myśli, odznacza się poetyczną dykcją, dającą już pojęcie o pięknościach oryginału. Gdybyśmy jednak przeprowadzili paralelę co do usposobień i potrzeb umysłowych pomiędzy społeczeństwem z r. 1845 a 1857, to musielibyśmy przyznać, że i wtedy jeszcze tłumaczenie p. Krajewskiego nie wielką liczbę odpowiednio przygotowanych czytelników znalazło, skoro żaden z nakładców nie podjął się jego przedruku. Powiedzielibyśmy nawet, iż wypłynęło ono raczej z potrzeby duszy samego tłumacza, który niejednokrotnie, łamiąc z najwyższymi zagadnieniami życia i przechodząc przez niejedną próbę czyścową, w takim tylko utworze, jak „Faust“ mógł znajdować odpowiedni pokarm dla swego badawczego umysłu. Co do usposobienia społeczeństwa to jeszcze w nim stanowcza zmiana nie zaszła. Dopiero, gdy w jego życiu i ustroju epokowy przełom się dokonał, gdy niejedna groźna zagadka, domagająca się rozwiązania, z obliczem Sünksa przed nim stanęła, wtedy i ów refleksyjny poeta, co był mistrzem zarówno w życiu praktycznym, jak i w najwyższych badaniach sztuki, został lepiej zrozumiany przez ogół. Istotnie, rok 1860 możemy uważać za chwilę stanowczego zwrotu ku utworom wajmarskiego poety: odtąd bowiem mnożą się bez przerwy wszystkich dzieł jego znakomitszych przekłady. Szereg ich otwiera „Reineke Fuchs“, wydany w tym roku we Lwowie, pod przepolszczonym tytułem „Lis Mykita“ przez bezimiennego tłumacza. Przekład ten nie mógł jednak zadowolić estetycznych wymagań, szukających w każdym przyswojonym dziele wiernego odtworzenia zarówno osnowy, jak i formy oryginału. Jakoż Goethe, przerabiając średniowieczną, pełną komizmu fabułę, nie napróżno przybrał ją w powaźnie toczący się heksametr: jego umysł bowiem artystyczny wskazywał, iż tym sposobem wszystkie łotrówstwa przewrotnego lisa i wynikię ztąd sytuacje tragiczne, zdobędą jeszcze wyższy stopień komizmu. Tymczasem tłumacz użył wiersza 13-go zgłoskowego, rymowanego, a co się tyczy samego przekładu, daleko poza myślą oryginału pozostał. Jakby więc dla zadosyć uczynienia obrażonym ceniom poety nowym przekładem Reineke Fuchsa zajął się p. Ludwik Jenike i ogłosił go w „Tygodniku Ilustrowanym (1877) z drzeworytami, objaśniającemi tekst podług Kaulbacha rysunków. Teżne tłumacz przyswoił literaturze: „Torquata Tassa“ (Bibl. Warsz. r. 1861, t. I) „Ifigenię“, (tamże r. 1863, t. II), „Żywot ziemski artysty“ (tamże, t. r., t. IV), wreszcie w r. 1872 jeden z najpiękniejszych poematów eposowych: „Hermana i Dorotę.“ Wprawdzie, to wyłączone zajęcie się przekładami jednego i tego samego poety, możnaby na karb czysto osobistych upodobań zaliczyć; nie zapominajmy jednak, iż p. Jenike, jako długoletni redaktor jednego z najpoczytniejszych pism ilustrowanych, miał sposobność badać pulsa społeczne, a zarazem i zmieniający się smak i potrzeby umysłowe czytelników. Że przekłady te były na czasie, że Goethe coraz więcej pociągał ku sobie umysły, widać to z przekładów innych dzieł jego dokonywanych współcześnie. Tak w r. 1866 wyszedł w Warszawie

przekład romansu: „Powinowactwo z wyboru“ (Die Wahlverwandtschaften), dokonany przez M. Ilnicką; w r. 1870 dramat „Stella,“ w tłumaczeniu Rettingera, w Krakowie, wreszcie w r. 1872 pojawiło się powtórnie wydanie „Pieśni i Ballad“ przekładu Garczyńskiego w Warszawie.

Już powyżej wymienione tłumaczenia bez względu na ich wartość dowodzą, iż rzeczywiście w umysłach nastąpił zwrot ku poecie, który ze szkodą naszej literatury przez czas tak długi nie był u nas należycie rozumiany i ceniony. Ale ta rdzenna zmiana w usposobieniu umysłów jeszcze się wyraźniej zaznacza w dwóch nowych przekładach „Fausta,“ z których jeden dokonany przez p. Feliksa Jezierskiego, tłumacza poematów Longfellowa, pomieszczony był w „Bibliotece najcenniejszych utworów literatury europejskiej“ (Warszawa, 1880), drugi zaś przez p. L. Jenikego, spoufalonego z duchem i utworami wajmarskiego poety, drukowany w Ateneum i w osobnej wypuszczony odbitce (Warszawa, 1887). Byłoby to prosty przypadek, że utwór ten tyle razy szatę polską przybiera?... Chyba nie. Dojrzewamy umysłowo widocznie, choć bardzo, bardzo powoli! Przekład p. Jezierskiego, lubo dokonany zbyt pośpiesznie ¹⁾ ma tę nad innymi przewagę, iż obejmuje i część drugą Fausta, czego nam nie dał żaden z dotychczasowych tłumaczy: p. Jenike ograniczył się tylko na części pierwszej, jak zaś wywiązał się z swego zadania, to postaramy się wyjaśnić, zastrzegając z góry, iż innymi przykładami, które już ogniwą próbę krytyki przebyły, o tyle tylko będziemy się zajmować, o ile to wykaże się koniecznym do ocenienia zalet lub stron ujemnych najnowszego przekładu. Nie wdając się też w omówienia, zbyt szerokie, powiedzmy odrazu, iż główną zaletą ostatniego tłumacza jest przedewszystkiem wierność. Jako są sceny, w których, pomimo najstaranniejszego porównania z oryginałem, nie mogliśmy znaleźć ani jednego wyrazu, któryby zmieniał istotę myśli, lub nasuwał jakąś wątpliwość. Do takich scen należy: Prolog w niebie; dalej z małymi wyjątkami monolog pierwszy Fausta, do zjawienia się ducha; znaczna część dialogu pomiędzy Faustem i Wagnerem; drugi monolog Fausta, poczynając od słów: „Nie jestem bogiem, ja to czuję co dnia,“ aż do chóru aniołów; znaczna część sceny za bramą miejską i rozmowa przy zachodzie słońca z Wagnerem; scena z Mefistofilesem, gdy się poraz pierwszy zjawia w postaci wędrownego scholara; cały dialog, w którym zawiera z nim o duszę umowę, rozmowa Mefistofelesa z uczniem, przychodzącym zasięgnąć rady, co do wyboru fakultetu z jednym wszakże bardzo ważnym wyjątkiem; większa część sceny w piwnicy Auerbacha; cały dialog między Faustem, a Mefistofilesem po pierwszym spotkaniu na ulicy Małgosi; monolog Fausta w jej pokoiku; pieśń o królu na Thule; monolog Małgosi po znalezieniu, podrzuconych przez Fausta klejno-

¹⁾ Zob. rozbiór tego przekładu przez p. Świącickiego w Bibl. Warsz. 1881, kwiecień str. 140—145.

tów; dialog na przechadzce między Mefistofeilesem i Faustem; scena w domu p. Marty, gdy jój Mefistofeles przynosi o śmierci męża wiadomość; dalej scena na ulicy, gdy Mefistofeles żąda od Fausta złożenia przed sądem o zgonie jój męża świadectwa; spacer w ogrodzie Marty i scena z Mefistofeilesem bezpośrednio po nim następująca; śpiew przy kołowrotku tęskniącój Małgosi; monolog brata jój Walentego; cały ustęp wreszcie, gdy raniony śmiertelnie przez Fausta, robi siostrze najstraszniejsze wyrzuty; scena w katedrze przy odgłosie *dies irae*; noc Walpurgowa; wreszcie scena na polu, gdy Faust uwiadomiony o uwięzieniu Małgorzaty przeklina piekielnego towarzysza i nakoniec cała niemal scena w więzieniu. W powyżej przywiedzionych ustępach, tłómacz każdą myśl słowo w słowo oddaje albo też zastępuje ją innym, równoważnym wyrażeniem, lub zwrotem, który w niczem nie narusza osnowy. A jednak prosimy zwrócić uwagę, iż ustępy te wypełniają niemal większą połowę przełożonej pierwszjej części tragedyi. Są w niej przecież i pewne strony ujemnel To wiersz opuszczony, to myśl, niedość uchwycona dokładnie, to wreszcie wyraz widocznie tylko do rymu dobrany, a który przecież nie odpowiada znaczeniu użytych w tekście wyrazów.

Rozbierzmy najprzód owo „Przypisanie” (Zueignung). Powstało ono w chwili, gdy poeta, przez długie lata przebywający w krainach klasycznego piękna, znowu po swym powrocie z Włoch, poźółkły rękopism Fausta otworzył. On ten utwór przywykł był uważać już, jako plód przeżytej epoki, którą dawno poza sobą zostawił. Jeszcze w r. 1794 pisał o rękopiśmie Fausta do Schillera: „ich wage nicht das Paket aufzuschüren das ihn gefangen hält.“ (Briefwechsel zwischen Schiller und Goethe, 1 B. 31 S. 27 Brief. Stuttgart, 1870). A jednak, gdy go czar niemieckiej sagi, niby woń ojczystych lasów owinął, gdy zaklęte w słowa postacie, stanęły przed nim w całym uroku młodzieńczych natchnień, pod których wpływem, powołał je niegdyś do życia; wtedy i uprzedzenia, do tego północnego, barbarzyńskiego świata pod włoskim niebem nabyte, ustąpić musiały silniejszej potędze, która nagle jego duchem ośwładła. Poeta zmiekkł wobec nacierającego nań, znanego sobie duchów orszaku, wobec bólów własnej piersi, odżytych w Fausta postaci; wspomniął na tych, co niegdyś podzielali z nim, te powstające z grobu przeszości uczucia, a sami już nie mogli wrócić do życia, i łza męska spłynęła z oczu poety i skrzystalizowała się w tém cudnym „Przypisaniu,” które, jakby uwerturę całego dzieła stanowiąc, ze względu na bogactwo wypełniającej je treści, niemałą dla tłómacza trudność przedstawia. P. Jenike uchwycił głębokość panującego w nim tonu, ale w paru miejscach nie dość szczęśliwie myśl oryginału przełożył.

I tak wiersz 4:

Fühl' ich mein Herz noch jenem Wahn geneigt?

oddał przez wyrażenie: Czy głosem serca wasz powstrzymam

krok?—kiedy właściwie już w poprzednim wierszu wypowiedziano to samo:

Czyż choć tym razem ujął mi się dacie?

O wiele trafniej Walicki wyraził to w wierszu: „Czyż serce moje zdolne do tego uroku?”—a jeszcze poetyczniej i dokładniej p. Krajewski „Uczujez serce moc tego uroku?”

Wiersz 13:

Der Schmerz wird neu, es wiederholt die Klage—

p. Jenike przetłómaczył: „Ból odżył, znów ponawia się cierpienie,“ kiedy w tekście jest mowa o skardze. Ból i cierpienie to tylko synonimy jednego uczucia.

Wiersz 22:

Ihr Beifall selbst macht meinem Herzen bang

wyraz ten ostatni przełożono przez gniew, gdy właściwie powinno być niepokój, trwoga i tak też znajdujemy w p. Krajewskiego przekładzie: „Trwożą mnie nawet same ich pochwały (dom tłumów)

Wierszowi 25:

Und mich ergreift ein längst entwöhntes Sehnen

nie odpowiada wiernie wyrażenie: „I tęsknie znów za cichą tą krainą.“ W przekładzie p. Jezierskiego czytamy:

Dawno zamilkłe stęsknienie dziś mam

W ciszę zadumną (!) ku duchów dziedzinie

co udatniej p. Krajewski wyraził:

I znów ku duchów uroczej krainie,

Dawno nie znane czuję utęsknienie.

Daléj wiersz 27:

Es schwebet nun in unbestimmten Tönen (dom. Lied)

nie da się wyrazić przez: „I pieśni moje nie ujęte giną,“—bo schweben znaczy wisieć, unosić się w powietrzu, płynąć; najnieudolniej zaś użyto w wierszu 30 wyrażenia: „Oporne serce mięknie, jako puch.“ W oryginale czytamy: „Das strenge Herz es fühlt sich mild und weich,“ a więc łagodne, miękkie. Mógł Mickiewicz porównać kobietę, jako wietrzną istotę, do puchu marnego; serce jednak i puch żadną miarą nie kwadrują ze sobą.

W prologu w teatrze, wiersz:

Gar mancher kommt von Lesen der Journale

p. Jenike przełożył:

A co najgorsza, wielu takich wiedzie

Ciekawość pusta z gazet zaczerpnięta (str. 58, w. 3—4)

wydaje się to tak, jak gdyby publiczność, zachęcona przez gazety, przybywała do teatru; tymczasem dyrektor po prostu skarży się, iż nowina

mi politycznemi żywo jeszcze zajęta, niewiele zwraca na przedstawienie uwagi:

Tamci, rzecz najgorsza w świecie,
Tylko co od gazet wstali—wyraził krótko p. Jezierski,
a jednak zgodnie z oryginałem.

Dwuwersz: Ihr wisst auf unsern deutschen Bühnen
 Probirt ein jeder, was er mag;—

szanowny tłumacz przełożył:

W teatrze każdy, rzecz wiadoma przecie,
Jak może sądzi i jak umie plecie? (str. 60 w 30—31)

kiedy tymczasem w oryginale niema mowy o sądach i pleceniu, mówi się tylko: „na naszej scenie niemieckiej, każdy próbuje, co może,“ (dom. zdziałać).

P. Krajewski wyraził to zgodniej z tekstem:

Na naszej scenie niemieckiej, jak wiecie,
Każdy, jak umie, próbuje potrosze.

Również w monologu Fausta, tłumacz, najniepotrzebniej pomiędzy naukami, których zbadaniu poświęcił się doktor niemiecki, pomieścił filologią! W oryginale jój niema, gdyż jój wieki średnie nie znały; jedynie więc umieszczono ją dla rymu z wyrazem teologia, a czego, bez dopuszczenia się podobnego anachronizmu, można było uniknąć. Wiersz 4 (str. 66), w drugiej swojej połowie niewłaściwie został co do myśli zmieniony. W tekście brzmi:

Mir wird so leicht!

Tymczasem w tłumaczeniu czytamy: „Czym oszalały? Właśnie Faust, przeglądając się znakowi makrokosmu, jaki w księdze Nostradama napotkał i czerpiąc w jego tajemniczych liniach uspokojenie i nowe siły do badania zagadek natury, zapytuje sam siebie: „Bin ich ein Gott?“ Jakże więc w chwili, gdy się umysłowych w całej pełni, w całej świadomości używa, mógłby pytać, czy nie oszalał?

Tak samo scena z Duchem, wywołanym czarnoksięskim zaklęciem, również pewne niedokładności przedstawia. Faust, przerażony jego widokiem powiada: „Wehl ich ertrag dich nicht!“ w przekładzie zaś brzmi to dość nieznaczaco: „Trwogę czuję szczerą“ (str. 67 w. 14). Walicki, lubo w pierwszej części wiersza użył amplifikacji, daleko jednak wierniej odmalował uczucie miotające Faustem, gdy mówi:

Straszliwe oblicze! Ja ci dotrzymać nie zdołam.

słowa Ducha: „mein Antlitz zu sehen“ zastąpiono niewłaściwem wyrażeniem: „wskrzесиć duchów cienie“ (domyśl. pragnęłość) str. 67, w 16; „Da bin ich“ przez omówienie: „Więc ustąpiłem,“ zamiast: zjawiłem się. Wyraz bowiem: ustąpiłem (przed tą żądzą wrzącą) wprowadza dwuznaczność. Ma to wyrażać: zrobiłem ci ustępstwo, tymczasem może być brane w znaczeniu: usunąć się.

Wiersz 20, stronica 67: Gdziez pierś, dla której każda droga
Do celu wiodła.

zupełnie co innego, niż tekst wyraża. Powiedziano tam:

Wo ist die Brust, die eine Welt in sich erschuf?

stworzyć zatem w samym sobie świat, a znaleźć drogi wiodące do celu; są to dwie rzeczy różne. Jaki zresztą mogą być drogi dla piersi? Gdy po zniknięciu Ducha, Wagner rozpoczyna z Faustem o duchu czasu rozmowę; ten zniecierpliwiony natręctwem, nie w porę przybyłego pedanta, tak mu jego znaczenie określa:

Ein Kehrriehfass und eine Rumpelkammer,
Und höchstens eine Haupt—und Statsaction,
Mit trefflichen pragmatischen Maximen,
Wie sie den Puppen wohl im Munde ziemen!

„Śmietnik to i graciarnia, a co najwyżej wypadek jakichś politycznych działań, z wybornemi ku pewnym celom zwróconemi zasadami, które jedynie w ustach lalek byłyby właściwe.“ Tymczasem w przekładzie myśl oryginału zatarto. P. Jenike powiada:

Choć akcyja niby tam się napa toczy;
To kupa śmieci, gratów rnmowisko,
Lub pragmatycznych zdań siedlisko,

Co chyba się dla lalek na coś przyda (str. 69 w. 34—37).

Najprzód wyrazu napa toczyć, którego w tém miejscu użył i p. Jezierski (str. 36), nie znajdujemy w słowniku; używany w mowie potocznej, nie dla wszystkich zrozumiałym być może; z ostatniego zaś wiersza trudno się domyśleć, że tu mowa o maryonetkach teatralnych, które w Niemczech za czasów dzieciństwa Goethego stanowiły ulubioną malców i ludu rozrywkę.

Początek monologu Fausta, jaki wygłasza po odejściu Wagnera, w przekładzie brzmi nieco trywialnie:

Że im też po łbach ciągle się coś snuje
I plotą brednie oczywiste! (str. 70, w. 11—12).

Faust w oryginale słowa te wypowiada ze zniechęceniem, niesmakiem, ale oraz i z głęboką boleścią, która mowie jego nadaje wyraz powagi.

Wie nur dem Kopf nicht alle Hoffnung schwindet
Der immerfort an schalem Zeuge klebt.

Co bez żadnych omówień p. Krajewski przełożył:

Dla takiego też tylko nadzieja nie ginie,
Co gotów całe życie ślęczyć nad fraszkami.

Na téj saméj stronicy 70 w. 38 niepotrzebny znajdujemy dodatek: „bom zuchwały”! W oryginale powiedziano:

Du stiessest grausam mich zurücke,
In's ungewisse Menschenloos.

„Tyś mnie z okrucieństwem w błędny^gwir człowieczeństwa strą-
cił na nowo“, o zuchwałstwie mowy niema. Nadto opuszczono na-
stępujący wiersz:

Wer lehret mich? was soll ich meiden?,

w którym zawarte pytania charakteryzują owo poczucie bezsilności,
jakie Fausta ogarnia. Jest też w tym monologu ustęp, nadzwyczaj do
odtworzenia trudny, ze względu na subtelność myśli poety.

Wenn wir zum Guten dieser Welt gelangen,
Dann heisst das Bess're Trug und Wahn.
Die uns das Leben gaben, herrliche Gefühle
Erstarren in dem irdischen Gewähle.

Ustęp ten brzmi w dosłownym przekładzie „Gdy zdobędziemy
to, co się dobrem świata nazywa, już dobro wyższe poczytujemy za
urojenie i kłamstwo, tak, iż podnioślejsze uczucia, jakimi życie nas da-
rzy, obumierają w ziemskim zamęcie. Tymczasem dwuwiersz p. Je-
nikego:

Kto dobrą sobie rzecz zdobędzie,
Ten już o lepszój ani słucha (str. 71, w. 3—4),

bynajmniej nie jest równoważny z przytoczonym czterowierszem Goe-
thego. Ze wszystkich tłumaczy jeden tylko p. Krajewski należycie
myśli w nim zawartą uchwycił.

Myśli wzniosłe, którymi dusza się zapala
Gasną obcymi żywioły stłumione,
I jedno dobro w życiu przez nas osiągnięto
Zasłepia nas i wyżej dążyć nie dozwala.

Podobnież na tój samój stronicy wiersz 7—10:

Gdy dawniej polot wyobraźni twórczy,
Ku sferom się wieczystym rwał,
To teraz każdy (!) ściska się i kuroczy,
By szczęścia mu nie zabrał szal.

dalekim jest od wypowiedzenia tego, co się w osnowie znajduje. Fa-
ust mówi:

Wenn Phantasie sich sonst mit kühnem Flug,
Und hoffnungsvoll zum Ewigen erweitert;
So ist ein kleiner Raum ihr nun genug
Wenn Glück, auf Glück im Zeitenstrudel scheidert.

(Gdy dawniej wyobraźnia śmiałym i pełnym nadziei lotem roz-
szerzała się w wieczność; to dziś zadawała się szczupłym kręgiem, kie-
dy zamęt czasów szczęście raz za razem pochłania).

Następnie w dwuwierszu:

Drżysz o to zawsze, co nietrwałe,

A oplakujesz wszystko, co jest stałe. (str. 71, w. 17—18);

co nietrwałe nie odpowiada wyrażeniu oryginału: „was nicht trifft“ (co nie spotyka), a jeszcze bardziej wiersz drugi wyrażeniu: „Und was du nie verlierst, das musst du stets beweinen“ (i czego nie straciłeś, musisz wciąż oplakiwać).

Dalszy ciąg monologu płynie równo z oryginałem; dopiero,oczynając od chóru Aniołów na Zmartwychwstanie Pańskie, natrafiamy na niedomówienia, lub braki. I tak w śpiewie tym należałoby zgodniej z oryginałem powiedzieć: „Radość ludzkości, której zdrożności dziedziczne złości i winę starł“. Tymczasem czytamy:

Radość ludzkości,

Którą w zdrożności

Dziedzicznych złości

Ogarnął szal (!) (str. 73, w. 28—30)

Również wiersz 34 na tejże saméj stronicy, zamiast: głos,

Co niegdyś z ust Aniołów szedł pod strzechy,—

a co przypomina pieśń na dzień Bożego Narodzenia, powinno być właściwie podług oryginału: „Co niegdyś nad grobem z ust anielskich głosił pewnoś nowego przymierza.“

W przepysznym opisie, budzącéj się wiosny i ludzi świętujących, a ożywionych jéj tchnieniem, w którym tłómacz istotnie pamiętał o zachowaniu tego melodyjnego spadku rytmiki, nie tylko w budowie wierszy, ale i w zakończeniu zdań i okresów, tak mistrzowsko w oryginale towarzyszącego kréslonym przez poetę obrazom; znaleźliśmy opuszczone dwa wiersze, które jednak o wieleby podniosły malowniczość téj rodzajowéj sceny. Następować one powinny po wierszu 32 (str. 77).

Und bis zum überladen,

Entfernt sich dieser letzte Kahn.

P. Jeziński, gdzieindziej mniej szczęśliwy w przekładzie, zawarł ten obraz w dwu wierszu:

Ot, już ostatnie odbija czółenko,

Przeładowane, w głąb' się ponurza.

Również w tym ustępie użyty wyraz pstrokaty, gdy mowa o strojach, poetyczniej można było zastąpić przez barwiste.

W ustępie, w którym Faust, rozmarzony widokiem zachodzącego słońca, chciałby w przestwór za jego śladem ulecić, dwuwiersz:

Doch ist es jedem egeboren,

Dass sein Gefühl hinauf und vorwärts dringt.

zastąpiono innym:

Lecz ponad ziemskim pyłem, brudem,
Uczucia fala wciąż się toczy, (str. 81, w 10—11),—

a który właściwie z dalszym ciągiem nie zostaje w ścisłym, logicznym związku.

Nie mniej uwaga Wagnera zrobiona z powodu tych niedościgłych marzeń mędrca, nie odpowiada istotnej sytuacji w oryginale. W przedkładzie mówi on:

I ja miewałem różne bziaki czasem,
Lecz pragnień takich nigdy nie pochwalę (str. 81, w. 18—19).

Tymczasem Wagner, wobec Fausta dla którego miał cześć głęboką, nie byłby się ośmielił nic podobnego powiedzieć. On tylko dziwi się, iż taki mędrzec może pragnąć czegoś, co jemu dotąd nigdy do głowy nie przyszło.

To też w tekście całkiem inaczej się wyraża:

Ioh hatte selbst oft grillenhafte Stunden,
Doch solchen Trieb hab' ich noch nie empfunden

a co p. Krajewski co do myśli i tonu wyraził bardzo właściwie:

Ja często w dziwnym bywam też humorze,
Lecz tak szczególniej nie znałem tęsknoty.

I jeszcze jedno miejsce w tym dyalogu z Wagnerem wymaga sprostowania. Odnosi się to do wiersza 11 na stronnicy 82. Pan Jenike tłumaczy je:

Potęzną znów ze wschodu mkną nawałą, (duchy)
Posuchę wszędy szerzą

Tymczasem w oryginale daleko obrazowiej powiedziano:

Und nähren sich von deinen Lungen

Owiele też zgodniej z tekstem to miejsce p. Krajewski przełożył:

Tam wschód niszczącą wysła gromadę
Co się chce karmić twymi wnętrznościami.

Roman Plenkiewicz.
(dok. nast.).

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rzut oka na ogólne położenie stosunków politycznych.—Mowa ks. Bismarcka i wywołane przez nią poglądy prasy na rozpoczęte przygotowawcze kroki dyplomatyczne w sprawie bułgarskiej. — Włochy i Francya. — Roboty sejmu berlińskiego.—Wiadomość o działalności komisji kolonizacyjnej w W. Ks. Poznańskim i Prusach zachodnich.—Walne zebranie „Banku ziemskiego” w Poznaniu.—Regulamin kasy imienia Mianowskiego co do przyznawania nagród z zapisu Jakóba Natansona.—Towarzystwo geograficzne w Petersburgu. — Odczyty na dochód Osad rolnych: Dr. Fabian: Hypnotyzm w nauce a praktyce.—Otwarcie Konserwatorium muzycznego w Krakowie dnia 1-go lutego.—Plan Wystawy higieniczno-lekarskiej i dydaktyczno-przyrodniczej projektowanej na mies. lipiec we Lwowie.—Z ruchu naukowego w Akademii Umiejętności w Krakowie: 1) Posiedzenie Wydz. filologicznego dn. 5-go grudnia 1887-go r. i 1-go lutego r. b.—2) Posiedzenie Wydziału matematyczno-przyrodniczego dn. 27-go stycznia r. b.—3) Posiedzenie komisji antropologicznej dn. 3-go lutego r. b.—4) Posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego dn. 8-go lutego r. b.—O najnowszych odkryciach archeologicznych w pobliżu Teb w Grecyi.—Z ekonomiki: spółka rybicka w Warszawie.

Mimo wielostronnych usiłowań głównych przywódców polityki międzynarodowej w Europie, promienie słońca pokojowego, tak usilnie pożądanego i upragnionego, nie zdołały przebić i objaśnić czarnych chmur niepewności, które od paru lat coraz groźniej zakrywają widnokrąg życia politycznego społeczeństw europejskich.

Równoczesne ogłoszenie przez gabinet pruski i austro-węgierski (w dniu 3-go lutego r. b.) traktatu, zawartego dnia 7-go października 1879-go r. między Niemcami i Austryą, można było uważać za manifestacją nieprzyjazną Rosyi, ponieważ pokaźne jego ostrze „obronne” skierowane jest widocznie przeciwko cesarstwu rosyjskiemu. Cesarz Austro-węgierski i cesarz niemiecki zobowiązują się wzajemnie, że gdyby którekolwiek z dwóch sprzymierzonych mocarstw zostało na-

padnięte przez Rosyą, to drugie obowiązane pomagać mu całą siłą zbrojną i nie zawierać pokoju inaczej tylko za wspólną zgodą; że gdyby jeden z sojuszników napadnięty został przez jakieś inne państwo, (myślano tu niewątpliwie o Francji), drugi powinien zachować życzliwą neutralność, a w wypadku połączenia się Rosji z tym napastnikiem, spełnić obowiązek na początku wskazany, tj. pomagać napadniętemu całą siłą zbrojną; że umowa pozostanie w tajemnicy, gdyby jednak pokojowe zamiary Rosji budzić miały jakąkolwiek wątpliwość, to traktat, o którym mowa, zostanie jej oznajmiony. Przewidzianą w traktacie wątpliwość o intencjach Rosji obudziła najnowsza dyslokacja sił wojskowych rosyjskich na zachodniej granicy Cesarstwa i Królestwa, w której władze niemieckie szukały także i usprawiedliwienia nowego ogromnego kredytu (przeszło 270 milionów marek), którego się rząd niemiecki domagał od sejmu rzeszy na wzmocnienie siły wojskowej przez nową organizacją obrony krajowej (landwehr i landszturm). Zapowiadana w tej kwestyi mowa ks. Bismarcka budziła też niezwykle zaciekawienie w całej Europie. Wreszcie dnia 6-go lutego obwieścił ks. Bismarck światu swój pogląd na rozwój stosunków międzynarodowych w Europie środkowej z ostatniego lat dziesiątka w mowie wszechstronnie obmyślanej, która będąc niejako komentarzem dyplomatycznym genezy traktatu z dnia 7-go października 1879-go r., starała się zachować pozory historycznego rzutu oka na koleje stosunków rosyjsko-pruskich, po pierwszy raz od dosyć dawna bez żadnych wycieczek przeciwko polonizmowi, służącemu kanclerzowi zwykle za straszdyło do pobudzenia czujności i przezorności patriotów niemieckich. Niewtajemniczeni w arcana najnowszej dyplomacyi europejskiej, nie możemy osądzić, czy obraz, który nam ks. Bismarck przedstawił raczył, odpowiada dokładnie rozwojowi i położeniu dzisiejszemu stosunków europejskich; tyle jednak pewno, że traktat pomieniony przyszedł do skutku z inicjatywy ks. Bismarcka, jako kanclerza nowonarodzonego cesarstwa niemieckiego, z zamiarem zapobieżenia sojuszowi Francji z Rosyą, której politykę wschodnią krępowały Austro-Węgry, politykę zaś państwową czyli narodową Niemcy za pomocą przeróżnych środków ekonomicznych i finansowych. Powodów, dla których prasa rosyjska w pierwszej chwili przyjęła te enuncjacye berlińskie z ostentacyjnem prawie zadowoleniem jako pokojowe, nie można szukać w osnowie wyniosłych słów kanclerza niemieckiego; ale w sytuacji, skompromitowanej przez różne polityczne roboty lat ostatnich, tak, że w obec autonomicznych aspiracyi narodów słowiańskich, nie widziano w danej chwili przygotowanej obrony, która by się na szerokim gruncie interesów słowiańskich bezpiecznie opierać mogła. Niemcy zaś mają oficerów gotowych dla armii milionowych, czém się inne państwa pochlubić nie mogą; a takiego ważnego czynnika wojennego nie stworzy wśród walki ani sam pieniądz, ani jednostronny fanatyzm państwowy, ani narodowy, ani nawet religijny; do tego potrzeba czasu, wieloletniej szkoły i licznych, doskonałych na-

uczycieli. Z wyjątkiem jednak prasy francuskiej, której nawet cyniczny hołd, jaki kanclerz złożył przed bojaźnią Boga, nie zdołał zasłonić instynktów zaborczych, przenikających politykę „teutonizmu,” godziła się reszta publicystyki europejskiej na to, że słowa ks. Bismarcka zapowiadają raczej nadzieję utrzymania pokoju aniżeli groźbę mającej niebawem wybuchnąć wojny, chociaż powinna była pamiętać o tem, że żadna mowa nie jest w stanie ani rozdmuchać ani zażegnać wojny, będącej zawsze wynikiem niedającego się załagodzić antagonizmu interesów politycznych, narodowych i ekonomicznych. Oprócz tego budziła pewną wątpliwość co do intencji pokojowych polityki niemieckiej ta okoliczność, że trudno było w to uwierzyć, żeby państwo tak ekonomicznie rządzone jak Niemcy, państwo dbające tak troskliwie o dobrobyt swoich poddanych niemieckich, miało bez koniecznej potrzeby nakładać tak szalone ciężary na ludność już i bez tego ledwie dyszącą pod brzemieniem podatków i obowiązków militarnych. Akcja tego rodzaju przechodzi już granicę teorii: „Si vis pacem, para bellum!”

Kanclerz niemiecki dowodził w mowie swojej, że polityka pruska była zawsze życzliwą dla Rosyi, i dziś byłyby Prusy gotowe przyjsć potężnemu sąsiadowi z pomocą dyplomatyczną w sprawie bułgarskiej, gdyby ją Rosya w Konstantynopolu przed sułtanem jako zwierzchnikiem Bułgarii wytoczyć chciała; w sprawie tej bowiem nie mają Niemcy interesu bezpośredniego, a uznają prawowite interesa Rosyi jako oparte na traktacie berlińskim.

Niebawem przyczyniło się wystąpienie margrabiego Salisburego w parlamencie angielskim do ostudzenia tych abstrakcyjnych zapalów pokojowych prasy europejskiej. Prezes gabinetu angielskiego oświadczył że sprawa bułgarska nie jest dla Anglii, Austro-Węgier, Włoch i Turcyi równie obojętną jak dla Niemiec; Anglia zwłaszcza ma na wschodzie swoje żywotne interesy, ma swoją tradycyą i swoje historyczne obowiązki, do których w chwili rozwiązania sprawy bułgarskiej zastosować się musiała.

Mimo to trzymano się uchwyconej raz nici nadziei pokoju i głoszono na wszystkie strony podsuwaną ks. Bismarckowi opinią: „Niebezpieczeństwo wojny uchylone, wstępujemy w chroniczny kryzys dyplomatyczny. Nikt nie chce wojny, trzeba zatem próbować układow. Zgoda jest możliwą, jeśli Rosya oświadczy, czego żąda, a Austrya przyzna, co uczynić może.” Pogląd ten określałby dokładnie sytuacyą, gdyby jedyną przyczyną groźnej sytuacji pokoju europejskiego była tylko sprawa bułgarska; lecz traktat 7-go października 1879-go nie został przez nią wywołany. Ks. Bismarck zastania nader zřęcznie za pomocą parawanu bułgarskiego nie milknące namiętności polityczne antagonizmu niemiecko-francuskiego oraz współzawodnictwo interesów ekonomicznych i narodowych niemiecko-rosyjskich. W tej chwili, zdaje się, że ks. Bismarck przez wysunięcie na pierwszy plan kwestyi bułgarskiej potrafi prześcignąć czujność interesów politycznych nie

tylko rosyjskich, ale i francuskich. Jakby dla ostrzeżenia państw europejskich przypomniął się też światu w połowie lutego traktat przy-
 mierza pomiędzy Austro-Węgrami, Niemcami i Włochami. Osnowę
 traktatu tego znamy wprowadzić tylko z korespondencji rzymskiej
 w wiedeńskiej „Neue Freie Presse,“ ale po przedrukowaniu jój w or-
 ganie ks. Bismarcka „Norddeutsche Allgemeine Zeitung“ nie można
 podejrzewać jój autentyczności. Traktat między Austro-Węgrami
 i Włochami obowiązuje Austro-Węgry do zachowywania życzliwej ne-
 utralności na wypadek wojny Włoch z Francją; na Włochy zaś wkła-
 da takż obowiązek w razie wojny Austro-Węgier z Rosją. Prócz te-
 go przyrzekają Austro-Węgry w miarę możności popierać interesa
 włoskie na morzu Śródziemném i bez porozumienia się z Włochami
 nic nie przedsiębrać na półwyspie bałkańskim. W traktacie zaś mię-
 dzy Włochami a Niemcami mieści się uroczyste upewnienie, że żadna
 ze stron sprzymierzonych nie zakłóci pokoju samowolnie, a jeżeli jed-
 na z nich będzie najechaną przez Francją, to druga winna jest poma-
 gać napadniętej wszystkimi siłami. W artykule dodatkowym trak-
 tatu zawarowano, że jeżeliby Francya i Rosya łącznie na Austro-Wę-
 gry i na Niemcy uderżyły lub choćby tylko na same Niemcy, wtedy
 wszystkie siły zbrojne trzech sprzymierzeńców obowiązane będą wy-
 stąpić do wspólnj obrony. Stypulacye tego przymierza trzech państw
 europejskich, ochrzczonego przez publicystykę mianem „ligi pokoju,“
 były dawno umówione przez ministra hr. Robilanta, a ostatecznie za-
 akceptowane i podpisane przez Crispi'ego podczas wizyty jego u ks.
 Bismarcka we Friedrichsruhe. Korespondent „N. Fr. Presse“ nadmie-
 nia jeszcze, że dopełnieniem powyższych traktatów są osobne umowy
 pomiędzy Włochami, Austro-Węgrami i Anglią, co do obrony wybrze-
 zy morskich Austrii-Węgier i Włoch, na przypadek pokuszenia się
 nieprzyjaciela o wylądowanie z siłami swojemi. Gabinet angielski za-
 przeczył wprowadzić przez usta margrabiego Salisbury'ego i Fergussona,
 jakoby Anglia zobowiązana była przez jakikolwiek formalny traktat
 do polityki, którą jej narzucają, ale nawet z tego wyparcia się trakta-
 tu, przy niedyskrecyi admirała Hewetta w Genui, płynie to przekona-
 nie, że korespondencya, o której mówimy, przedstawia dosyć wiernie
 aktualne położenie stosunków międzynarodowych i odnośnie do Anglii,
 która nie poświęci wprowadzić interesów swoich ani Włochom, ani
 Austro-Węgom, ani Bułgarom, ani Turcyi, ale od tradycyjnj polity-
 ki swojjej wschodniej nie odstąpi.

Rzuciwszy okiem na to, co nam „liga pokoju“ o swoich inten-
 cyach powiedzieć raczyła, widzimy, że położenie Austrii i Włoch
 względem Francyi i Rosyi różni się w wysokim stopniu od położenia
 Niemiec względem Rosyi i Francyi i dla tego nie można o tém ani
 na chwilę wątpić, że trójprzymierze środkowo-europejskie skojarzone
 zostało z inicjatywy i w interesie Niemiec („Fecit cui prodest!“);
 Austriya i Włochy grają też w niem niemal rolę drugorzędną. W sfe-
 rze tych samych idei leżą także usiłowania ks. Bismarcka wciągnięcia

do tego koła polityki niemieckiej nawet państw drugorzędnych, jak Rumunia, Szwecya, Hiszpania, Holandia i t. p.

Czy taka konstellacya potęg europejskich nie wywoła z drugiej strony nową „ligi“, nie można dziś przewidzieć, ponieważ podstawy, na którychby się taka liga oprzeć mogła, są albo zbyt chwiejne, albo też przez samolubną politykę fanatyków narodowościowych skompromitowane. Republikanizm francuzki, zużywający najżywotniejsze siły narodu na wojownicze zapędy przeróżnych doktryn teoretycznych, skompromitowany w organach administracyjnych i sądowniczych, nie wychodzący z błędnego koła coraz nowszych przygotowań reorganizacji armii przy każdej zmianie ministra wojny, nie przedstawia żadnemu sprzymierzeńcowi potrzebnych koniecznie rękojmi trwałości polityki rządowej; polityka zaś słowiańska znajduje bez wszelkiego ubocznego wrogiego wpływu nieprzezwyciężoną prawie przeszkodę w trwożliwości ludów słowiańskich, truchlejących na widok tego, co się dzieje, o swoją indywidualność w razie powszechnego wstrząśnienia.

Oświadczenie ks. Bismarcka w dniu 6-go lutego co do gotowości poparcia w Konstantynopolu przedstawień rosyjskich w sprawie bułgarskiej, gdyby rząd cesarski z jakimikolwiek wystąpić zechciał, wydało swoje owoce. Hr. Szuwałow roztrząsał już z ks. Bismarckiem sposób postąpienia, któregooby się chwycić powinna dyplomacya, rozpoczynając na nowo modum procedendi w sprawie bułgarskiej, przerwany w końcu roku 1886 z chwilą wyjazdu generała Kaulbarsa z Bułgarii. Pomijając krzyżujące się liczne głosy organów półurzędowych, dowiedziała się Europa z autentycznego dokumentu rządu rosyjskiego, ogłoszonego w „Prawiteln. wiestniku“ z d. 23-go lutego o aktualnym położeniu sprawy bułgarskiej tudzież o rozpoczętej między gabinetami wymianie myśli w celu jednomyślnego wezwania Turcyi, żeby ona jako państwo zwierzchnicze Bułgarii, poparła jednomyślną deklaracyą państw europejskich o „nielegalności rządu bułgarskiego,“ i pospieszyła na ratunek obrażonemu przez ks. Koburskiego prawu międzynarodowemu. Tymczasem pozyskanie téj tak pożądanej jednomyślnej deklaracyi mocarstw tudzież postanowienie zbiorowej akcji u W. Porty natrafiło, zdaje się, już w samym początku wymiany zdań na poważne różnice poglądów między gabinetami. Prawie jednocześnie z ogłoszeniem komunikatu rządu rosyjskiego wystąpił organ ks. Bismarcka z poglądem, że Rosya sama, bez oglądania się na jednomyślną deklaracyą wszystkich państw, podpisanych na traktacie berlińskim, posiada dostateczne prawo wezwania Turcyi do ogłoszenia publicznie nielegalności rządów księcia Ferdynanda, margrabia Salisbury, mówiąc 23 lutego w izbie lordów o sprawie bułgarskiej, oświadczył: że „byłoby niesprawiedliwem twierdzić, że dzisiejsze instytucye rządowe w Bułgarii nie dowiodły swój żywotności.“ Jeżeli zaś brak im podstawy prawnej, nie jest to wyłącznie winą bułgarów. Traktat berliński orzeka, iż wybór księcia w Bułgarii powinien być zatwierdzonym jednomyślnie przez mocarstwa,

Zatwierdzenie takie można osiągnąć tam, gdzie nie zachodzą żadne trudności, mogące wywołać zdań różnicę; skoro zaś nie ma jednomyślności w zapatrywaniu się na istotę ścierających się ze sobą interesów, nie może też być mowy o jednomyślnem zatwierdzeniu dokonanego przez Bułgarów wyboru księcia. Konferencya większej liczby mocarstw wydaje rzadko rezultaty zadowalniające, jeżeli państwa nie porozumieją się pierwój co do istoty zamierzonych postanowień. Lord Salisbury nie sądzi, aby takie porozumienie zostało już osiągnięte. Konferencya pożądana jest wówczas, gdy nie zagraża niebezpieczeństwo poważnej niezgody, bo instancya tak poważna jak konfencya, gdyby się okazała bezsilną, uwydatniałaby tém jaskrawiej różnicę interesów, o których załatwienie chodzi, i spotęgowałaby istniejące dzisiaj niebezpieczeństwo. Dla tego prezes gabinetu angielskiego sądzi, że tylko z wielkimi zastrzeżeniami możnaby się zgodzić na projektowaną drogę postępowania, że wprzód należy upewnić się co do rękojmi, iż zgodę pomiędzy mocarstwami niewątpliwie osiągnąć będzie można. Z terażniejszego stanu rzeczy wnioskując, lord Salisbury nie sądzi, ażeby kwestya bułgarska kryła w swém łonie bezpośrednio niebezpieczeństwo naruszenia pokoju i spodziewa się, że zwyczajna wymiana zdań pomiędzy gabinetami usunie różnice, które między państwami w téj sprawie się jeszcze odzywają. Patrząc jednak trzeźwo na współzawodnictwo interesów politycznych i międzynarodowych, które wytworzyły dzisiejszy stan niepewności i groźby, trudno w zwyczajnym logicznym wywodzie podążyć za politykiem angielskim na wyżyny jego optymizmu dyplomatycznego, chociaż nie brakuje między publicystami i takich naiwnych, którzy pragną wmówić w publiczność europejską, że komunikat rządu rosyjskiego sprawę bułgarską za pomocą deklaracyi zbiorowej załatwi i ludom europejskim pożądaną pokój zapewni. „Zbiorowa deklaracya mocarstw wystarczy, jak sądzi dziennik brukselski „Nord,“ aby nakłonić sultana do przedsięwzięcia kroków egzekucyjnych (?) przeciw księciu Ferdynandowi. Deklaracya stworzy podstawę do dalszych rokowań. Wys. Porta zgodzi się zapewne na to, że ogłosi księcia Ferdynanda uzurpatorem, jeżeli wszystkie mocarstwa szczerze od niej tego zażądataj. O przymusie materialnym mowy nie ma: egzakucya militarna okazałaby się zbyteczną nawet wtedy, gdyby W. Porta okazała do niej gotowość. Po ogłoszeniu nielegalności tronu księcia Ferdynanda porządek dzisiejszy w Bułgaryi runie.“ (Doświadczenie dwóch lat ostatnich nie usprawiedliwia do takiego wniosku!) Obawy niektórych mocarstw, dowodzi w dalszym ciągu „Nord,“ że po obaleniu tronu ks. Ferdynanda, wybuchnie w Bułgaryi anarchia są kombinacją przedwczesną.“ (Zapewnienie to obala wniosek, do którego doszły poprzedzające wywody dyplomaty-polityka). „Im dłużej mocarstwa ociągają się będą z przyjęciem propozycyi gabinetu rosyjskiego tym bardziej ujawni się krytyczny charakter sytuacji.“ Położenie polityczne państw europejskich wraz z ujawniającymi się tendencjami chwili pod względem finansowym

i ekonomicznym zdaje się zapowiadać potrzebę daleko poważniejszej roboty.

Nieprzezorne a przynajmniej nietaktowne wystąpienie francuskiego ministra p. Flourens w mieście Briançon w departamencie Alp górnych, pograżające Włochom na pograniczu sabaudzkim, przyczyniło się do tym większego rozgoryczenia umysłów w całych Włoszech przeciwko Francji, rozgoryczenia, które po podróży Crispi'ego do Friedrichsruhe i po zerwaniu układów o nowy traktat handlowy między Włochami a Francją, było już i tak aż nadto podniesione. Ile razy zaś stosunki między Włochami a Francją choćby najsłabszego doznają naprężenia, dzienniki berlińskie starają się natychmiast wysuwać na pierwszy plan kwestyą neutralności Szwajcaryi i Sabaudyi północnej, zdradzając mimowoli kierunek polityki niemieckiej w razie faktycznego starcia się zbrojnego współzawodniczących ze sobą interesów francusko-włoskich. Fakt ten powinien być najwymowniejszym ostrzeżeniem obydwóch państw romańskich. Trzeźwieszy i bez zaprzeczenia jaśniejszy pogląd rządu włoskiego na istotne sprawy narodowe—od poglądu doktrynerów republikanizmu francuskiego, powinien wpłynąć na złagodzenie szorstkości, które te dwa narody ze szkodą cywilizacyi i kultury powszechniej od siebie rozdzielają.

Sejm niemiecki odrzucił rządowy projekt, obostrzający prawo przeciwko socyalistom, zatwierdzając tylko obowiązujące dzisiaj przepisy jeszcze na dwa lata. Poprzednio atoli, godząc się na wniosek rządowy ustanowienia pięcioletniej zamiast dotychczasowej trzechletniej kadencji poselskiej, ukrócić sejm pruski prawa reprezentacyi narodowej, bo naród musi odtąd przez 5 lat znosić postów do sejmu wybranych, choćby się nie zgadzał na ich szkodliwą działalność prawodawczą.

Komisyja k o l o n i z a c y j n a pruska ogłosiła sprawozdanie z dwuletniej swojej działalności od kwietnia r. 1886 do końca r. z. W ciągu tego czasu nabyła w W. Ks. Poznańskim i Prusach Zachodnich 27,260 hektarów dóbr rycerskich i 575 hektarów osad włościańskich za sumę 15,833,576 marek. Z tej ilości przypada na rok 1886: 12,435 h. ceny 7,114,325 m., na rok zaś 1887 14,835 h. ceny 8,719,251 m. Większa połowa tych posiadłości leży w obwodzie Bydgoskim. Większa część dotąd pozostaje w administracyi skarbowej. Nabywców osad na własność lub dzierżawę dotąd zgłosiło się 2,827 osób, podług wyznania: 2,482 ewangel., 333 katol., 9 mennonitów, 2 żydów. Zdobycze komisji kolon. pochodzą przeważnie od polskich właścicieli—są jednak nabyte i od Niemców. Ważny materiał zawierają szczegółowe wykazy wszystkich wsi rycerskich i gospodarstw chłopskich, nabytych przez komisją, ogłoszone drukiem dla informacyi sejmu pod tyt.: „Anlagen zu der Denkschrift ueber die Ausführung des Gesetzes vom 26 April 1886, betreffend die Beförderung deutscher Ansiedlungen in den Provinzen Westpreussen und Posen, fuer das Jahr 1887.“ Berlin,

1888. Sprawozdanie komisji kolonizacyjnej było przedmiotem rozpraw sejmowych w Berlinie dnia 18 lutego, przy czém poseł ks. Ostrowicz zwracał uwagę reprezentacji niemieckiej na ciągłą niesprawiedliwość administracji pruskiej względem polskich poddanych swoich od lat bardzo dawnych, korzystając z każdego przesilenia w historii Polski. „Kiedy po wojnach napoleońskich wszędzie rolnictwo upadło, wyjednał naczelny prezes prow. Prus, von Schrene, przywilej dla Niemców, że zaległe podatki później spłacić mogli; polskie wsie zaś poszły na subhastę. Tak było po roku 1830 i później, tak jest i teraz. Mimo to oświadczamy, że ciężko zawinili polacy, którzy ziemię ojczystą lekkomyślnie ofiarowali komisji, zwłaszcza kiedy im wiadomo, o jakie przytém chodzi cele. Potomkowie ich i historia nie przebaczą im tego, a niezawodnie poczują oni później także wyrzuty własnego sumienia. Cały zaś ogrom winy moralnej spada na rząd. Gdyby rząd był ojcowskim, a nie popierał w sposób stronniczy jednej warstwy poddanych, zajmowałby się dolą wszystkich właścicieli ziemskich bez różnicy religii i języka. Natomiast nadużywa rząd biedy polaków w taki sposób, jak to w prywatnych stosunkach czyni lichwiarz, który jedną ręką potrząsa workiem, pełnym złota, a drugą kusi swoje ofiarę. Sprawa tego rodzaju nie może ściągnąć na siebie błogosławieństwa Bożego.“

Dnia poprzedniego, bo 17 lutego r. b., odbyło się w Poznaniu walne zebranie banku ziemskiego, pod przewodnictwem Stanisława Żółtowskiego, prezesa rady nadzorczej. Rada nadzorcza i założyciele stawili się w komplecie. Przewodniczący zaznaczył, że na porządku dziennym zebrania, zwołanego wedle przepisów ustawy, znajduje się następujący jednomyślny wniosek dyrekcyi i rady nadzorczej: „Zniesienie, względnie odmiana uchwały, zapadłej dnia 25-go stycznia roku 1887-go na walnym zebraniu założycieli tegoż banku a zapisanej pod dniem 14-ym lutego roku 1887-go do rejestru handlowego względem drugiej emisji kapitału zakładowego.“ Emisya ta wynosi 2,950 akcji, których zebranie oznaczono do dnia 1-go października r. 1889. Zamiarem przeszłego walnego zebrania było: oznaczyć termin podpisów właściwie tylko do dnia 1-go października r. 1887-go; lecz dyrekcyja i rada pragnęły termin nowy przedłużyć do 1 marca r. 1888-go oraz wspólnie z walnym zebraniem powziąć odpowiednie położeniu kroki, ponieważ nie ma widoku, aby żądany kapitał 3-ch milionów mógł się zebrać. Dotąd przez półtora roku zebrało się do dnia 31 stycznia r. 1888 podpisów od 281 osób na 512 akcji tylko, a gotówki około 300,000 marek. Starania przedsięwzięte w Galicyi latem, małe przyniosły rezultaty, z innych stron także niewielkiego już można się spodziewać poparcia, a Wielkie Księstwo Poznańskie samo dostarczyło tylko 300 akcji. Ze względu na to i na okoliczność, że dotychczasowy dyrektor postanowił złożyć urząd, który sprawował bezpłatnie z największym poświęceniem, zarządzające organa banku z bólem serca zdecydowały się położyć koniec tej sytuacji bez wyjścia. Na

wniosek p. Hulewicza obecni oświadczyli dyrekcji i radzie wyrazy zaufania. Dyskusya nad wnioskiem rady i dyrekcji była bardzo ożywioną. Wnioskodawcy motywowali swe żądanie liczbami i niepodobieństwem przeprowadzenia pierwotnych zamiarów. Przeciwnicy wniosku żądali, aby koniecznie wytrwać do 1 października 1889 r. albo ze zmniejszonym kapitałem rozpocząć czynności banku ziemskiego. Odpowiadano im, że to niepodobne ze względu na obecne statuta, któreby najprzód zmienić należało, że dalej bank z tak małym kapitałem nie zdoła opędzić nawet kosztów handlowych, że bardzo prawdopodobna w obecnych stosunkach zniżka walorów, w których ulokowano gotówkę, może założycieli przyprawić o stratę całego kapitału pierwotnego. Przy głosowaniu oświadczyły się 24 głosy przeciw wnioskowi dyrekcji i rady, a 20 za nim. Wszystko więc pójdzie dotychczasowym trybem, a o rozpoczęciu czynności banku mowy być nie może, bo kapitał rozporządzalny 50 tysięcy m. jest za mały, a kapitału zebranego na drugą emisję, nie wolno dyrekcji i radzie naruszyć bez narażenia się na osobistą ciężką odpowiedzialność, dopóki się nie zbierze 3 milionów marek. Ze sprawozdania dyrekcji dowiadujemy się, że bank zamierzał pośredniczyć w przeprowadzeniu parcelacyi w dwóch majątkach: w powiecie kościańskim i poznańskim. Folwark w powiecie kościańskim sprzedano polakowi przed ukończeniem parcelacyi, co było dla właściciela korzystniejszém; parcelacya w powiecie poznańskim nie mogła być przeprowadzoną z powodu stosunków miejscowych. Za pośrednictwem banku sprzedano folwark 450-morgowy i dwa gospodarstwa włościańskie.

Komitet kasy imienia d-ra Mianowskiego ogłosił: „Regulamini przyznawania nagród z zapisu Jakóba Natanson,“ z równoczesnym zawiadomieniem, iż prace ogłoszone drukiem po d. 14-ym września 1884-go r., których autorowie odpowiadają warunkom, wymagany w § 10-ym regulaminu, składane być mogą na ręce każdego z członków komitetu, zarządzającego kasą pomocy.

Profesor b. Szkoły głównej, Jakób Natanson, jeden z pierwotnych założycieli kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym, zmarły 14-go września 1884-go r., testamentem, spisany w Warszawie w d. 10 lipca 1882 r. i 15 listopada 1883 r. zapisał „rubli trzydzieści tysięcy komitetowi kasy pomocy dla pracujących na polu naukowym, imienia d-ra Mianowskiego, na następujący cel użyteczności publicznej. Co lat cztery mają być udzielane z procentów od powyższej sumy dwie nagrody za dwie największej wartości prace naukowe w ciągu ostatnich lat czterech, przez mieszkańców Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonych, dokonane i w języku polskim drukiem ogłoszone. Jedna z tych nagród przeznaczoną być ma za najlepszą pracę w zakresie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych, historycznych lub tym podobnych.”

Po zatwierdzeniu zapisu przez władzę, w d. 4-ym sierpnia 1885

r. wykonawcy testamentu złożyli do dyspozycji komitetu nie tylko sumę w zapisie wymienioną, lecz i procenty od dnia śmierci zapisodawcy, umożliwiając tym sposobem wcześniejsze wykonanie myśli, w testamencie wyrażonej. Za sumę powyższą komitet kasy w myśl ustawy (§ 4) zakupił 5% listy zastawne Towarzystwa kredytowego ziemskiego. W myśl przytoczonych powyżej warunków testamentu, a zgodnie z ustawą kasy pomocy, komitet, zarządzający kasą, w wykonywaniu woli zapisodawcy rządzić się będzie niżej wymienionymi zasadami i przepisami:

A. Fundusz nagrodowy. § 1. Fundusz nagrodowy powstaje z procentów od kapitału 30,000 rs. z zapisu Jakóba Natansona. § 2. Z funduszu tego powstają co cztery lata dwie, w równej sumie nagrody pieniężne. § 3. Pierwsze nagrody powstaną z procentów, zebranych od dnia 14-go września 1884-go r. do 13-go września 1888 r. § 4. Fundusz nagród każdego okresu, powstający z czteroletnich procentów od kapitału, zwiększa się nadto przez procentowanie powstającej w sposób powyższy sumy. § 5. Fundusz ten procentuje się aż do dnia wypłaty nagród. § 6. Z funduszu nagród pokrywane będą konieczne wydatki, z przyznawaniem nagród związane, a mianowicie: kupno prac drukiem ogłoszonych, jeżeli komitetowi złożone nie zostaną, i kosztą ogłoszeń w pismach, gdy się bezpłatnie zrobić nie dadzą.

B. Przedmiot nagród. § 7. Dwie równe nagrody pieniężne udzielane będą co lat cztery za dwie, największej wartości prace naukowe, w języku polskim ogłoszone w ciągu ostatnich lat czterech. § 8. Pierwsze nagrody przyznane zostaną za prace, ogłoszone drukiem między d. 14-go września 1884-go r., a 31-ym grudnia 1888 r. Następne czteroletnie okresy odpowiadać będą latom kalendarzowym. § 9. Jedna nagroda przyznawana będzie za pracę najlepszą z ogłoszonych drukiem w danym okresie, z dziedziny „nauk ścisłych” (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznymi);—druga za taką pracę w zakresie „nauk społecznych, filozoficznych, prawnych, historycznych lub tym podobnych.” § 10. Nagrody udzielone być mogą jedynie: *a)* poddanym ruskim (§ 2 ustawy); *b)* mieszkańcom Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonym. § 11. Za każde czterolecie przyznane być muszą dwie nagrody za prace, z ogłoszonych najlepsze. Nie dopuszcza się odraczanie nagród dla braku prac znakomitszych, przenoszenie prac z jednego okresu czteroletniego do następnych, ani dzielenie którejkądz z obu nagród. § 12. Przeszkodą w otrzymaniu nagrody nie będzie: *a)* uprzednie nagrodzenie pracy przez inną instytucją; *b)* zapomoga, udzielona przez kasę lub inną instytucją na dokonanie lub ogłoszenie drukiem danej pracy; *c)* rozmiary pracy. § 13. W razie nieprzyjęcia nagrody przez osobę, której przyznana została, nagroda udziela się za inną, najlepszą z pozostałych prac danego okresu i działu.

C. Sposób przyznawania nagród. § 14. Do oceny

przyjmowane będą prace, składane przez autorów, wydawców, członków kasy i w ogóle osoby trzecie, a także zebrane staraniem komitetu kasy. § 15. Jakkolwiek komitet kasy starać się będzie, aby żadna z prac, kwalifikujących się do nagród, w sądzeniu pominiętą nie była, to jednak nie przyjmuje odpowiedzialności za przeoczenie prac, których autorowie lub osoby trzecie w terminie właściwym nie uadeszły. § 16. Prace, czyniące zadość warunkom wymienionym w § 7 i 10, składane być mogą do komitetu w ciągu całego czteroletniego okresu i w ciągu dwóch najbliższych potem miesięcy. § 17. Prace autorów, którzy w okresie na sądzenie prac przeznaczonym, są członkami komitetu kasy, do sądzenia przyjmowane nie będą. § 18. Rozpatrywanie i sądzenie prac dokonywać się będzie przez półrocze następujące, bezpośrednio po upływie konkursowego czterolecia a to porządkiem i sposobem w regulaminie wewnętrznych czynności Komitetu Kasy wskazanym. § 19. Przyznanie nagród nastąpi na pierwszym jesiennym posiedzeniu komitetu kasy, prostą większością głosów członków komitetu, na posiedzeniu, w prawnym komplecie (§ 13 ustawy) obecnych.

Towarzystwo geograficzne w Petersburgu. Z rocznego sprawozdania Towarzystwa geograficznego w Petersburgu widzimy, że członek Towarzystwa, p. Grzymajło odbył nową podróż do płaskowzgórza Pamiru, zwanego „Dachem Świata,” w zachodniej stronie Turkiestanu; podróżnik zaś A. Wilkiki czynił postrzeżenia fizyczne w Archangielsku i na Nowej Ziemi. Fundusze Towarzystwa geograficznego z końcem roku 1887 wynosiły: kapitał nienaruszalny 32,600 rub., fundusz zapasowy 16,000 rub. Na podróże, prace naukowe, wydawnictwa, bibliotekę i nagrody wydano 27,000 rub.; inne wydatki wyniosły 9,000 rubli.

Dr. Aleksander Fabian, zaszczytnie znany z kilku prac naukowych, uczony lekarz lwowski obrał sobie za przedmiot dwóch odczytów, które na korzyść Osad rolnych w sali ratuszowej wypowiedział, naukowo nie wyjaśniony jeszcze hypnotyzm. Zaznaczywszy na wstępie fakt, iż z pomnożeniem się liczby chorób nerwowych i umysłowych, przybierających charakter prawie epidemiczny, neuropatologia ściągała na siebie uwagę całych zastępów ludzi inteligentnych i stała się przedmiotem ogólnego interesu, twierdził dr. Fabian, że hypnotyzm jest przedewszystkiem zagadnieniem psychologicznem i ściśle się łączy z zagadnieniami o powstawaniu świadomości, i w ogólnym rysie wskazał kierunek najnowszy badań psychologicznych. Psychologia, stauowiąca dawniej nieodłączną część filozofii transcendentalnej czyli metafizyki, zupełnie się dzisiaj od niej oddzieliła, gdy kwestyą o istocie świadomości i o istocie zjawisk psychicznych wykreśliła zupełnie z zakresu swych badań, zajmując się tylko warunkami powstawania zjawisk duchowych. Jednem słowem: nauka psychologii, na stanowisku dzisiejszem, postępuje drogą badania indukcyjnego i łączy się ściśle z fizjologią, a szczególniej z fizjologią mózgu, która w ostatnich czasach,

dzięki pracom takich mężów jak Ferrier, Hitzig, Meynert, Exner, Wundt i Nothnagel uczyniła zdumiewające postępy. Kwestyą badania istoty duszy współczesna psychologia zostawiła filozofii która ma i mieć będzie zawsze wielkie swoje znaczenie, jako synteza całej wiedzy ludzkiej, jako wyraz odwiecznych dążeń ludzkiego ducha, goniąca za poznaniem przyczyn ostatecznych, których jednak nigdy nie poznamy, jak słusznie głosi prof. uniwersytetu berlińskiego Dubois-Reymond, gdy mówi: „ignoramus et ignorabimus.“ Materyaliści, głoszący lekkomyślnie, że nauka przyrodnicza rozwiązała ostatecznie wszystkie zagadnienia stworzenia i istoty ducha ludzkiego, nie są w zgodzie z wynikami badań najnowszych nauki.

Nowsza psychologia a raczej psycho-fizjologia odkryła wiele ciekawych faktów, odnoszących się do wyjaśnienia stosunku, jaki zachodzi między mózgiem a zjawiskami psychicznymi, mianowicie wykazała jasno siedlisko inteligencji naszej w szarej korowej substancji mózgu, dowiodła eksperymentalnie, że pierwszym warunkiem objawu świadomości ludzkiej jest dopływ krwi tętniczej do mózgu. Jeżeli na chwilę wstrzymamy krążenie krwi w mózgu, to natychmiast zatrzymuje się ruch całej maszyny zwierzęcej i wszelka czynność mózgowa ustaje. Znakomite poszukiwania Gavarret'a wykazały, że krew czerwona i utleniona, dopływająca do mózgu, wraca z niego czarna i przesycona kwasem węglowym; doświadczenia zaś lekarza francuzkiego Byasson'a dowiodły, iż komórki mózgowe zużywają podczas swjej czynności fosforany. Krew więc jedynie tym mózgowym komórkom dostarcza żywiciel podniety, a w mózgu podczas myślenia odbywa się równie bystra przemiana materji jak i w pracującym mięśniu. Jeżeli ściągający się mięsień wyzwala ciepło, to wyzwala je bez kwestyi i pracujący mózg. Że podczas myślenia temperatura mózgu się podnosi, dowiedzionem zostało doświadczalnie przez dowcipne doświadczenia dra Lombarda i prof. Schiffa. Warunki więc powstawania myśli objaśnić dziś można jako jeden z aktów i spraw fizyko-chemicznych; na istotę jednak myśli i na istotę świadomości naszej rzuconą jest jeszcze i przy najnowszym postępie nauk równie jak i dawniej nieprzejrzysta zasłona: tu jest granica ludzkiego poznania.

Czynność mózgu, uczył dalej szan. prelegent, ulega chwilowemu zawieszeniu podczas snu; wtenczas dopływ krwi tętniczej się zmniejsza, albowiem kiedy ruch życiowy się przerywa, to i odżywczego materiału inniej potrzeba. Sen dla mózgu jest tém, czém spoczynek dla pracowanych członków: jest on więc niezbędnym warunkiem naszej egzystencji i zdrowia.

Nauka tak młoda jak psycho-fizjologia, wykryła już jednak wiele faktów, rzucających jaskrawe światło na przejawy życia duchowego u zwierząt, nawet jak dowiodły doświadczenia Claude Bernard'a i u roślin; zaczątki więc życia umysłowego spotykamy na wszystkich szczeblach rozwoju natury organicznej, a wspinała inteligencya korony

w tym ogrodzie życia—t. j. człowieka, różni się od inteligencji zwierzęcia tylko ilościowo, ale nie jakościowo. Ciągły rozwój i ciągłe doskonalenie się równie w sferze zjawisk biologicznych jak i psychicznych jest zasadniczą cechą natury organicznej; ciągły ruch zaś i postęp jest zasadniczym prawem wszechświata.

Mózg i rdzeń pacierzowy u noworodków znajduje się na niskim stopniu rozwoju w porównaniu z innymi organami; temu odpowiada i niski stopień inteligencji. W miarę zaś tego, jak mózg rośnie i ulega odpowiednim przemianom wewnętrznym, potężnieje rozum, zjawia się świadomość i korona aktów duchowych—mowa. Jest ona zmysłowym, zewnętrznym symbolem ludzkiej umysłowości; bez niej byłyby niemożliwymi i postęp i ciągłe doskonalenie się duchowe ludzkości. Bardzo kunsztownie objaśnił szan. prelegent genezę czynności umysłowych u dziecka.

Po takim wstępie, który z powodu obfitego nagromadzenia najnowszych faktów naukowych, trudnym był do zrozumienia dla ogółu słuchaczy, drugi swój wykład poświęcił dr. Fabian właściwemu swemu zadaniu, t. j. wyłożeniu objawów istoty hipnotyzmu.

Hipnotyzm pochodzi od wyrazu greckiego *υπνος*—sen, oznacza więc stan chwilowego uśpienia, wywołanego zawsze środkami sztucznymi. Już lekarz angielski Braid doskonale określił hipnotyzm jako „szczególny stan systemu nerwowego, stan wywołany sztucznymi środkami.“ Pogląd więc Braid'a w tej kwestyi zasadniczo się różnił od zapatrywania się Mesmer'a, który hipnotyzm uważał jako rezultat wnikiwania pewnego płynu nieważkiego do substancji nerwów. Widzimy więc, iż Mesmer przyodziewał ów hipnotyzm, a raczej jak go sam nazywał „magnetyzm zwierzęcy“ w szatę cudowności, kiedy u Braid'a spotykamy się już z czysto racjonalnymi poglądami; dla tego hipnotyzm i Braidyzm uważają się obecnie za synonimy.

Jednostajne, dłużej trwające wrażenia zmysłowe działają na osobniki usposobione hipnotyzująco. Zupełny spokój w otoczeniu pacjenta, dobra jego wola poddania się czynnikom hipnotwórczym i skupienie całej uwagi, są warunkami niezbędnymi hipnozy. Wpatrywanie się w oczy pacjenta przez magnetyzera jest sposobem najczęściej używanym; jakaś szczególna siła wzroku nie jest tu wcale potrzebną. Jeżeli po upływie kilku minut wpatrywania się w oczy pacjenta, nie zamkną się one same, to wielkim palcem przymykamy górne powieki i trzymamy je przez chwilę spuszczone. Wtedy sen występuje natychmiast; można również wywołać hipnozę przez wpatrywanie się w jakiś przedmiot błyszczący, nie odbiegając myślą od niego. Pewne zmęczenie systemu nerwowego sprzyja powstawaniu hipnozy jak również i częste hipnotyzowanie. Bardzo często się zdarza, iż osoby za pierwszym razem nieczułe na wpływ czynników hipnotwórczych, za drugim i trzecim razem łatwo ulegają hipnozie. W ogóle wszystkie bodźce zmysłowe, byle słabe, monotonne i dłużej trwające są w stanie wywołać stan hipnotyczny. Obok tego istnieje cały szereg czynników hyp-

notwórczych, które możnaby nazwać psychicznymi. Silne wzruszenia, oczekiwanie czegoś niezwykłego, wiara w nastąpienie jakiegoś cudownego zjawiska, a jak w danym razie w nastąpienie snu hypnotycznego, już same przez się zdolne są u niektórych indywidualuów sen wywołać. Prof. wrocławski Heidenhain, jeden z pierwszych naukowych badaczy hypnotyzmu, oświadczył raz pewnemu studentowi medycyny, że tegoż dnia o 4 po południu zostanie we własnem mieszkaniu zamagnetyzowany; o oznaczonej godzinie student zasnął istotnie. Widzimy tutaj, iż samo oczekiwanie czegoś nadzwyczajnego i silna wiara, że oczekiwane zjawisko przyjsć musi, wystarczają w zupełności do wywołania hypnozy. Jest również pewna nieznaczną ilość indywidualuów, które zasypiają w skutek samego poddawania myśli o śnie. Przy pierwszych próbach hypnotyzer nakazuje im utkwicć oczy na swych palcach lub innych przedmiotach i jednocześnie ciągle wmawia im myśl o zaśnięciu. Niektórzy zamykają oczy i zasypiają natychmiast. U osób obłąkanych, pijanych, trudno jest bardzo wywołać hypnozę a to z przyczyny, iż indywiduala te nie są w stanie skupić uwagi na jeden przedmiot.

Jak już zaznaczyliśmy powyżej, w skutek powtarzania doświadczeń, skłonność i wrażliwość na czynniki hypnotwórcze wzrasta. Pewna więc „dressura hypnotyczna” jest faktem niewątpliwym; niektóre indywiduala są zupełnie niewrażliwe na czynniki hypnotwórcze.

Co do symptomatów hypnozy, to przedstawiają one obraz podrażnienia pewnych okolic mózgowia, obok zahamowania (powściągu) czynności drugich. W ogóle spotykamy albo stan kataleptyczny t. j. zupełne stęzenie mięśni z ich woskowatą giętkością, albo stan letargiczny, albo nakoniec somnambuliczny. Twarz bez żadnego wyrazu, wzrok nieruchomy i jakby skamienienie w najdziwaczniejszej postawie cechują katalepsyą.

W stanie tym ogólna wrażliwość zupełnie znika; występuje zupełna bezwłasnowolność i automatyzm. Niektóre zmysły jak smak, słuch ulegają osłabieniu; inne przeciwnie zyskują na energii. Za pomocą odpowiednich bodźców zmysłowych, można kataleptykowi poddawać halucynacje lub wykonanie pewnych czynów. Jeżeli np. włożymy w jego rękę pewien przedmiot, którego użytek zna dobrze, natychmiast kataleptyk zacznie wykonywać ruchy, jakby się przedmiotem tym posługiwał i t. d. Czucie przytém zupełnie ginie, tak iż można wykonywać nawet małe operacje chirurgiczne bez żadnego bólu dla pacjenta; Braid posługiwał się już tym sposobem znieczulania. Po przebudzeniu się osoba zahypnotyzowana bynajmniej nie pamięta doświadczeń, jakim ją poddawano, ale za to przypomina sobie o nich dokładnie, wczasie drugiey hypnozy. Rozważając dokładnie działanie hypnotyzmu, przyjsć musimy do przekonania, iż działa on na nasz mózg na podobieństwo niektórych trucizn, a zwłaszcza narkotyków: jak morfina, opium i t. d. Hypnotyk uderzająco przypomina początek upojenia się chloroformem lub haszyszem i niemożność mówienia (nietyśność), zupełne pozbawienie woli, oderwanie od świata zewne-

trznego obok nadzwyczajnej nadczułości zmysłów i niewrażliwości na ból (analogii), uprawniają w zupełności porównanie między upojeniem początkowym pewnymi narkotykami a hypnotyzmem. Ten ostatni, mówiąc za Charcot, jest eksperymentalnie wywołaną chorobą nerwową (nerwicą).

Co do praktycznego znaczenia hypnotyzmu, to ma on jedynie zastosowanie w leczeniu pewnych chorób nerwowych i to głównie funkcjonalnych, t. j. bez stałych zmian anatomicznych w ośrodkach nerwowych. Działanie lecznicze hypnotyzmu jest przedewszystkiem kojące t. j. hypnotyzm może złagodzić ból, sprowadzić sen, nie wywierając radykalnego wpływu na samą chorobę. Tutaj przypomina on znowu działanie narkotyków, które usuwają ból, sprowadzają sen; dłużęj jednak używane, powiększają wrażliwość nerwową i osłabiają organizm. Tam, gdzie zaszły już zmiany w utkanii cząstek, gdzie nastąpił zanik elementów nerwowych, tam, powtarzamy, hypnotyzm nie pomaga i nic też pomódz nie może. W grupie więc innych środków leczniczych, działających na samą istotę choroby, można w pewnych przypadkach posługiwać się hypnotyzmem dla złagodzenia pewnych uciążliwych objawów; trzeźwa jednak krytyka naukowa i obiektywny pogląd na rzeczy nie pozwalają podnosić go do znaczenia jedynej metody leczniczej. Należy dokładnie sformułować wskazania lekarskie i oznaczyć wypadki, w których z korzyścią hypnotyzm stosować można. To mogą uczynić tylko dokładne obserwacje kliniczne i na prawdziwych naukowych metodach polegające badanie doświadczalne. Słusznie zauważył sz. prelegent, iż postęp każdej nauki a medycyny w szczególności, polegać musi nie na fanatycznym uprzedzeniu do pewnych poglądów i teoryj, ale na chłodnej analizie i obserwacji wszelkich faktów pro i contra. Uparte twierdzenie nie jest dowodzeniem, a uganie się za efektami i poklaskiem nieświadomego rzeczy tłumy, nie znamionuje prawdziwego męza nauki. W końcu nadmieniamy, że odczyty dra Fabiana wywarły w ogóle wrażenie dodatnie; jakkolwiek pierwszy pod względem naukowym znacznie lepszy, był z powodu przeładowania faktami i terminami naukowymi dla szerokiego ogółu niezupełnie zrozumiały; w drugim zaś czuć było pewną pobieżność w przedstawieniu rzeczy, co się ogromem zadania, przy tak krótkim czasie, zupełnie tłumaczy.

Dr. Władysław Chodecki.

Dnia 1-go lutego zostało otwarte w sposób uroczysty Konserwatorium muzyczne w Krakowie. Przy tej sposobności dr. Szlachtowski, prezydent miasta, jak i nie mniej dyrektor konserwatorium p. Żeleński, w obszernych przemówieniach wskazywali na wielkie znaczenie tej nowej w Krakowie instytucji, ciesząc się nadzieją, że wychowanie racjonalne na polu muzyki w tej szkole, wpłynie korzystnie nie tylko na podniesienie ukształcenia estetycznego, które przy całej modnej muzykomanii bardzo u nas nie domaga; ale i na rozwój Towarzystwa muzycznego w Krakowie. Szczęść Boże! obywatelskim intencyom.

Wystawa higieniczno-lekarska i dydaktyczno-przyrodnicza. Zgodnie z uchwałą Wydziału gospodarczego V Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich, urządzoną będzie w drugiej połowie lipca b. r., w czasie zjazdu we Lwowie, Wystawa przedmiotów, wchodzących w zakres nauk przyrodniczych i lekarskich, ze szczególnem uwzględnieniem higieny i dydaktyki przyrodniczej. Celem Wystawy jest: przedstawienie *a)* ruchu naukowego w dziedzinie umiejętności przyrodniczych i ich zastosowania, *b)* stosunków zdrowotnych kraju, *c)* zdobyczy i postępów, osiągniętych na polu higieny, *d)* środków naukowych i pomocniczych, używanych w najnowszych czasach w dziedzinie nauk przyrodniczych i lekarskich pod względem dydaktycznym, *e)* wynalazków i udoskonaleń fabrycznych, mających na celu ochronę zdrowia i życia robotników, *f)* produkcyi krajowej, wchodzącej w zakres wiedzy lekarskiej i t. p.

Dla urzeczywistnienia celów i zadań Wystawy, utworzył się Komitet Wystawy, który po rozdzieleniu całego materiału na 9 grup obrał dla każdej grupy poszczególnych referentów, których zadaniem będzie czuwanie nad zebraniem odpowiednich przedmiotów wystawowych, urządzenie oddzielnych grup, zachęcenie wystawców do uczestnictwa i t. p. W myśl powyż przedstawnego celu Wystawy, Komitet uprasza wszystkich dbałych o dobro kraju, o najgorętsze popieranie usiłowań jego, czy to przez czynny udział w samej Wystawie, czy też przez zachęcanie innych do współudziału. Wystawa obejmować ma dziewięć grup, a mianowicie: 1) grupa bakteryologiczna (referenci: protomedyk dr. Biesiadecki i prof. Szpilman); 2) higiena szkół (ref. prof. Bisanz, inspektor szkół Baranowski, dr. Merunowicz i nauczyciel Piórkiewicz); 3) higiena mieszkań (ref. dr. Pawlikowski i architekt Świątkowski); 4) higiena szpitali (ref. dr. Czyżewicz, dr. Merczyński i architekt Rawski); 5) higiena fabryk (ref. dr. Merunowicz, prof. Pawlewski, inspektor przemysłowy Nawratil i inżynier Wang); 6) wystawa przyrodniczo-dydaktyczna (ref. prof. Witkowski i Petelenz, inspektor Baranowski i dyrektor seminaryum Dziedzicki); higiena aptekarska (aptekarze Jabłonowski i Kochanowski); 8) pokarmy i napoje (dr. Wilczkowski i fizyk miejski dr. Dunin-Wąsowicz) i 9) asenizacya miast.—Bliższe szczegóły programu ogłoszone zostaną później.

Z pola działalności Akademii umiejętności w Krakowie uzupełniamy kronikę niniejszą wiadomościami, odnoszącemi się do czasu dawniejszego, którą dopiero w lutym otrzymaliśmy. Dnia 5-go grudnia 1887 r. w Akademii umiejętności odbyło się pod przewodnictwem dr. Estreichera zwyczajne posiedzenie wydziału filologicznego, na którym prof. St. hr. Tarnowski ocenił pracę dr. Wierzbickiego p. t. „Żywot i działalność Jana Heweliusza” i polecił ją do pomieszczenia w wydawnictwach wydziału. Następnie hr. Jerzy Mucielski odczytał rozprawę p. t. „Nieznany polski poemat polityczny o Sobieskim przed jego elekcyą.” Poemat ten zatytułowany: „Mar-

sowa pod Kałuszą transakcyja z Ordą,“ znajduje się w jednym z rękopisów biblioteki hr. Tarnowskich w Dzikowie z ostatnich dziesiątków XVII w. i opiewa ośmiodniową kampanią Sobieskiego i zwycięstwa jego nad tatarami pod Niemirowem, Komarnem i Kałuszem w r. 1672. Prelegent w rozprawie swęj stara się uzasadnić przypuszczenie, iż autorem poematu jest Wespazyan Kochowski, a to na podstawie szczegółowego rozbioru właściwości utworu i porównania ich z charakterystycznymi znamionami poezyi autora „Klimakterów.“ W końcu prof. Malinowski podał zestawienie niektórych ustępów Biblii Szarospatackiej z odpowiednim tekstem Biblii staroczeskiej Zabłockiego, z uwzględnieniem Vulgaty. Z zestawienia tego okazuje się: 1) że niektóre miejsca w obu zabytkach zawierają tekst jednakowy i w obu błędnie wyłożony, w skutek fałszywego zrozumienia wyrazów łacińskich w Vulgacie. Badania p. ministra Ireczka wykazały jednak, że błędny wykład wielu z tych ustępów jest właściwością tłumaczenia staroczeskiego biblij wszystkich redakcyj. Okoliczność więc ta nie może dowodzić jeszcze bliższej zależności przekładu polskiego od tekstu redakcyi, do której należy kodeks Zabłockiego; 2) W innych miejscach tekst Biblii Szarospatackiej zależny jest od tekstu staroczeskiego, lecz źle zrozumiany; 3) Są znowu ustępy, w których wyrazy i zwroty łacińskie są zupełnie inaczej przetłómaczone w przekładzie polskim, aniżeli w czeskim; 4) W innych ustępach tekst jest różny, lecz tekst Biblii Szarospatackiej widocznie jest zależny od jakiejś innej redakcyi czeskiej; 5) Są téż ustępy, w których wyrażenia Vulgaty u Zabłockiego są wyłożone błędnie lub skażone i przekręcone, zaś w Biblii Szarospatackiej przekład jest wierny. 6) Nakoniec: są ustępy w obu kodeksach różnie wyłożone, i to w tekście staroczeskim Zabłockiego wiernie—w Biblii Szarospatackiej błędnie, w skutek złego zrozumienia tekstu Vulgaty. Z tych niejednostajności prelegent wyprowadza wniosek, iż Biblia Szarospatacka nie zostaje w tak bliskim związku genetycznym z Biblią Zabłockiego, jak to kilkakrotnie twierdzono. W dyskusyi nad tą kwestyją przyjął udział ks. Ign. Polkowski.

Na posiedzeniu tegoż wydziału dnia 1 lutego, profesor Morawski zdawał sprawę z postępów wydawnictwa Krzyckiego a w szczególności mówił o wychowaniu Krzyckiego i śladach jego studyów w Bolonii. Głównym jego nauczycielem był tamże sławny humanista Urceo Codro. Krzycki przywiązał się do niego serdecznie, był między studentami, którzy wynieśli w r. 1500 ciało ukochanego mistrza na cmentarz, a w Polsce zwracał się do niego tęskną myślą, naśladowając jego poezye. Również widnieją w poezyach Krzyckiego reminiscencye z utworów Angielia Politianusa, przyjaciela Kodrusa. Reminiscencyom tym poświęcił prof. Morawski kilka uwag. Następnie sekretarz złożył pracę p. Maryana Kurpiela o trzech nieznanych dotąd wierszach, o których znalazca sądzi, iż są pióra Ign. Krasickiego. Jeden z nich p. n. „Paw z dworu pana Podstolego,“ znajduje się w jednym z rękopisów biblioteki Jagiellońskiej i odnosi się do słynnego procesu Dugrumowej w 1785

r. Drugi wiersz, a raczej list wierszowany nosi tytuł „Do Dolfusa“ i został odpisany z rękopisu biblioteki Ossolińskich. Trzeci z tego samego rękopisu ma napis: „Poselstwo do Rzymu“ i odnosi się do wystąpienia od Targowiczana jakiegoś prałata w poselstwie do Rzymu. Treść, forma i dykcya, zwłaszcza dwu ostatnich utworów, nie pozostawiają żadnej wątpliwości, iż autorem ich jest Krasicki.

Dnia 27 stycznia r. b. odbyło się w Akademii umiejętności w Krakowie posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego, na którym przedstawiono rozprawy następujące: 1) Żmurko: „O powierzchniach sprzężonych z powierzchnią rzędu drugiego;“ 2) Niementowski: „O anhydrozwiązkach;“ 3) Bandrowski: „O pochodnych chinonimidu;“ 4) Kozłowski: „O zaćmieniu słońca w Krasnojarsku w roku 1887,“ i 5) Tondera: „Skręcenie łodygi u *Gentiana asclepiadeae*.“ Na posiedzeniu zaś administracyjnym wszystkie te rozprawy odesłano do komitetu wydawniczego, a prof. Karliński podniósł ważność fundacyi p. Elizy Thomson w Bostonie, wynoszącej 2,500 dolarów rocznie. O subwencye z tej fundacyi, które dochodzą 500 dolarów, mogą się ubiegać uczeni wszystkich narodowości; nie jeden z uczonych europejskich już z tej fundacyi korzystał.

Komisya antropologiczna Akademii umiejętności odbyła posiedzenie w d. 3 lutego b. r., na którym sekretarz prof. Kopernicki zawiadomił o postępie druku XII tomu „Zbioru wiadomości antropologiczno-etnograficznych.“ Tenże przedstawił dary nadesłane komisji w rękopismach i przedmiotach muzealnych. Do ostatnich należą: ofiarowana przez p. Szukiewicza czaszka ludzka i kilka przedmiotów żelaznych z grobu, obłożonego kamieniami, ze wsi Naczy w pow. lidzkiem. Od p. Bol. Popowskiego liczne i cenne przedmioty, wykopane przez niego wspólnie z prof. Iwanowskim z Petersburga, w mogiłach niedaleko drogi żelaznej Wołosowa w Jampolskiem w gub. petersburskiej, oraz paciorki i wisiorki szklane i z różnych kamieni, ze starożytnych grobowisk Pantokapejskich. Od p. A. Brezy wykopaliska przedhistoryczne z Kuźmińczyka pod Husiatynem w pow. ptołskirowskim. Co do rękopismów: p. Jan Kleczyński z Warszawy nadesłał zbiór melodyi, pieśni i tańców górali z Podhala; p. Marcin Cisek liczne materyały etnograficzne z m. Żołyni; p. dr. Kartowicz podania białoruskie, zebrane p. Wł. Weryhę, poprzedzone wstępem i uwagą co do potrzeby zmieniania niektórych głosek; p. Józef Stefan Ziemia z Bytomia przesłało 500 piosenek ludowych polskich z okolicy Będzina i Dąbrowy górniczej, tudzież opis obrzędów pogrzebowych ludu ruskiego w okolicach Uszycy na Podolu rosyjskiem; tenże rękopism p. N. Rogowskiego, zawierający opis mieszkań, porządku domowych i obrzędów u rusinów podlaskich, z okolic Drohiczyzna. Z rękopismów tych w miarę ich ważności robi się użytek w zbiorze wiadomości antropologicznych. Z powodu uwagi p. Karłowicza co do potrzeby zmienie-

nia niektórych głosek w publikacjach tekstów białoruskich i ukraińskich, uchwalono, zgodnie z wnioskiem prof. Kopernickiego, pozostać przy dotychczasowej pisowni. W końcu, na wniosek przewodniczącego i sekretarza, komisya jednomyślnie uchwaliła zaprosić do swego grona p. dr. J. Talkę-Hryniewicza.

Dnia 8 lutego odbyło się w Akademii umiejętności w Krakowie posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego, na którym prof. dr. Dargun przedstawił pracę „O źródłach prawa miast polskich w XVI wieku. Źródła prawa karnego w pismach Groickiego“. Do najważniejszych pomników prawa miast polskich w XVI wieku, należą księgi, spisane przez Groickiego, podwójciego krakowskiego, używane przez długi czas w sądach powagi niemal ustawowej. Prelegent zakreślił sobie zadanie źródłowego rozbioru tych ksiąg, rozpoczynając pracę od prawa karnego, do którego z powodu niedostatecznej pod tym względem treści dawnych praw magdeburskich, najwięcej pierwiastków nowych wciągnąć musiał Groicki. Poświęcił on całą księgę opracowaniu pomnikowej konstytucyi karnej cesarza Karola V i wydał ją w polskim przekładzie w roku 1565. Dzieło to „Postępek wybrany z praw cesarskich i t. d.“, obfituje w samodzielne dodatki tłumacza, który wypuszcza znaczną liczbę artykułów, a rozkłada inne, kombinując je w najswobodniejszy sposób. Należało więc przeprowadzić przedewszystkiem dokładny rozbiór każdego z 91 artykułów „Postępku“, wykazując części jego składowe i stosunek jego do 219 artykułów „Karoliny“. Okazuje się przytém dążność tłumacza do złagodzenia zbyt srogich przepisów o torturze, podczas gdy inne dodatki samoistne, mało zawierają treści prawniczej. Następnie należało sobie zdać sprawę z przyczyn wypuszczenia wielu przepisów „Karoliny“. Okazuje się, że materye prawne tych przepisów, są w większej części objęte poprzedniami pismami Groickiego. Opiera on prawo swoje karne, nie pochodzące z „Karoliny“, przeważnie na zwierciadle saskiem i magdeburskiem *Jus municipale* (*Weich bildrecht*) z glosami; dalej na statutach królewskich, na prawie kanoniczném, na literaturze kryminalistycznej swego czasu i na Piśmie św. Pierwiastków tych nie kojarzy należycie w całość logiczną; znajdujemy przepisy karne w żaden nie ujęte system, porozrzucane po „Porządku sądów“ i „Artykułach prawa magdeburskiego“. Rezultat analitycznego zbadania, nie jest dla Groickiego zbyt pochlebnym. Był on kompilatorem, ożywionym najlepszą chęcią, lecz nie rozporządzał ani dostateczną wiedzą, ani metodą prawniczą. Praktyczne znaczenie jego dzieł, wynikające z powtórnych wydań w ciągu dwóch następnych wieków, uzasadnia jednak potrzebę naukowego ich zbadania. Ku większej wygodzie współpracowników, chcących korzystać z rozprawy, zakończył ją prelegent podwójnym rejestrem, wykazującym stosunek między treścią zupełnego systemu prawa karnego owych czasów t. j. „Karoliny“, a wszystkimi pracami Groickiego.

O najnowszych odkryciach archeologicznych w pobliżu Teb zebrano następujące wiadomości: Przedsięwzięte ze strony instytutu niemieckiego w Atenach poszukiwania w pobliżu Teb dały bardzo korzystne rezultaty, które dla nauki równie pod względem historycznym jak i archeologicznym ważne posiadają znaczenie. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, natrafiono na beocką świątynię Kabirów. W dziełach starożytnych są tylko bardzo niedokładne wzmianki o istnieniu i pochodzeniu bogów kabirskich i wiemy tylko, że Beocya była głównym siedliskiem kultu, i że ten prawdopodobnie ztąd przeniósł się do Samotraki. Być może, że nowe wykopaliska, które pod wielu względami zasługują na uwagę, dadzą pewne wyjaśnienie, gdyż to jest pierwsza świątynia Kabirów, jaką dotąd odnaleziono. Podstawa świątyni,—bo ta się utrzymała tylko w całości, spoczywa na głębokości trzech metrów. Ściany wschodnie mają 22,5 długości a szerokości 7 metrów. Świątynia składa się z przedsionka i zamkniętej przestrzeni. Brak ściany tylnej, lecz w tej stronie znajdowała się rura do odpływu krwi ofiarowanych zwierząt. Cokolwiek na prawo znaleziono kostnicę. Zauważono podobno trzy peryody budownictwa, z których jeden należy do siódmego stulecia przed Chrystusem. Pod gruzami znaleziono rozliczne narzędzia z gliny, lecz te są mocno uszkodzone, dalej figury zwierząt z ołowiu, spiżu, miedzi i srebra; przedstawiają one przeważnie świnię i byki. Świątynia, o ile się zdaje, miała pokrycie z płyt łuskowatych. Niedaleko od niej natrafiono na grube mury, które pochodzą z wielkiej jakiegś budowli, dalsze poszukiwania może objaśnić potrafią.

Smutny stan ekonomiczny, w jakim kraj nasz się znajduje, wymaga energicznych wysiłków ze strony osobistości pojedynczych i całych grup społecznych, aby siłami wspólnymi odegnąć grożące i coraz bardziej przygniatające widmo biedy i upadku finansowego zarówno indywidualnego, jak i krajowego. Ciężkie przesilenie ekonomiczne, jakie wspólnie z całym prawie światem cywilizowanym przeżywamy od lat kilku, najboleśniej bodaj uczuć się daje najważniejszej gałęzi produkcji naszej krajowej, to jest gospodarstwu rolnemu. Gdzieindziej kryzys dzisiejszy zastał gospodarstwa rolne na wyższym szczeblu rozwoju; za granicą, przy bardziej racjonalnej kulturze, przy umiejętniejszym wyzyskaniu warunków miejscowych, przy pomocy ze strony silnego sprzymierzeńca w postaci rozwiniętego przemysłu rodzinnego, przy polityce celnej, prowadzonej przez rządy częstokroć nawet jednostronnie i z uszczerbkiem dla innych warstw społeczeństwa, rolnictwo, jakkolwiek bezwarunkowo odczuwa dotkliwie skutki zastoju powszechnego, to jednak ma więcej sily odporu i cierpliwiej czekać może lepszych czasów. U nas przesilenie ekonomiczne zaskoczyło rolnictwo w chwili, gdy ono zdołało zaledwie przyjsć do jakiejś takiej równowagi po reformie stosunków włościańskich i to do równowagi jedynie pod względem wewnętrznego technicznego ustroju gospodarstwa, strona

bowiem finansowa przedsiębiorstwa rolnego po dawnemu chorowała, a obdłużenie własności ziemskiej wciąż jeszcze rosło zamiast się zmniejszać. Nadto ciężki ten kryzys ekonomiczny, zastał nas zgoła nieprzygotowanych pod względem wyrobienia ekonomicznego. Brak wykształcenia specjalnego, brak ochoty do pracy, ustępujący jedynie pod naciskiem twardej konieczności, brak rachunku, trzymanie się bezmyślnie, prawie mechaniczne, dawniej rutyny, obok lekkomyślnej pochopności do nowatorstwa, wprowadzanego bez należytej oceny krytycznej, życie nad stan i różne inne przywary nasze narodowe, spowodowały wielki nasz upadek materyalny. Pierwszym krokiem zastanowienia na tej drodze fatalnej, jest skojarzenie sił indywidualnych w celu podniesienia produktyjności, w celu racjonalnego i z myślą o przyszłości prowadzonego wyzyskania niezużytych jeszcze bogactw ziemi naszej. Sądźmy, iż zaznaczając to, co zaznaczenia godne, spełniamy w zakresie naszym czyn obywatelski, drobna bowiem iskra zdrowego życia, rozdmuchana i podniecona, może kiedyś zajaśnieć światłem, które pociągnie do siebie innych, zachęci do prób i walk nowych, z myślą o postępie i odrodzeniu zarówno ekonomiczném, jak i obywatelskiém.

Taki drobny objaw dodatni w życiu naszym wiejskiém przedstawia niedawno powstała spółka rybacka. Sprawozdanie jej za rok 1886/7, spotykamy w jednym z numerów „Gazety Rolniczej“, a rezultaty pomyślne, jakie Spółka osiągnęła, przy umiejętném kierownictwie przewodniczącego, p. Adama Przanowskiego z Potoczka, zasługują na uwagę, tém więcej, że jak wiadomo, racjonalne gospodarstwo rybne w kraju naszym, zaliczyć należy do rzadkich wyjątków. A jednak gałąź ta przemysłu wiejskiego mogłaby dawać pomyślne rezultaty finansowe, czego dowodem jest, choćby ta okoliczność, że rok rocznie znaczna ilość ryb przybywa do nas ze wschodnich okolic Cesarstwa i znajduje tu zbyt łatwy i korzystny. Tak np. w r. 1886 samą tylko drogą warszawsko-terespolską, przybyło z okolic tych do Warszawy przeszło 98 tysięcy pudów ryb. Podług sprawozdania, Spółka posiada 842 morgi stawów zarybionych, z których w r. 1886 otrzymano 91,854 funtów ryb; z tej ilości sprzedano funtów 65,269, resztę zaś użyto na zarybek. Rok wprawdzie 1887 dał nieco gorsze rezultaty; lecz w ogóle zarówno u nas, jak i w ościennych prowincjach za granicą, rok ten należał do niepomyślnych. Dochód czysty, jaki Spółka osiągnęła, wynosi ostatecznie rs. 5,673 kop. 39 a co najważniejsza, kwota ta ma być użytą na cele produkcji, mianowicie, na rozszerzenie zakresu działania przedsiębiorstwa.

Więcej takiej zabiegliwości w wynajdowaniu i eksploataowaniu źródeł dochodu, a z czasem stosunki ekonomiczne w sferach naszych wiejskich, wejdą na drogę bardziej normalnego rozwoju.

W. R.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

P. Włodzimierz Stasow wydał w Petersburgu dzieło w języku rosyjskim p. t. „Ornamentacya Słowiańska i Wschodnia w zabytkach rękopiśmiennych” (Petersburg, 1884 i 1887 r.), w którym znajdujemy ciekawe i nader ważne wiadomości o nieznanych dotąd zabytkach rękopiśmiennych polskich, przechowanych obecnie w bibliotece cesarskiej w Petersburgu. Są to: 1) Missale z r. 1264—1269), pochodzące z klasztoru św. Krzyża na Łyséj górze; 2) Psalterz z XIV wieku, pisany w Krakowie; 3) Reguły klasztoru OO. Dominikanów w Sandomierzu w XIV w.; 4) Antyfonarz z XIV-go wieku; 5) Antyfonarz z XV-go wieku; 6) Wokabularz z klasztoru św. Krzyża z XV-go wieku; 7) Missale z roku 1455 — 64, ofiarowane klasztorowi OO. Bożogrobców w Miechowie przez Franciszka Sartoriusa, kanonika krakowskiego; 8) Missale gnieźnieńskie z r. 1482-go; 9) Graduale z roku 1493, pisane przez Prokopa Hoberka dla klasztoru OO. Augustyanów w Krakowie; 10) Missale krakowskie z herbem Gamratów; 11) Reguły klasztoru św. Ducha w Krakowie z XVI-go wieku; 12) Graduale z roku 1528, pisane i malowane przez brata Jana z klasztoru OO. Augustyanów w Krakowie; 13) Graduale z roku 1620, pisane przez Mateusza ze Żnina. Rękopisy te zdobne w cenne malowidła, pochodzą prawdopodobnie z biblioteki warszawskiej Żałuskich.

„Revue d'histoire diplomatique, publiée par les soins de la Société d'histoire diplomatique.“ Paris, 1887. Première année. T. 1 — 4, 8°, str. 650. Paris, 1888. Deuxième année. T. 1, 8°, str. 160.

W lipcu r. 1886-ym zawiązało się w Paryżu Towarzystwo historyi dyplomatycznej („Société d'histoire diplomatique“), pod przewodnictwem ks. Broglie, członka Akad. franc. i b. ministra spraw zagr. Rzpłtęj za Mac-Mahona. Jakkolwiek Francya nie może się skarżyć na brak towarzystw naukowych, to powstałe niedawno „Tow. histor. dyplom.“ jest dla nauk historycznych bardzo pożądaném, ponieważ zamierza uprawiać pole, nie dosyć jeszcze oświetlone z powodu zamkniętych dawniej archiwów państwowych. Skrupuły, dla których jeszcze

w połowie naszego wieku zamykano archiwa państwowe przed okiem historyków, zostały nareszcie przez ostatnie wielkie przewroty polityczne i społeczne usunięte: nić, wiążąca teraźniejszość z przeszłością została gwałtownie potargana lub zerwana, traktaty, na których się opierał pokongresowy ustrój Europy, zostały brutalnie sponiewierane, a nowe formy życia społecznego i politycznego nie znoszą dawniej tajemniczości, z wyjątkiem jedynie spraw bieżących niezatawionych. Zerwanie stanowcze z dawną tajemniczością, przynajmniej co do spraw zatawionych, może jeszcze niekiedy być niedogodnym dla niektórych gabinetów, ale niepodobna zaprzeczyć, że ono stało się właśnie jednym z silniejszych bodźców rozwoju i postępu nauk historycznych w czasach najnowszych. Berlin, Turyn, St. Petersburg, Londyn, Wiedeń, wreszcie Paryż, a ostatecznie i Watykan za panowania Ojca Św. Leona XIII-go otworzyły badaczom dziejów przystęp swobodny do swoich skarbów archiwalnych. Przy pomocy nieprzejrzanych korespondencji dyplomatycznych nuncjuszów, legatów, ambasadorów, posłów, ministrów—wreszcie i samych panujących, wnikamy po pierwszy raz samodzielnie do wnętrza świątyni dziejów, czytamy autentyczne sprawozdania samych głównych działaczy w sprawach, których zatawienie wywierało stanowczy wpływ na dalszy kierunek polityki państw europejskich. Przy korzystaniu ze światła tych dokumentów, uależy jednak jak najskrupulatniej przestrzegać zasad metodologicznej krytyki naukowej, bo żaden z tych dokumentów, uważany osobno, nie stanowi jeszcze wiernego zwierciadła danego faktu; ale jako pochodzący zwykle od osób interesowanych, skrepowanych instrukcją lub urzędem, może łatwo przedstawiać jednę tylko stronę przedmiotu. Aspiracje gorętszego patriotyzmu, względy na poruczoną misję a często niekompetentna w niektórych szczegółach informacja, wszystko to trzeba mieć w pamięci, gdy czytamy dokumenta archiwalne. Dopiero przez zestawienie krytyczne licznych dokumentów archiwalnych z innymi świadectwami współczesnymi, przy pomocy jak najsystematyczniejszej krytyki naukowej, można stworzyć pożądane wielkie ognisko wiedzy historycznej, którego promienie niby różnobarwne kolory tęczy zdołają w daną chwilę oświecić przedstawiony nam widnokrąg.

Zarządy archiwów państwowych ogłaszają pod opieką rządów lub osób rodzin panujących „Zbiory dokumentów archiwalnych,“ lecz wy dawnictwa te, przedsiębrane zwykle na podstawie szerokich nader programatów, monumentalne—a rząd mało dostępne, mogą służyć za ważne nader źródło historii dyplomacji europejskiej w ogóle, lecz pomijają często niejedną ciekawy dokument, leżący poza granicą programu danego zbioru, a za drobny, aby mógł być przedmiotem osobnego, samodzielnego dzieła.

W obec takich warunków znani w służbie publicznej dyplomaci oraz historycy, pracujący na polu badań stosunków międzynarodowych, zawiązali (w lipcu 1886 r.) Towarzystwo z zamiarem wydawania czasopisma, któreby ogłaszało prace, podejmowane we wskazanym

zakresie, któreby dawało sprawozdania o całym ruchu naukowym, jaki się w tej gałęzi nauk historycznych w literaturze objawia. Towarzystwo to postanowiło tedy wydawać „Revue,“ której tytuł na czele niniejszej wiadomości wypisaliśmy, zakreślając sobie program następujący: 1) Rozbiór wszystkich spraw międzynarodowych w ich rozwoju historycznym; 2) Wyjaśnienie stosunków, które łączyły Francją z Europą, 3) Gromadzenie i ogłaszanie ciekawszych dokumentów dyplomatycznych, które przy pracach archiwalnych ujawniać się będą. Oprócz tego działu tekstowego, postanowiono ogłaszać obszerny przegląd rozumowany dzieł najnowszych w tym zakresie, nie mniej kronikę luźnych wiadomości literackich na tém polu, oraz bibliografią dzieł, tudzież rozpraw; drukowanych w czasopismach państw nie tylko europejskich, ale amerykańskich, azyatyckich i t. d. „Towarzystwo historii dyplomatycznej“ zwraca uwagę swoją wyłącznie na kwestye polityki *zewewnętrznej* każdego kraju, którą pragnie wyświecić w historycznym jéj rozwoju w sposób sumienny i obiektywny, zamyka zaś stanowczo karty przeglądu swego dla rozpraw i dokumentów, któreby mogły zawierać jakiegokolwiek kwestye drażliwe dla interesów prywatnych lub publicznych w zakresie polityki *wewnętrznej* („un inconvenient pour les intérêts privés ou publics“). Każdy zatém tom tego przeglądu, objętości 10-ciu arkuszy druku obejmujący (rocznie wychodzą 4 tomy), zawiera następujące działy: I. Rozprawy krytyczne lub nieznanne dokumenta dyplomatyczne; II. Sprawozdania z dzieł najnowszych historyczno-dyplomatycznych; III. Kronikę luźnych wiadomości naukowych i literackich w zakresie historii dyplomatycznej; IV. Bibliografią nie tylko najnowszych dzieł historyczno-dyplomatycznych, ale prac drobniejszych i artykułów, drukowanych w czasopismach wydawanych we Francyi, Belgii, Anglii (z koloniami), w Niemczech, w W. Ks. Poznańskim, w Austrii, w Węgrzech, w Galicyi, we Włoszech, w Danii, Szwecyi, Holandyi, w Rosyi i w Królestwie Polskim, w Rumunii, w Hiszpanii, w Bułgaryi, w Grecyi, w Szwajcaryi, w Turcyi, w Ameryce, w Chinach, w Japonii i t. d. Z pomiędzy 40-tu rozpraw krytycznych z historii dyplomatycznej, które czytamy w ogłoszonych dotychczas 5-ciu tomach „Przeglądu,“ zwracają na siebie ogólniejszą uwagę następujące: W tomie I-szym z r. 1887: a) Un manifeste diplomatique de Voltaire p. M. le duc de Broglie; b) L'Autriche et la Confédération germanique (1850 — 1851) p. M. le baron d'Avril; c) L'alliance d'Allemagne et de l'Autriche en 1879. P. M. Rothan; d) Le caractère religieux de la diplomatie au moyen-âge. P. M. Fr. Funck-Brentano; e) Relations diplomatiques de la monarchie de Savoie. P. M. M. Manno, Ferrero et Vayra. W tomie 2-im: a) Le rôle de la guerre dans la formation des Nations et de la Société en général; b) La diplomatie et l'Economie politique. P. M. Fr. Funck-Brentano; c) 1814. Talleyrand (Janvier—mai 1814). Par M. le baron Kerwyn de Lotenhove; d) 1814. Le roi de Wurtemberg. P. M. le docteur de Schlossberger; e) Etat de la cour de Brandebourg en 1694. P. M. Ch. Schofer; f) Rapport secret de P. A. Pecci au Cardinal du Bellay, P. M. de Maulde. W tomio

3-im; a) *Les unions internationales*. P. M. René Lavollée. Autor zestawia tu wszystkie czynniki cywilizacyjne, zbliżające do siebie narody, jak: traktaty, zniesienie niewoli, swoboda żeglugi, prawo własności literackiej i t. d., rozbięra traktat wiedeński i potrójne przymierze i t. p.; b) *Candidature du duc de Leuchtenberg au trône de Belgique* (1831). Par M. le baron Kervyn de Lettenhove. W tomie 4-ym: a) *Le droit naturel au XVII siècle*: Pascal et Domat, Puffendorf. P. M. Fr. Funck-Brentano, b) *L'Allemagne au lendemain de la guerre de 1866*. P. M. Rothan; c) *Origine de la diplomatie*. P. M. Geffroy. W tomie I-szym 1888-ym r.: a) *Négociations relatives au canal Suez*. P. M. le baron A. de Avril; b) *L'évolution de la politique française en Orient, au XVIII siècle* (1734 — 1771). Par M. le comte Waliszewski: c) *Note sur la correspondance d'Oxienstierna*. P. M. Th. Westrin, i w. i. Ażeby zostać członkiem Towarzystwa, trzeba być przedstawionym przez 2 osoby, należące do Towarzystwa i zatwierdzonym przez Radę zarządzającą. Zatwierdzony członek płaci rocznie 20 franków, za co otrzymuje czasopismo „Revue d'hist. diplom.“

W Paryżu wyszło wspaniałe dzieło br. Kervyn de Volkaersbeke p. n. „*Histoire du roi Sobieski*,” z rzadkim wydane przepychem, nakładem Towarzystwa im. św. Augustyna w Lille. Sposób opracowania sumienny i z historią Polski zgodny.

W. A. Ulanickij wydał w języku rosyjskim dzieło p. t. „*Materiały do historii wzajemnych stosunków Polski, Rosyi, Wołoszczyzny i Turcyi w wieku XV-ym i XVI-ym, zaczerpnięte z Archiwum państwowego w Moskwie*.” Moskwa, 1888.

M. O. Klopp wydał w Wiedniu „*Korespondencją cesarza Leopolda I-go z kapucynem Markiem d'Aviano, legatem papieżkim (1680 — 1699) w epoce odsieczy wiedeńskiej przez Sobieskiego*.”

Zasłużony pracownik na polu wydawnictwa źródeł historycznych z epoki Stefana Batorego, ks. Pierling ogłosił w czasopiśmie francuzkiem „*Revue des questions historiques*“ z dn. 1 października 1887 r. ciekawy traktat pod tyt. „*Le mariage d'un tsar au Vatican: Ivan III et Zoé Paléologue*,” w którym dowodzi, że od tego małżeństwa Iwana III-go z Zofią, ewentualną spadkobierczynią Paleologów, poczęła Rosya zwracać oczy swoje na rzymskie cesarstwo wschodnie. Współcześni mieli już rachować się z doniosłością tego faktu, tak, że Wenecyanie uznawali od r. 1476-go prawa Iwana III-go do cesarstwa Bizantyjskiego.

W Elblągu wyszło dziełko p. t. „*Heinrich Nitschmann als Interpret Mickiewicz'scher Werke*.” Elbl. 1888. Jest to spis wszystkich tłumaczeń i objaśnień utworów Mickiewicza, dokonanych przez Nitschmana, a zestawiony przez Wł. Malukiewicza. Spis ten wykazuje, że

Nitschmann przełożył na język niemiecki 18 sonetów krymskich, Grażynę, Czaty, Lilie, Panicz i dziewczyna, Pani Twardowska, Switeż, Switezianka, Trzech Budrysów, Ucieczka i że pisał rozprawy o Panu Tadeuszu, Konradzie Wallenrodzie i Dziadach i w. i.

Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie wyszły „Poezye J. I. Kraszewskiego.“ Wyd. trzecie, str. 8, 253. Piękną, dobrze przez p. Wład. Bełzę uporządkowaną edycya zbiorowa poezyi Kraszewskiego, ułatwi szerokim kołom obznajmienie się z mało rozpowszechnionemi a cennemi utworami poetycznemi J. I. Kraszewskiego.

Nakładem i drukiem O. Zukerkandla i Syna w Złoczowie wyszła książka p. t. „T. M. Plauta Komedyi pięciu Parafrazy” przez J. I. Kraszewskiego. Złoczow 1888. Str. XIII, 219. Data pod przedmową: „d. 18 lipca — 5 sierpnia 1883, Moabit“ określa bliżej ową najsmutniejszą chwilę w życiu Kraszewskiego, w której „Parafrazy Plauta” pisał. Imię starożytnego pisarza niechaj nie odstrasza nikogo od bliższego poznania tych komedyi; nie są one bowiem tylko dla filologów przeznaczone, ale zwracają się do szerokich kół czytelników. Przekład Kraszewskiego mimo całej wierności, jest potoczysty, gładki zrozumiały, jak styl dzisiejszej komedyi salonowej a przy tém pełen barwy poetycznej, energii i życia. Księgarnia O. Zukerkandla i Syna w Złoczowie, której Kraszewski krótko przed śmiercią rękopis oddał, powierzoną sobie cenną rzecz wydała starannie i pięknie we własnej oficynie drukarskiej. Podobizna karty dedykacyjnej: „Doktorowi A. Zipperowi przyjacielska pamiątka od tłumacza. San Remo, 1887,” przechowa próbkę pisma Kraszewskiego z ostatniego roku jego życia.

Nakładem księgarni J. K. Zupańskiego i K. J. Heumanna w Krakowie wyszło dzieło p. t. „Pisma prozą Kajetana Koźmiana.” Krak. 1888, str. XX i 420. Głośny ze swoich utworów poetyckich (Ziemiaństwo, Stefan Czarniecki, Ody i i.) Kajetan Koźmian mniej jest znany jako polityk, dla tego wdzięczność należy się wnukowi poety, p. Stanisławowi Koźmianowi, że się zajął wydaniem tej pożytecznej książki. Jest to zbiór życiorysów, mów i rzeczy treści politycznej i literackiej pióra Kajetana. W pracach tych złożone są zapatrywania i przekonania polityczne, które wyrobił sobie Kajetan Koźmian jako urzędnik, administrator, prawodawca, mąż polityczny, ziemianin, publicysta, mówca, krytyk i dziejopisarz. Choć w różnych chwilach powstałe, tchną one wszystkie jedną myślą i jednem ogrzane są uczuciem; widać ze wszystkich, że je pisał człowiek stałych przekonań, zapatrywań jasnych i trzeźwych na położenie i na zadania porozbiorowe narodu oraz jego przywódców, człowiek, którego słowa nie były nigdy w sporze z jego sumieniem, mąż, który z głębokiej miłości ojczyzny czerpał hart ducha i rzadką

u nas odwagę cywilną wypowiedzania otwarcie swoich przekonań, chociażby one sprzeciwiały się panującej w danej chwili opinii. W przedmowie skreślił sz. wydawca, p. Stanisław Koźmian, wierną a podniosłą charakterystykę Kajetana i obozu czyli kierunku, który Kajetan w swoim czasie reprezentował.

„Nędza Galicji w cyfrach i program energicznego rozwoju gospodarstwa krajowego.“ Napisał Stanisław Szczepanowski. Lwów, 1888, str. XXI i 218, 4-o. Najgłośniejszém u nas od wielu lat hasłem jest nawoływanie do pracy nad podniesieniem materialnego dobrobytu kraju, przy zatrwającém wysuwaniu się coraz więcej ziemi polskiej z rąk dawniejszych jej właścicieli na rzecz pierwiastków obcych. Hataśliwe pobudki, nawołujące do programowej rzekomo „walki o byt,“ przy odsądzeniu ważnej klasy narodu niemal od „prawa życia,“ zamiast wzmacniać—straszą tylko tchórzliwe placówki najmłodszych naszych rycerzów,—a rezultaty tych, że tak powiemy, morałów ekonomiczno-politycznych przypominają dawniejsze zjawisko: byliśmy tylko głośno nadeklamowali—rozumie się dzisiaj nie na nutę zozydzonych romantyków, ale przy pomocy jak najdłuższego sznuru danych statystycznych, cyfrowych, choćby rozmaitej wartości—to deklamacya taka ma już zastąpić potrzebę niezbędnego czynu, potrzebę koniecznej, zgodnej, cichej a poważnej pracy obywatelskiej. Było to od wieków nieszczęściem naszego narodu, a jest poniekąd i do dzisiaj, że w życiu publiczném lubimy się kierować fantazyą a nie chłodną rozważą i ścisłą rachubą; że idąc ślepo za obcymi wzorami i hasłami chwili, podniecamy patryotyzm nasz energią gorączkowego fanatyzmu dla upatrzonej doktryny,—zamiast podtrzymywać go rozumem, obliczającym na zimno, z uwzględnieniem naszego rozwoju dziejowego i wynikłych ztąd stosunków realnego, faktycznego naszego bytu.—Słuchaliśmy niedawno przemówienia Klina pod tyt. „Moi kochani rodacy,“—nie zdążyliśmy jeszcze odetchnąć po zbyt cierpkiej, jednostronnym pesymizmem przesiąkniętej diatrybie doktrynera, gdy p. Szczepanowski, młody a zasłużony w Galicji przemysłowiec i od niedawna temu poseł do Rady Państwa, uzbrojony w ogromną koleczugę statystyki na nową wezwał nas lekcya. Książka p. St. Szczepanowskiego nie powinna atoli pozostać bez korzystnego wpływu na rozjaśnienie pojęć społeczeństwa naszego w najważniejszych kierunkach spraw publicznych.—P. St. Szczepanowski, syn jednego z dyrektorów dróg żelaznych w Galicji, jest z zawodu technikiem i przemysłowcem. Już na uniwersytecie chwycił się za sprawy publiczne i (r. 1865-o) należał do założycieli stowarzyszenia akademickiego „Ognisko” w Wiedniu, które ożywiło ruch umysłowy między młodzieżą. W r. 1868 wyjechał do Francji i Anglii dla poznania naocznie warunków ruchu przemysłowego. W r. 1870 pracował w biurze dra Forbes-Wadson’a w ministerjum indyjskiem i przez 3 miesiące był jako ochotnik zajęty w przedzalni bawełny w Manchester. Zwiedziwszy następnie Włochy, wrócił do Galicji 1873

r. i pracował gorliwie razem z ś. p. Ignacym Łukasiewiczem około podniesienia przemysłu naftowego w Galicyi, chociaż w innej okolicy kraju, mianowicie w Słobodzie rungurskiej w P-cie kołomyjskim. Brał udział w różnych rozprawach przy zatargu przemysłowym z ministrem Dunajewskim, w których występował jako gorący rzecznik interesów kraju. Niedawno temu został p. Szczepanowski wybrany do Rady państwa, gdzie w kole polskiém zalicza się do stronnictwa gorących: stoi wprawdzie jeszcze karnie w szeregu, ale jest malkontentem, którego powolny postęp w pracy przejechać nie potrafi. Autor — zadufany w swój tytuł przemysłowca, przeciwstawia wybór swój, jako wyraz tradycyi polskich z 4-letniego sejmu, Królestwa Warszawskiego, „Kongresówki,” banku Polskiego i t. d. tradycyom, które dzisiaj w Galicyi panują. Zapatrzony na rajskie rozkosze ludności w Anglii, w Węgrzech — a nawet w „Kongresówce,” rozpatrzywszy się w statystyce tych krajów w porównaniu ze statystyką galicyjską, struchlał na widok mieszkańca Galicyi najgorzej żywnego, najgorzej pracującego, najwcześniej umierającego i t. d., i t. d. Autor, zgromadziwszy poważny nader materiał statystyczny z krajów różniących się pod względem gleby, klimatu, rozwoju historii narodu, kultury i t. d., nie zastanawiał się nad jego dokładnością i wiarogodnością, (o której np. co do Królestwa Polskiego, przy braku biura statycznego mowy być nie może); ale z materiału tego chaotycznego i ułamkowego wystawił cyfrowy obraz przerażającej nędzy Galicyi, nędzy, która, jeśli jej prędko leczyć nie zaczniemy, musi koniecznie zaprowadzić społeczeństwo polskie do nieuniknionego upadku. Przeszkodą zaś w tej pracy jest wedle p. Szczepanowskiego „tradycja galicyjska,” która się właściwie składa z 2-ch tradycyi antyobywatelskich, mianowicie a) przedpotopowe tradycje szlachty przedrozbiorowej, które przyprawivszy o zgubę dawną Rzptą w przeszłym wieku, stanowią jeszcze dziś poważną przeszkodę w odrodzeniu się społeczeństwem Galicyi, — b) biurokracya niemiecka, umundurowana po polsku i pisząca po polsku, która nie może jednak stać się dźwignią sprawy narodowej i której nie można powierzyć pieczy polskości. — Deklamacya ta nie przeszkadza jednak autorowi trzeźwo spojrzeć na położenie rzeczy, gdy mówi: „Od czasu, jak (?) nam wolno być Polakami, to także bez ujmy dla swych przekonań i swego honoru każdy Polak może być Austryakiem.” — Sprzeczności takich znajduję się wiele w dziele p. Szczepanowskiego, tak jakby przemiana urzędników mogła być generalnym lekarstwem na dolegliwości Galicyi — musielibyśmy jednak dodać w tym razie jeden warunek, mianowicie, aby te nowe legiony biurokratów były pod energiczną komendą wodza, wybranego za wskazaniem sz. autora, o ile Wiedeń na to pozwoli! — P. Szczepanowski obrał dobrą metodę dla tego rodzaju badań i to stanowi niepoślednią wartość jego pracy; ale, posługując się materiałem nie zupełnie dokładnym a w części przypuszczalnym tylko (co do Królestwa Polskiego), nie uwzględniając warunków naszego rozwoju historycznego, ani różnicy gleby, ani klimatu, przy tém uogólnia-

jąc zanadto pojedyncze szczegóły niezbadane krytycznie, przyszedł do wniosków, które nie odpowiadają wszechstronnie istocie położenia rzeczy.— Nie możemy przy tej wzmiance bibliograficznej zapuszczać się w szczegółowy rozbiór tak poważnego przedmiotu, na który dzieło sz. autora ze wszech miar zasługuje. Rozbiór taki przez kompetentnych ekonomistów, statystów, historyków i obywateli jest atoli tym potrzebniejszy z tego powodu, że przy dzisiejszej temperaturze naszych uczuć obywatelskich, to nas najmocniej chwyta za serce, co społeczeństwo nasze najbardziej chłoszcze i najczarniej maluje, choćby to istotę prawdy obrażało, ale namiętnościom doktryny— rzekomo postępowej— schlebiało!— I dzieło i przedmiot, przez p. Szczepanowskiego poruszony, zasługują na jak najszerzy rozbiór.

Instytucja hipoteki naszej, wyrobiona w kraju długoletnią praktyką i tradycją, doczekała się w tym roku 300 lat istnienia. W lipcu przypadnie znowu 70 lat od zaprowadzenia obowiązującej obecnie ustawy. Dwie te pamiątkowe rocznice uczciły „Kłosa“, podając w dwóch numerach: 1179 i 1180 szereg artykułów, zmierzających do upamiętnienia instytucji, która tak chlubnie społeczeństwu naszemu oddała usługi. — Materiał zawarty w tekście, pod względem chronologicznym, tak się przedstawia: uczony lwowski, Oswald Balzer, zagaikł rzecz o zastawie użytkowym, który uprzedził właściwą hipotekę. Pan Władysław Andrychiewicz, członek tutejszego sądu handlowego, rozebrał ustawę „o ważności wpisów“, której ukazanie się 30 stycznia 1588 r. stanowi termin a quo tegorocznego jubileuszu. Procedurę hipoteczną w grodach starościńskich opisał kompetentnym piórem pan A. P. Te artykuły zamykają materiał historyczny. — Stronę dogmatyczną obrobił adwokat Jasiński, przedstawiając w sposób dostępny dla ogółu ustawę obecnie obowiązującą, której wprowadzenie oraz pierwotną regulacją podał p. Ł. Dział felietonowy znowuż wypełniają dwie prace, a mianowicie: życiorysy zasłużonych hipotekaryuszy i rzecz „o opłatach akcyonaryjnych“, żywo skreślona przez adw. Adolfa Kuligowskiego. Wykład utrzymany w tonie dostępnym dla ogółu szerszego, czyni materiał zawarty w „Kłosach“ pożądanym nie tylko dla samych prawników, lecz i dla wszystkich, co rzeczy krajowe miłują. Tekst ilustruje siedm portretów i stare gmachy pohypoteczne, oraz podobizny zamków, w których grody miały swoje siedlisko. Całość, zdaniem naszym, jest użytecznym przyczynkiem do ubogiej literatury w zakresie prawa rzeczowego i dziejów hipotekoznawstwa.

Nakładem W. Koebner'a we Wrocławiu wyszło studjum Władysława Lutosławskiego w języku niemieckim pod tyt. „Erhaltung und Untergang der Staatsverfassungen nach Plato, Aristoteles und Machiavelli.“ Breslau, 1888, str. 140. Autor wydał studjum to w języku niemieckim w celu pozyskania stopnia naukowego magistra filozofii, w uniwersytecie Dorpackim, zamierza jednak nadal pracować na

polu literatury polskiej. Autor rehabilituje do pewnego stopnia Platona, zagłuszonego, jak dowodzi, niesłusznie przez Arystotelesa w literaturze nauk politycznych. Praca p. Lutosławskiego znalazła zasłużone uznanie w oczach krytyki niemieckiej. Mając przysposobiony jej rozbiór szczegółowy dla Bibl. Warsz., poprzestajemy tymczasem na tój wzmiance bibliograficznej.

Wydawanego przez grono naszych filologów szacownego nader dzieła pod tyt. „Prace filologiczne,“ wyszedł w Warszawie (1888) zeszyt 2-gi tomu II-go (skład główny w księgarni E. Wendego), odznaczający się temi samemi, co i poprzednie zeszyty zaletami, znanemi czytelnikom Biblioteki ze szczegółowych rozbiorów kompetentnego filologa, p. Romana Zawilińskiego. W zeszycie ostatnim czytamy: 1) Kalina Ant.: „Przyczynek do historyi konjugacyi słowiańskiej“ (dok.); 2) Malinowski Lucyan: „Studia nad etymologią ludową“ (c. d.); 3) Nehring Wł.: „Ośm kartek z nieznanój książeczki do nabożeństwa“; 4) Kamiński B.: „Ostatni zwrot w sporze o starożytności rękopisów królowo-wskiego i zielonogórskiego; 5) Kalina Ant.: „Komedia o mię-sopuście z początku XVI-go w.; 6) Karłowicz Jan podał 5 drobniejszych prac lingwistycznych; 7) Kryński Ad. Ant. „Postaci osobliwe przysłówek staropolskich i dzisiejszych gwarowych

W Augsburgu wyszło dzieło prof. tamtejszego król. gimnazjum realnego Antoniego Staubera pod tyt. „Das Studium der Geographie in und ausser der Schule.“ Augsb. 1888, str. XIV + 170. Rozpisany przez króla belgijskiego na rok 1885-ty konkurs międzynarodowy z nagrodą 25,000 franków, żądał dzieła, któreby jak najdokładniej wskazywało środki i sposoby popularyzowania nauki geografii „et pour en developper l'enseignement dans les établissements d'instruction des divers degrés.“ Z pomiędzy 60 rozpraw, które z koła 17-tu narodów nadesłane zostały w 8-u językach, zdobyła praca Staubera wskutek decyzji sądu konkursowego z dnia 10-go lutego 1887 roku obiecaną nagrodę. Udokładnione późniejszymi zdobyczami naukowemi wyszło studyum to z druku w końcu roku zeszłego. Książka Staubera składa się z „Przedmowy,“ wykładającej zasady poglądu autora, oraz z 2-ch głównych części, rozpadających się na liczne poddziały. W części I-jej mówi autor o potrzebie wprowadzenia nauki geografii do programatu szkół wszystkich stopni, zwracając przytém uwagę na całą metodologią wykładu tego przedmiotu, wraz z opisem i rozbiorem wszelkich pomocy naukowych (mapy, atlasy, globusy, różne inne przyrządy, karty wypukłe, wzory obrazkowe i t. p.), postępując od szkół elementarnych (str. 48—75) do szkół średnich (od str. 75—107) i uniwersytetów (str. 107—140). W części 2-jej mówi o popieraniu nauki geografii poza szkołą: przez podróże, zakłady topograficzne, towarzystwa geograficzne, opiekę rządów, politykę kolonizacyjną, — zjazdy i kongresy geograficzne i t. d. Wykład nie jest równomierny i dyspozycja nie do-

syć przejrzysta. Z powodu planu, jaki sobie autor obrał, trudno mu było uniknąć powtarzania tych samych rzeczy na różnych stopniach, co sam przedmiot niekiedy zaciemnia. W każdym razie jest to studjum poważne.

Nakładem „Prawdy“ wyszła z powodu setnej rocznicy urodzin Byrona ciekawa książka pod tyt. „Byron“ (w urywkach) w setną rocznicę jego urodzin wybrał i ułożył Nap. Hirszbard. Warsz. 1888, str. 188. W treściwém słowie „Do Czytelnika“ objaśnia nas p. Hirszbard z zadaniem, które zamierzył, oraz ze sposobem, w jaki korzystał z najlepszych tłómaczeń polskich utworów Byrona.

N e k r o l o g i a .

† Dnia 29 stycznia r. b. zmarł w Paryżu w 56-ym roku życia literat **Ignacy Marczewski**, znany pod pseudonimem Gustawa Meinerta a w ostatnim czasie sekretarz redakcyi pisma „Głos polski“, wychodzącego w Paryżu. Ś. p. Marczewski znalazłszy się w drugiej połowie szóstego dziesiątka naszego stulecia w Paryżu, oddawał się przeważnie literaturze historycznej, czyniąc skrzętne poszukiwania w bogatych zbiorach paryzkich. W „Przewodniku naukowo-literackim“ wychodzącym we Lwowie jako dodatek do „Gazety Lwowskiej“, ś. p. Marczewski w r. 1885 ogłosił ważną pracę podług źródeł francuzkich: „Wyniesienie na tron Stanisława Augusta“, a w roku zaś 1886 szereg artykułów: „Legioniści polscy w Saint Domingo“. Przedwczesna śmierć przerwała pasmo pracowitego żywota. Cześć jego pamięci!

† Dnia 11 Lutego umarł w Warszawie ś. p. **Augustyn Szmurło**, znany nauczyciel, kierownik szkół i filolog. Szmurło urodził się w d. 28 lipca 1821 r. w Dołhobyczowie, w hrubieszowskiem. Po ukończeniu gimnazjum w Lublinie, wystany był kosztem skarbu Królestwa do uniwersytetu moskiewskiego, który ukończył ze stopniem kandydata nauk filologicznych, licząc 21 lat wieku. Po powrocie do kraju wykładał języki starożytne w gimnazjum 2-ém i w gimnazjum gubernialném. W r. 1857 Akademia Duchowna powołała Szmurłę na profesora literatury greckiej i rzymskiej. Przy otwarciu kursów przygotowawczych do Szkoły Głównej, powołany został na Przełożonego tego zakładu naukowego, w którym wykładał język grecki. W Szkole Głównej pełnił w pierwszym roku obowiązki prof. adjunkta nauk filologicznych. Wkrótce z téj katedry przeszedł na posadę rektora gimnazjum na Nowolipkach, w którym po przemianowaniu go na gimnazjum II był inspektorem i nauczycielem języków klasycznych aż do wysłuzenia emerytury. Po opuszczeniu służby rządowej utrzymywał aż do ostatniej chwili życia progimnazjum klasyczne prywatne. Drukiem ogłosił prace następujące: 1) Historia litterarum romanarum brevissime expolita. Vars. 1851. Str. II. 42. 2) Gramatyka łacińska teoretyczno-praktyczna do użytku w szkołach Okrę-

gu naukowego warszawskiego, nakładem tegoż Okręgu naukowego wydana. Kursów trzy. Warsz. 1857—1860. Kurs trzeci, zawierający składnią ułożył sam Szmurło, resztę wspólnie z nim Krzysz, Stoelzer, Wilch. Fecht i Cypryan Izdebski. Gramatyka ta ułożona jest według niemieckiej gramatyki łacińskiej Kuhnera, a przykłady czerpane z Poplińskiego. 3) O dziejowem stanowisku starożytności klasycznej i o ważności pedagogicznej języków starożytnych. (Lekcja wstępna przy otwarciu kursów przygotowawczych do Szkoły Gł. — Oddruk z „Dziennika Powszechnego“). Warsz. 1862. 4) Mowa przy zamknięciu wykładów w kursach przygotowawczych do Szkoły Głównej d. 7 Sierp. 1862. Warsz. 1862. 5). O kulturze Grecyi, prelekcyja wstępna w Szkole Gł. dnia 26 listop. 1862. (Przedruk z „Dzien. Powsz.“) Warsz. 1863. 6) Kilka słów o celu i kierunku gimnazjalnego nauczania w ogóle i w szczególności o metodzie wykładn języka polskiego, łacińskiego, historyi i geografii w zakresie gimnazjalnym. Warsz. 1865. 7) Iliada Homera, tłumaczona z greckiego wierszem miarowym. Warsz. 1887. — Cześć pamięci pilnego i zasłużonego nauczyciela i obywatela!

† Dnia 12 lutego r. b. umarł w Warszawie **Anzelm Sulikowski**, Naczelnik Kancelaryi Komitetu Tow. Kred. Ziemskiego w Królestwie Polskiem. Ś. p. Anzelm urodził się w Węgrowie na Podlasiu r. 1819. Naukę otrzymał w 8-klasowej szkole Ks. Ks. Pijarów w Łukowie, poczem (r. 1838) wstąpił do służby w Dyrekcji Głównej Tow. Kr. Z. w Królestwie Polskiem. Obznajmiony przez długie lata sumienną służbą z ustrojem władzy i czynności Towarzystwa, służył w obywatelskim duchu instytucji. Ś. p. Anzelm był autorem monografii instytucji p. t. „Krótki rys i zasady Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiem“. Warszawa 1865. Obok zdolności i sumiennosci, których dowody składał przez cały ciąg długoletniej służby, był to kolega dobry; to też poniósł za sobą do grobu żal wszystkich, którzy mieli sposobność poznać go bliżej. — Cześć jego pamięci!

ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY.

NA ROK

1 8 8 8.

Biblioteka Warszawska, pismo miesięczne, poświęcone naukom literaturze, sztukom pięknym i sprawom ekonomicznym, rozpoczęło z rokiem 1888-ym czterdziesty siódmy rok swojej działalności naukowo-literackiej, i wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach 10 arkuszowych.

Usilne staranie „Biblioteki Warszawskiej“ o utrzymanie peryodyczności naukowej w literaturze polskiej; rozbiór spraw nietylko swoich, ale i obcych, obchodzących żywo społeczeństwo nasze; pilna uwaga na postęp w rozmaitych gałęziach nauk, z uwzględnieniem zadania naszej cywilizacji i oświaty narodowej we wszystkich kierunkach pracy umysłu ludzkiego; sprawozdania krytyczne z dzieł naukowych i literackich, wreszcie ogłaszanie utworów literatury pięknej, zajmujących nietylko fantazją, ale całą umysłowość naszą—to są ideały, które Redakcyja „Biblioteki Warszawskiej“ od lat 46-ciu urzeczywistnić pragnie. Za podstawę działalności na polu piśmiennictwa, stanowiącego jeden z najsilniejszych puklerzy indywidualności narodowej w jej przyrodzonym, historycznym charakterze, uznajemy: utrzymanie w czystości języka ojczystego, wzmacnianie ogniw tradycyi narodowej przy świetle postępu nauki i krytyki. Obok dóbr duchowych zwracamy uwagę równie i na interesa dóbr materialnych w dziedzinie spraw ekonomicznych. Zasady te połączyły „Bibliotekę Warszawską“ solidarnym poniekąd węzłem z osobami poważniejszymi na literaturę ojczystą, a obok tego nastęrczyły inteligencyi krajowej możność objawiania i szerzenia światła naukowego, jakie z postępowem powszechnym i naszemu przyświecać powinno narodowi. W ten sposób stała się „Biblioteka Warszawska,” nietylko organem piśmiennictwa naukowego, ale i szkołą dla występujących na polu literatury ojczystej coraz nowych zapaśników. Nie ma bowiem pomiędzy poważniejszymi pisa-

rzami naszymi prawie żadnego, któryby się przy wstępie do świątyni nauk nie był dał poznać na kartach Biblioteki, a wielu dawnych współpracowników „Biblioteki“ przynosi jeszcze dziś zaszczyt literaturze polskiej.

W miarę wszakże powstawania i u nas coraz więcej pism specjalnych, można dzisiaj trzymać się ściślej granic właściwych przegłębdom miesięcznym, nie pomijając atoli względu na interes ogólny przy specjalnych badaniach naukowych, występujących w nowym świetle dzisiejszej nauki i krytyki.

Pisma peryodyczne, trzymające pośrednie miejsce między literaturą książkową i dziennikarską, stanowią we wszystkich społeczeństwach oświeconych coraz bardziej potrzebne organa zasad i dążności, przekonani i teoryi, poglądów i doktryn, które się z sobą ścierać powinny dla szerzenia zdrowych pojęć i ugruntowanych naukowo przekonani we wszystkich kierunkach życia ludzkiego.

Program z tych myśli wysnuty będzie i nadal celem, który Redakcyja „Biblioteki Warszawskiej“ osiągnąć zamierza, a to w następujących działach:

- I. Z dziedziny filozofii: rozbiór nie tylko systemów filozoficznych, ale i najnowszych kierunków badań filozoficznych.
- II. W zakresie historii i geografii: obok dziejów powszechnych, dzieje własnego narodu, oraz innych narodów słowiańskich, w ich indywidualnym rozwoju z uwzględnieniem warunków geograficznych.
- III. Z nauki statystyki, ważniejsze kwestye społeczne i ekonomiczne.
- IV. Nauki przyrodzone w ich rozwoju i praktycznem zastosowaniu.
- V. Pedagogia i filologia wraz z lingwistyką, ze szczególną uwagą na sprawy szkolne.
- VI. Literatura i sztuki piękne: poezya i proza (powieść, dramat, poemata).
- VII. Korespondencye w szczegółowych kwestyach naukowych.
- VIII. Sprawozdania i krytyki z piśmiennictwa polskiego i obcego.
- IX. Kronika z kraju i z zagranicy.
- X. Kronika miesięczna o sprawach bieżących, społecznych, naukowych, artystycznych i ekonomicznych.
- XI. Wiadomości bibliograficzne.
- XII. Nekrologia.
- XIII. Ogłoszenia.

WARUNKI PRENUMERATY.

Prenumerata **Biblioteki Warszawskiej**, na rok 1888-y wynosi:

W guberniach Królestwa i Cesarstwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego:

Rocznie	rs. 10 kop. —
Półrocznie	„ 5 „ —

w Warszawie zaś:

Rocznie „	9	„	—
Półrocznie „	4	„	50
Kwartalnie „	2	„	25

Upraszamy o nadsyłanie prenumeraty wprost do **Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, Nowy-Swiat Nr. 41**, gdyż to zapewnia najlepiej akuratańską ekspedycyą pisma. Równocześnie upraszamy o wczesne nadsyłanie prenumeraty, ponieważ do tego stosować będziemy ilość drukujących się egzemplarzy.

Przyjmują także prenumeratę wszystkie księgarnie w Królestwie i Cesarstwie.

Opłata za ogłoszenia w „Bibliotece Warszawskiej” wynosi:

Za ogłoszenie, zapelniające	1 całą stronicę	formatu Bibl. Warsz.	rs.	5
„	„	1/2 stronicy	„	„
„	„	1/4 „	„	„
				3
				2

Redakcyja.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca **J. K. Plebański.**

SPIS RZECZY.

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

z roku 1888.

stron.

Historya.

- O kororę. (Bitwa pod Byczyną dnia 24 stycznia 1588 r.).
Studjum wojenno-historyczne. (Z 2-ma mapkami). Przez Kon-
stantego Górskiego. 1

Nauki polityczne.

- Optymizm a teorye państwowe. I. Hugo Grocyusz. Przez
Eugeniusza Lipnickiego. 33, 208

Ekonomia rolnicza.

- Cło zbożowe w Niemczech. Ocenił C. Reklewski 61

Historya literatury i krytyka.

- Ostatnie wyniki sporu o autentyczność staroczeskich rękopi-
sów Króldowskiego i Zielonogórskiego. Przedstawił Roman Za-
wiliński 73
- O bajkach Juliana Ursyna Niemcewicza. Studjum literacko-
krytyczne. Przez Stanisława Nowińskiego. 329

Powieść.

- Przygody Stacha. Powieść. (Drezno 1884 r.). Przez Jó-
zefa Ignacego Kraszewskiego 94, 235, 410

Kronika naukowa i literacka.

Kronika naukowa lwowska.—Charakter naukowego i literackiego życia we Lwowie. — Sprawozdanie d-ra Zuberera z podróży do Ameryki południowej.—Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych i jego organ „Muzeum.“ — Towarzystwo historyczne. — Wykład d-ra Hordyńskiego o towarzystwach wileńskich.—Towarzystwo literackie A. Mickiewicza i jego „Pamiętnik.“—Listów Zygmunta Krasińskiego tom 3-ci.—Inne wydawnictwa Gubrynowicza i Schmidta. — Tom XII Aktów grodzkich i ziemskich prof. Liskego. Przez L. F-l. . . . 111

Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. — Dzieła uwiecznione na konkursie akademickim.—Albert Sorel: „Europa i rewolucya francuska.—Artur Chuquet: „Pierwszy napad pruski, Valmy i odwrót Brunszwika.“ — Markiz de Courcy: „Koalizya 1701 r. przeciw Francyi.“ — Jenerał Thomas: „Kapitulacye.“ — Książd Allain: „O sposobie nauczania w r. 1789.“—Jakób Denys: „Komedyja grecka.“—Berard Varagnan: „Portrety literackie.“ — Fremy: „Akademia za ostatnich Walezuszów.“ — Wyse Bonaparte: „Studjum nad kanałem Panama.“—Książd Siccard: „Nauki klasyczne przed rewolucyą.“ Allaire: „La Bruyère w domu Kondeusza.“ — Develay: „Przekład łacińskiej korespondencyi Petrarki.“—Carré: „Przekład poezyi Leopardogo.“—Henryk de Pène: Powieść „Trop belle.“ — Guillot: „Paryż cierpiący.“—Cochin: „Ewolucya życia.“ — Faquet: „Studya nad literaturą XIX-go wieku.“ — Pani Dieulafoy: „Persya, Chaldea, Suzyana.“—Hrabina d'Armaillé: „Życie księżniczki Elżbiety, siostry Ludwika XVI-go.“ — Franciszek Fabie: „La poesie des Bêtes.“ — Harel: „Na polach.“ — Zbiór poezyi. — Emanuel Cosquin: „Zbiór powieści ludu lotaryńskiego.“—Blade: „Powiastki gaskońskie.“—Fleury: „Literatura niepiśmienna w Normandyi.“—Juliusz Lemaître: „Prace krytyczne.“ — „Pallas-Athené,“ poemat Emila Moreau. — Caro: „Studjum nad Georges Sand.“ — „Pamiętniki o generale Carnot,“ przez syna. — „Walka o Szekspira,“ dzieło amerykanina Donnelly.—Poeta kanadyjski Ludwik Frechette: „Legende d'un peuple.“ 245

Biografia.

Ś. p. Wincenty Majewski. Wspomnienie pośmiertne. Zeszyt na mies. luty. I—IV

Sprawy społeczne i podróże.

Włochy tegoczesne. I. Piemont i Lombardia. II. Genua. Przez Adolfa Smorzewskiego. 169, 389
Wrażenia z wycieczki na wschód. (C. d.). Zebrał Józef Rogosz. 354

Astronomia.

Historya wynalazku lunety i zastosowania jej do astronomii.
 Napisał dr. Wierzbicki. 191, 369

Sztuki piękne.

Projektta pomników Adama Mickiewicza, nagrodzone na ostatnim konkursie w Krakowie. Przez zY. 428

Przegląd i krytyka piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.

„Praktyczny sposób ustalenia pisowni polskiej.“ (Wyjątek z obszerniejszej pracy jeszcze nie wydanej). Napisał Filograf. Warszawa, 1887, (8-o str. VI i 65). Przez Romana Zawilińskiego. 130

Kazimierz Chłędowski. „Dwie wizyty w Anglii.“ We Lwowie. Gubrynowicz i Schmidt. W Warszawie: Gebethner i Wolff. 1887, str. 364. Przez Romana Plenkiewicza. 121, 283

Percy Bysshe Shelley: „Prometeusz rozpętany,“ dramat liryczny w 4 aktach, przełożył z oryginału angielskiego Feliks Jezierski. Warszawa, 1887, u Teodora Paprockiego i Sp. Przez J. A. Świącickiego. 266

„Ryszard Wincenty Berwiński, rys biograficzno-krytyczny, przez Antoniego Bądzkiewicza, Warszawa, 1887 r.“ Przez Kazimierza Kaszewskiego. 276

„Das Blinden-, Idioten- und Taubstummen-Bildungswesen. Beiträge zur Heilpädagogik in zwanglosen Ausgaben,“ herausgegeben von H. Merle, dr. Sengelmann, H. Söder, Norden, 1887. Przez Władysława Nowickiego. 292

Z belletrystyki:

Walerya Marrené. „Nowelle i Obrazki.“ Warszawa, 1887 r. 436

Marya Konopnicka. „Cztery Nowelle.“ Warszawa, 1888 r. . 440

Eliza Orzeszkowa. „Panna Antonina,“ „W zimowy wieczór.“ (Dwa tomy). Warszawa, 1888 r. Przez Kazimierza Kaszewskiego. . 450

Faust. Tragedya Goethego. Przełożył z niemieckiego na język polski Ludwik Jenike. Warszawa, 1887. Przez Romana Plenkiewicza. 451

Korespondencya.

W sprawie rękopisu Krółodworskiego. Przez Romana Zawilińskiego. 294

Kronika miesięczna.

Styczeń. — Ogólny rzut oka na położenie stosunków europejskich. — Jubileusz Ojca św. Leona XIII-go. — Widoki pokoju i wojny. — Francya. — Włochy. — Anglia. — Działalność germanizacyjna w W. Ks. Poznańskim. — Komisya kolonizacyjna i postępy jej roboty. — Z ruchu naukowego: Posiedzenie komisji historycznej Akademii umiejętności w Krakowie z dn. 3 listopada 1887 r. (Projekt dalszych poszukiwań archiwalnych). — Projekt komentarza rysunkowego do dzieł Adama Mickiewicza przez Konstantego hr. Przedzięckiego. — Seminarjum języków wschodnich przy uniwersytecie w Berlinie. — Zdobycze na polu archeologii we Włoszech. — Z ruchu muzycznego w Warszawie — G. hr. Platera projekt wystawy muzyczno-artystycznej. — Z Ekonomiki: Obrady delegacji rolniej w Towarzystwie przemysłu i handlu dnia 10 grudnia 1887 r. — Ludność państwa rosyjskiego.

138

Luty. — Ogólny pogląd na polityczne stosunki europejskie. — Niepewność sytuacji przy manifestacjach pokojowych. — Dodatkowa reforma organizacji wojskowej w Niemczech, oraz potrzebny na nią kredyt 280 milionów marek. — Obostrzenie i przedłużenie prawa przeciw socyalistom. — Interpelacya posłów polskich z W. Ks. Poznańskiego w sprawie usunięcia nauki języka polskiego ze szkół ludowych. — Gossler poprawia redakcyą stypulacyi kongresu wiedeńskiego. — Rosya. — Austro-Węgry. — Anglia. — Francya. — Włochy. — Serbia. — Bułgaria. — Zgromadzenia ogólne instytucyi kredytowych i dobroczynnych w Warszawie. — Otwarcie wystawy tkackiej dnia 29-go stycznia. — Z ruchu naukowego: Posiedzenie walne Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu. — Akad. umiej. w Krakowie: dnia 13 i 16 grudnia dr. Piekosiński: „O początku szlachty polskiej.“ — Posiedzenie Wydziału matematyczno-przyrodniczego dn. 20 grudnia r. z. — Posiedzenie Wydziału historyczno-filozoficznego Akad. umiej. dnia 12 stycznia r. b. (Ks. Gromnicki: „O zawisłości Polski od Rzymu w wiekach średnich). — Projektowano przez Konstantego ks. Radziwiłła Muzeum starożytności polskich w Paryżu. — Wyrok sądu konkursowego w sprawie pownika Adama Mickiewicza. — Zgromadzenie walne akcyonaryuszów teatru polskiego w Poznaniu. — „Nie wypada,“ komedia M. Wołowskiego i Józefa Kotarbińskiego na scenie teatru Wielkiego w Warszawie. — O naszym przemyśle węglowym (p. Brusnicyna). — Wiadomość departamentu rolnictwa o urodzajach i przypuszczalnej ilości zboża ze zbiorów 1887 roku w Cesarstwie i Królestwie. — Projektowana resursa rzemieślnicza. — 300-letnia rocznica urodzin poety chorwackiego, Jana Gundulicza. — † Józef Hordyński-Fedkowicz

296

Marzec. — Rzut oka na ogólne położenie stosunków politycznych. — Mowa ks. Bismarcka i wywołane przez nią poglądy prasy na

rozpoczęte przygotowawcze kroki dyplomatyczne w sprawie bułgarskiej. — Włochy i Francya. — Roboty sejmu berlińskiego. — Wiadomość o działalności komisji kolonizacyjnej w W. Ks. Poznańskim i Prusach zachodnich. — Walne zebranie „Banku ziemskiego” w Poznaniu. — Regulamin kasy imienia Mianowskiego co do przyznawania nagród z zapisu Jakóba Natansona. — Towarzystwo geograficzne w Petersburgu. — Odczyty na dochód Osad rolnych: Dr. Fabian: Hipnotyzm w nauce a praktyce. — Otwarcie Konserwatorium muzycznego w Krakowie dnia 1-go lutego. — Plan Wystawy higieniczno-lekarskiej i dydaktyczno-przyrodniczej projektowanej na mies. lipiec we Lwowie. — Z ruchu naukowego w Akademii Umiejętności w Krakowie: 1) Posiedzenie Wydz. filologicznego dn. 5-go grudnia 1887-go r. i 1-go lutego r. b. — 2) Posiedzenie Wydziału matematyczno-przyrodniczego dn. 27-go stycznia r. b. — 3) Posiedzenie komisji antropologicznej dn. 3-go lutego r. b. — 4) Posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego dn. 8-go lutego r. b. — O najnowszych odkryciach archeologicznych w pobliżu Teb w Grecyi. — Z ekonomiki: spółka rybacka w Warszawie.

465

Wiadomości bibliograficzne.

Styczeń. — Biblioteka po ś. p. J. I. Kraszewskim. — „Klejnoty miasta Krakowa.” Kraków, 1888 (153). — Reklamujące wydawnictwa gwiazdkowe i noworoczne (154). — Atlas geologiczny Galicyi wyd. Akad. umiejętności. — Regesta biskupstwa rzymskokatolickiego w dawniej Moldawii wydane przez Akademią umiej. w Peszcie. — Zeszyt 2-gi wydawnictwa komisji archeologicznej Tow. przyj. nauk poznańskiego. Poznań, 1887. — Dary bibliograf. (brozury do historii polskiej) przesłane biblioteco Jagiellońskiej w Krakowie przez p. Henryka Bukowskiego ze Sztokholmu (155). — Wydawnictwa beletrystyczne i gwiazdkowe księg. Gebethnera i Wolffa w Warszawie oraz J. K. Żupańskiego i K. Heumana w Krakowie. — Antoni Stanisławski: Boska komedya Dantego Alighieri’ego. — Kazimierz Pułaski: Szkice. — Bałucki, Hajota, Rapacki (156) — Ant. Szymański: Szkice, t. I. — Zeitschrift der histor. Gesellschaft f. d. Provinz Posen. III Rocznik, zes. 2, Rocpell (Rousseau) i dr. Krebs: Elekcyja w r. 1669.

157

Luty. — Ks. Polkowski: 200 najstarszych druków od r. 1462—1500. — Pawiński: „Dzieje ziemi kujawskiej i Rządu sejmikowe od 1572 — 1794” (317). — J. Lekszycki: „Najstarsze wielkopolskie księgi grodzkie” (319). — Wiktor z Baworowa, tłumacz utworów Byrona. — J. I. Kraszewski: Wizerunki ksiąząt i królów polskich (320). — Ostatni rocznik niemieck. „Dioskuren” „O księciu Józefie Poniatowskim” — i powieść o Szopenie. — Dr. Boloz-Antoniewicz: Niemieckie wydanie pism Jana El. Schlegla. — „Revue de l’art chrét.” z opisem 14 medali papieża Inocentego XI na cześć króla polskiego Jana III-go (320). — Vetera Monumenta Vaticana Hungariae, t. II, ser. 2 (dokumenta do historii Jana III)

—M. Janecki: Czy zyskiwali żydzi w Polsce szlachectwo przez chrzest?
 —Spöttle: „O prastarych butach żelaza w Tatrach.—Słownik geograficzny tom VIII.—Karta zachodniej Rosyi wyd. w Wiedniu (321).—Burckhard: Ustawy dla szkół ludowych. — K. Nowakowski: Rejestr firmowy. — Okolski: ustrój państw europ. i Stanów Zjed. Ameryki półn.—Przegląd literacki, jako dodatek nadzwyczajny do „Kraju“ nr. 52 r. z., zawierający szereg rozpraw z dziedziny prawa i ekonomii. — Wrześniowski: Zoologia (322). — Meteorologia H. Mohna w tłóm. St. Kramsztyka. — „Kwartalnik historyczny“ I, 1888.—Leop. Ranke: Przyczynek do hist Niemiec i Francyi w w. XIX-ym. .

323

Marzec. — Zabytki rękopiśmienne polskie w bibliotece cesarskiej w Petersburgu z w. XIII (1264 do 1620.) — Revue d'histoire diplomatique, 1887, t. IV i 1888 t. I-szy (486) br. Kervyn de Volkaersbeke: „Histoire du roi Sobieski.“ — W. A. Ulanickij: „Materyały do hist. Polski, Rosyi, Wołoszczyzny i Turcyi w w. XV i XVI.“ — M. O. Kloppe: „Korespondenoya ces. Leopolda z legatem papieżkim kapucynem Markiem d'Aviano (1680—1699).—Ks. Pierling: Le mariage d'un tsar au Vatican: Jvan III et Zoé Paléologue.“ — Wł. Malukiewicz: „Henr. Nitschmann als Interpret Mickiewiczscher Werke“ (489).—Poezye J. I. Kraszewskiego.—T. M. Plauta komedyi pięciu Parafrazy przez J. I. Kraszewskiego.—Pisma prozą Kajetana Koźmiana (490).—Nędza Galicyi przez St. Szczepanowskiego (411)—Artykuły w „Kłosach“ z powodu 300 letniej rocznicy urzędzeń hypotecznych w historyi prawa polskiego. — Wł. Lutosławski: Erhaltung und Untergang der Staatsverfassungen nach Plato, Aristoteles u. Machiavelli (493). — „Prace filozoficzne,“ t. II-gi, zes. II-gi. — Ant. Stauber: „D. Studium der Geographie in und ausser d. Schule“ (494).—„Byron w urywkach“ p. Nap. Hirszbanda.

495

Nekrologia.

Ś. p. Stanisław Przysański (158).—Ś. p. Jan Jędrzejewicz (159).—Ś. p. Roman Wierchlejski. 160
 Ś. p. Leonard Sowiński. 325
 Ś. p. Ignacy Marczewski.—Ś. p. Augustyn Szmurło (496).—Ś. p. Anzelm Sulikowski. 459

Ogłoszenia.

Postanowienie — Zaproszenie Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej“ do przedpłaty na rok 1888. — Odezwa Muzeum Przemysłu i Rolnictwa dotycząca wydawnictwa Wielkiej Encyklopedyi rolniczej. — Encyklopedia Wychowawcza. — „Przegląd Katolicki.“ — „Kraj.“ — Kalendarz Powszechny na r. 1888.